TWÓRCZOŚĆ

MARZEC

1948

TREŚĆ ZESZYTU

LUCJAN RUDNICKI: W ŁODZI-MIEŚCIE
WILHELM SZEWCZYK: WIERSZE
LOPE DE VEGA: OWCZE ŹRÓDŁO
TADEUSZ SEWERYN: W ŚWIĄTKARNI
JULIUSZ KLEINER: STANISŁAW ŁEMPICKI

SPRAWY I TROSKI

ANIELA MIKUCKA: CZYTELNICTWO MASOWE

SPRAWOZDANIA

(H. MARKIEWICZ, A. WASILEWSKI, S. LICHAŃSKI
W. NATANSON, S. CZERNIK)

NOTY

(L. H. MORSTIN, H. BATOWSKI, R. BRATNY)

TWÓRCZOŚĆ

MIESIĘCZNIK LITERACKO-KRYTYCZNY

ROK IV ZESZYT 3

MARZEC 1948

DRUKARNIA NARODOWA W KRAKOWIE
M — 43256

LUCJAN RUDNICKI

W ŁODZI-MIEŚCIE

Ze Sulejowa do Łodzi-miasta na „fabrykantów" wyjeżdżało tylko pospólstwo. Tacy nazywali się tylko sulejowiakami, ale wystarczyło ich z lekka poskrobać, aby wylazło, że to „krtunie" z Łęczna, Białej, Zarzęcina lub z najbliższego Kurnędza: — Takie to, moja kumo, ni pies ni wydra.

Wieś stale wyrzucała ze swego środowiska zdeklasowanych gospodarzy, pozbawionych ostatniego kawałka ziemi lub służby u dziedzica, którzy nie mogli lub nie chcieli pozostać na miejscu jako komornicy. Często się widziało takich rozbitków, jadących do Sulejowa na wozie w deskach z przegniłym łóżkiem, balią, kołyską, rozkraczoną ławką i jedynymi narzędziami pracy: siekierą, łopatą, kosą i grabiami.

Wynajmowali za kilka rubli rocznie wybudowaną z wapienia wilgotną i ciemną jaskinię i szli za grosze do najcięższych robót w kamieniołomach, w lesie, na tartakach, i sezonowo do robót polnych u zamożniejszych rzemieślników i handlarzy.

Jednostki dzielniejsze i bardziej przedsiębiorcze przy wszelkiej sposobności parły dalej: do Łodzi, Częstochowy, Sosnowca i Warszawy, albo jeżeli się dało, nawet do Niemiec na roboty polne.

Oczywiście nikt się nie dostawał do raju łódzkiego bez protekcji. Kto nie miał kogoś z rodziny lub znajomego, musiał porzucić wszelkie nadzieje na lepszy byt. Można było miesiącami chodzić od bramy do bramy fabrycznej na próżno. Nie było miejsc wolnych, nie zamówionych. Każdy pracujący czekał na okazję, aby zaprotegować kogoś bliskiego, a udawało mu się to, jeżeli sam był dobrze widziany. Jednostki popierające się wzajemnie („ty mego brata, ja twoją siostrę") tworzyły koła przyjaźni o więzi mocniejszej niż rodzinna.

Deklasowało się też i miejscowe „obywatelstwo", utrzymujące się z uprawy ziemi. Większość zamożnych i dzielnych rodzin przez stały podział gruntów schodziła do rzędu niewykwalifikowanego proletariatu. Aby wyszkolić dzieci na rzemieślników, trzeba było mieć środki na odzież w ciągu trzech, czterech, a nawet pięciu lat terminu. Gospodarstwa mniejsze, a nawet średnie, nie mogły sobie na to pozwolić.

Wyszkolenie rzemieślnicze — to pierwszy szczebel uprzywilejowania społecznego wynikającego z wykształcenia. W Łodzi, i w ogóle w wielkim przemyśle, można się było w krótkim czasie wyspecjalizować przy maszynach i zająć pozycję społeczną równą rzemieślniczej, z tą tylko przygnębiającą różnicą, że specjalista fabryczno-maszynowy był niewolnikiem przedsiębiorstwa prawie w takim stopniu jak chłop pańszczyźniany. Jeżeli z jakiegokolwiek powodu tracił pracę w młodszym wieku, schodził z powrotem do rzędu pariasów z najcięższą pracą i najniższą płacą. Jeżeli robotę tracił na starość, zostawał żebrakiem. Teraz, po pięćdziesięciu latach nieustannych walk klasy robotniczej o ludzkie prawa do życia, nie potrafimy sobie wyobrazić potworności tego niewolnictwa. Schyłek mojego życia opromieniony jest radością, że milionowe rzesze polskiego ludu będą się mogły uczyć, specjalizować i zajmować najwyższe stanowiska w państwie. Idziemy szybkim marszem ku przyszłości, w której nie będzie helotów, „prostych robotników". Zmotoryzujemy lodry, cepy, kosy i młotki do tłuczenia kamieni. Cały naród będzie wykształcony i wyspecjalizowany. Do wszelkich ciężkich robót zaprzęgniemy maszyny. Sto milionów stalowych niewolników, dozorowanych przez specjalistów, zapewni narodowi dobrobyt i radość istnienia.

Hej, wy wszyscy moi towarzysze, którzy jeszcze dziś na pół nago i głodno uprzątacie gołymi rękami kapitalistyczne rumowisko, nie upadajcie na duchu! Razem z gruzami wywozicie do glinianek kapitalizm. Z każdym rokiem będzie lepiej. I jeżeli nie zdążycie odgruzować własnego bytu, będziecie szczęśliwi radością swych dzieci. Szykujecie im puściznę, jakiej żaden burżuj nie zostawił swemu potomstwu.

...Otóż i ja, obywatel z obywateli, zdeklasowałem się całkowicie. Miałem nawet, jak większość podobnych do mnie, na „piechtę" wędrować do Łodzi z braku rubla na jazdę, ale ojciec rozrzewnił się nieoczekiwanie, pożyczył od sąsiadów i kazał jechać koleją. Już choćby dla tego samego warto było rzucić stolarkę. Ile razy byłem w Piotrkowie, zawsze zachodziłem na przejazd kolejowy w pobliżu dworca, żeby pogapić się na pociąg. Niedaleko, na dworcu, odbywał się ceremoniał ciekawszy niż w kościele na sumie. Można się było całymi godzinami patrzeć na różne rzeczy i odgadywać ich przyczyny. ...Teraz na przykład! Uwaga! Przy budce dróżniczej dzwonki tajemniczo przemawiają. Wysuwa się dróżnik z mosiężnym rożkiem w rękach, idzie takim krokiem, jak bernardyn ze starego kurantowego zegara. *Ta, taaa,* rożek tęsknym głosem zapowiada gościa, który niebawem z pióropuszem dymu ukaże się na horyzoncie. Ileż marzeń na widok każdego pociągu! — I oto nadszedł czas, że sam ruszę koleją w szeroki świat. Na razie do Łodzi, a z Łodzi rozchodzą się już drogi we wszystkie strony świata! A im dalej, tym piękniej. Pojechać za góry i morza i z nowym światłem w oczach wrócić do Sulejowa, do swòich: do Felka z tygielka, do Kostka spod mostka, do Pelki trucicielki, do wszystkich dziewczyn i chłopaków, i opowiedzieć im o rzeczywistych, nie urojonych cudach.

I już mam jechać, gdy oto kochana babka zaczyna interesować się mną, jakby mnie pierwszy raz ujrzała:

— Jakże tego chłopaka wyślecie, przecie nie ma w czym jechać.

Spojrzeliśmy wszyscy na babkę ze zdziwieniem Toć przed miesiącem zaledwie sprawiono mi mocny cajgowy garnitur. Rodzice widzą, że wygląda on nietęgo, ale na to nie ma rady. Nie pomogą ni perswazje, ni baty. „Dziś go ogarniesz, a jutro znów będzie wyglądał jak nieboskie stworzenie".

Prawda, garderoba mnie w owym czasie i długo jeszcze potem wcale nie interesowała. Tyle tajemnic wokoło! Zachowywałem się jednak w ubraniu nie gorzej, niż Papuas nago...

Jednakże babce chodziło o ciepłą kapotę na wierzch, której nie miałem od urodzenia i nie odczuwałem jej braku.

Ojciec rozłożył ręce z rezygnacją. Matka, widząc poważne braki w mym ekwipunku, zaczęła się złościć:

— Kiedy mu źle w dobrym terminie, niech marznie w Łodzi!

Kończył się styczeń, wiosną zaczęło pachnieć... Ja miałem ją w sobie już od tygodnia, od chwili kiedy przełamałem ostatnie opory...

— To nic, babciu, na Boże Narodzenie przyjadę w palcie!

— No, no, żeby nie było, jak to mówią: — Do Warszawy jak zapalił, a z Warszawy jakby w pysk dał — osadzał mnie ojciec, ale widać było, że mu się podobała moja pewność siebie. Ojcu duszno było w Sulejowie i snuł projekty wyjazdu w czasie każdego dłuższego bezrobocia, ale w miarę przybywania dzieci urzeczywistnienie stawało się coraz trudniejsze. I oto pierworodny syn, co nie odrósł jeszcze od ziemi, już rusza w świat... Bóg więcej posiada, niż rozdał w swej szczodrobliwości. Kto wie, może się chłopakowi lepiej w życiu powiedzie, może nawet wszystkich stąd wyciągnie...

Babka opowiadała o trudnościach, jakie mnie czekają: była u Antka w Łodzi-mieście i wie, co taki „moloch" znaczy. Tu na miejscu chłopak jest wszędzie w domu, jak wróbel, a tam, w tej kamiennej pustyni? Strach pomyśleć. Chłopak jak to chłopak, ale starzy powinniby wiedzieć, że tam milami do roboty chodzą... A jak przyjdzie mróz z zadymką, to co? — Wszyscy macie dobrze w głowie, tylko, za przeproszeniem, trzeba poprawić — ale już nic nie mówię...

Gotowiśmy byli z repliką, ale babka nikogo nie dopuściła do głosu, wyciągnęła ze starej skrzyni poprutą syberynową szubę, która od pół roku czekała na przeróbkę, i nie słuchając żadnych protestów poleciła to oddać Herce, by uszył dla mnie ciepłą kapotę. Krawca sama zapłaci. Ma właśnie na ten cel odłożone dziesięć złotych (półtora rubla). Dobrze się stało, że zwlekała z przeróbką, bo ostatecznie wiele jej życia nie zostało, a tu idzie o zdrowie i przyszłość dziecka.

Ojcu wąsy się opuściły, wzruszona matka dla formy tylko oponowała, bo sprawa była przesądzona. Babka, mieszkając z nami, nie wtrącała się do naszej gospodarki, żyła na swój koszt na oddzielnym garnczku ze starych oszczędności, ale jak jej się coś ubrdało — nie było apelacji.

Niecierpliwiłem się, bo myślą byłem już w drodze do Piotrkowa, a tu zanosiło się na zwłokę. Tylko otwarta skrzynia babki — skarbiec, okuty koronkowym żelastwem — tabu, do którego można było zajrzeć tylko z daleka —

powstrzymywała wybuch. Była to skrzynia pełna tajemnic i dziwnych woni. Powiało z niej teraz na izbę jabłkami, macierzanką i bagienkiem. Wiele rzeczy w niej widziałem, ale całej zawartości do dna niesposób było zgruntować. Najbardziej pociągało mnie archiwum, ułożone na dnie po prawej stronie w obszernej przegródce. Były tam szaro-niebieskawe lub żółtawe zwitki z umowami, wykresami pomiarowymi i rejentalnymi aktami. Kancelaria całej mocno rozgałęzionej familii.

W niedzielę po nieszporach przychodziły do babki cioteczne i stryjeczne siostry i dalsze „kuzyny", a z rzadka nawet kuzyni, po wyjaśnienia: czy pod Klasztorem przy berberysie sprzedano rejentalnie, czy w zwykłej umowie, albo czy Ignacowi Kozłowskiemu należy się część z ćwiartki domu po Piekarskim. Babka zaglądała do akt, albo z pamięci informowała: co, komu, kiedy i jak. Ale ścisłe odpowiedzi były tylko dla ludzi swoich, porządnych i uczciwych. Wydrwigrosze i popijgardła albo niczego się nie dowiadywały, albo informowano ich wręcz błędnie. Ho ho, ilu to ludziom zupełnie obcym mogłaby babka odebrać działki nabyte bez rejenta!

Wśród tych zwitków leżała na spodzie księga w skórzanej oprawie z mosiężnymi klamrami, większa niż mszał, Pismo Święte, po niemiecku drukowana, ale kto się nauczył, to czytał po polsku. Miałem to wielkie i piękne dzieło z kolorowymi literami ze dwa razy w swych rękach. Odczytałem nawet, ku zdziwieniu babki, kilka wierszy po polsku, zapalałem się do dalszej lektury, ale babka odbierała zaraz bezcenną księgę z mych drżących rąk, zawiązywała starannie w kolorową chustkę i kładła do skarbca:

— Nie dla ciebie, moje dziecko.

...O, tajemnicza skrzynio, jeszcze dziś z pożądliwością myślę o twoim wnętrzu...

Opieka i szczodrobliwość babki opóźniły mój wyjazd o cały tydzień, ale za to nowa kapota tyle mi powagi dodała, że nie kompromitowałbym nawet dziedzica z Łęczna, gdyby mnie posadzono obok niego w powozie zaprzęgniętym w czwórkę. A i na wozie Szlamy między pasażerami wyglądałem, jakbym na księdza się uczył. Do Piotrkowa w razie koniecznej potrzeby, np. do bierzmowania, chodziliśmy pieszo, dziś jechałem „pocztą Szlamy" za dwadzieścia groszy, budząc w Jarosowej oburzenie: „Już nie wiedzą, jak mają dmuchać!" Musiałem jechać, bo zabierałem dla wujostwa koło dwudziestu funtów pszennej mąki, a pogoda była niepewna.

— Trudno, jak się już wydaję rubla, to jeszcze i te kilkanaście groszy. Niech jedzie...

Niektórzy ludzie, a także przeżyte klasy społeczne, przypisując rozwojowi technicznemu klęski, które same wywołały swym zacofaniem, propagują powrót do sielskiego życia i prostoty obyczajów. Śni im się łono przyrody „bez zgiełku walki klasowej", choć w mieszkaniu z centralnym ogrzewaniem, łazienką, lodówką, radiem i elektrycznym odkurzaczem. Ja od błogiego stanu naturalnej, prawie pierwotnej kultury sulejowskiej uciekałem do największego w Polsce ośrodka maszynizmu, do Łodzi, jak do ziemi obiecanej. Uciekałem

od lodry, cepów, sierpa, szlithubla i klobzegi. Przed ukończeniem piętnastego roku życia poznałem dobrze te narzędzia. Zastępowałem nawet jakiś czas konia, nosząc na plecach jałowiec z lasu do ugotowania „szczernej zalewajki". Kochając Sulejów z jego rzeką, lasem i błoniami, kochając jego mieszkańców, znienawidziłem do głębi cały jego pierwotny byt. Może dlatego, że słabszy byłem fizycznie? Nie, sił posiadałem nie mniej niż inni podobni do mnie, którzy pozostali w Sulejowie i w wyjątkowych wypadkach wyszli na ludzi. Gdy zobaczyłem kierat Kuczyńskiego zastosowany do młockarni i rżnięcia sieczki, nie mogłem się pogodzić z myślą, że poza tym cały Sulejów posługiwał się cepami i lodrą. Gdy patrzyłem na mechanicznie poruszane piły tartaku, poczułem odrazę do ręcznej piły fornierskiej. Płomyki buntu znakomicie rozdmuchał „kryminalista" Rybczyński i przepowiednie apokaliptyczne wielkiej wojny. Ani mi się śnić jeszcze nie mogło o podstawach „polskiego socjalizmu", a wbiłem sobie w głowę, że ta zbliżająca się wojna i wojsko św. Jadwigi wszystko zmieni na świecie. Nie chciałem na to czekać w Sulejowie, ruszyłem na spotkanie wypadkom.

Nie potrafię choćby w przybliżeniu opisać mojej radości, kiedym zdążał pociągiem do Łodzi. Wagon, do którego wsiadłem, był prawie pusty. Stanąłem w przejściu między oknami, chcąc pochłonąć wzrokiem wszystko, co po prawej i lewej stronie ulatywało. Doprawdy, jechałem na ognistym wozie do nieba i to wrażenie pozostało we mnie na zawsze. Ile razy wsiadam do pociągu, ulegam złudzeniu, że jadę gdzieś w zaświaty...

Nie zawiodłem się. Łódź oszołomiła mnie swoim ogromem. Wzrokiem i węchem odczułem, że tworzą się tu wielkie rzeczy. Nie myślałem już o dalszej pracy w stolarstwie jako półwykwalifikowany, co mi słusznie doradzał Rybczyński. Pragnąłem jak najprędzej stanąć przy maszynie. Fale powietrza zagęszczonego przegrzaną oliwą i bawełną, buchające otworami żelaznych okien, nastrajały mnie nie mniej podniośle niż kadzidło na procesji rezurekcyjnej. Już widzę uśmiechy, a może nawet zgorszenie, że wszystko, co mnie wzrusza, porównuję z nastrojami kościelnymi. Cóż robić, wychowała mnie przede wszystkim babka Okrasińska, i przy całej prostocie jej systemu, a może właśnie dlatego, urobiła tak, jakby tego żaden pedagog jezuicki nie dokonał.

Życie kulturalne szerokich mas było w owym czasie na takim poziomie, że wszelkie wyższe i głębsze wzruszenia możliwe były tylko w kościele. Od ciężkiego zwierzęcego trybu życia przychodziło się do kościoła w gości do najwyższych dostojników i dostojniczek nieba. Kościół przyjmował muzyką, śpiewem, wonnościami i... tańcem Bo przecież każda nasza procesja jest swego rodzaju — polonezem. Księża łączyli symboliczne niebo z realnym ziemskim bytem. Cały rok uczestniczyło się w radościach, smutkach i w szarym codziennym życiu nieba. Czy kto płodził dzieci czy nie, brał jednak udział w radosnych obrzędach Bożenarodzeniowych, cierpiał z powodu śmierci Jedynego i wybuchał radością z powodu Jego Zmartwychwstania. Cóż, i ja odziedziczy-

łem to wszystko z krwią rodziców i pogłębiłem osobistymi przeżyciami. Jeżeli dziś jestem komunistą, to też w znacznym stopniu zasługa kościoła i jego godnej córki, babki, która mnie uczyła sięgać po rzeczy wielkie, nieprzemijające, i odróżniać słabość ludzi dobrych od cnót złego ducha. Może te nauki przede wszystkim wypędziły mnie z Sulejowa, w którym nic wielkiego do zdobycia nie było, a następnie pchały stale pod prąd, na trudne szlaki.

Jestem już w Łodzi, a nie mogę się oderwać od Sulejowa. Po sulejowsku czuję, myślę i mówię. Jestem w dalszym ciągu między swymi, bo Łódź sprzed pięćdziesięciu lat to wyrośnięte małe osiedle miejskie: tysiąc Sulejowów, Wolborzów, Rozprzy i Paradyżów z ich najbiedniejszymi, chłopskimi lub schłopiałymi warstwami. Czuję się tym bardziej w Sulejowie, że zamieszkałem u wuja Antka, rodzonego brata matki. Oczywiście atmosfera i kultura domowa u wujostwa w stosunku do sulejowskiej była znacznie wyższa. Wuj miał humor, podśmiewywał się z własnej i cudzej biedy, umiał jeszcze lepiej niż moja matka „odstawić kogoś" i, tak jak u matki, lekkomyślność w stosunku do dzieci trąciła obojętnością. Osobiste usiłowania człowieka odgrywały — wedle poglądów wuja — małą rolę. Wszystko zależało od losu i Opatrzności. Wuj tym się głównie różnił od mojej rodzicielki, że lubił czytać. Książka była mu potrzebna, jak innym chleb, bo sam jak fakir hinduski mógł się obejść bez chleba. Prawdziwy sulejowski obywatel. Ten wyższy poziom kulturalny całego domu wprowadzała zacna ciotka Florentyna, pochodząca z okolic Żyrardowa. To ona umiała ująć wszystkim lichego pożywienia i kupować za to literaturę. Wujostwo mieli czworo dzieci. Gdy do nich przybyłem, starsza córka prowadziła już własne gospodarstwo, młodszy syn chodził do szkoły miejskiej, a dwoje średniego rodzeństwa, mój rówieśnik i starsza od niego siostra, pracowali już w fabryce. Wuj pracował od dziesięciu lat w Widzewskiej Manufakturze w bielarni przy suszarce, i jako specjalista w tej dziedzinie zarabiał siedemdziesiąt kopiejek za dwunastogodzinny dzień pracy. Gdy nie było święta, tygodniówka wynosiła cztery ruble i czterdzieści groszy. Syn, zdolny i inteligentny młodzieniec, niedawno zaczął pracować w charakterze pisarza w fabryce, z płacą zbliżoną do ojcowskiej, ale ogólna gospodarka nic na tym nie zyskiwała, bo trzeba go było lepiej odziać i płacić za dokształcanie. Córka, zatrudniona w snowalni, jak wszystkie młode dziewczęta zarabiała grosze, coś około dwóch rubli tygodniowo.

Przyjęto mnie wesoło i z otwartymi rękami. Wuj Antoni, lekkomyślnie patrzący na własność rolną, urobił sobie z tego powodu wśród rodziny niepochlebną opinię, ale za to największą sympatię. A że i moi rodzice, zwłaszcza ojciec, podobni byli pod wielu względami do niego, więc obie rodziny pozostawały ze sobą w najbliższym kontakcie. Gdy Antoś przyjeżdżał po część spuścizny po jakiejś ciotce lub dziadku z drugiej linii, co się od czasu do czasu zdarzało, rezydował u nas, choć snopka słomy nie żałowano mu nigdzie. Przynosiłem wtedy za dwadzieścia groszy kwaterkę dobrej wódki od Jojny, a czasem nawet i alaszu za dziesiątkę na zaprawę do niej. Wesoło było w domu, ale po takiej wizycie kobiety szły do spowiedzi, bo nie mogąc Antka

przegadać w jego anegdotach o księżach, uczestniczyły poważnie w „cudzym grzechu", i to jeszcze przy dzieciach. Moje sympatie były wtedy całkowicie po stronie babki, ale z dowcipów wuja śmiałem się mocno, jak wszyscy zresztą, nie wyłączając babki. Czego to diabeł nie umie nawarzyć! Spowiadałem się też z tego ze trzy razy.

Otóż wujostwo przyjęli mnie jak swego i witali tak przyjaźnie, jak kogoś oczekiwanego i potrzebnego do urozmaicenia życia we dworze lub w dużym kilkupokojowym mieszkaniu. A mieszkali, tak samo jak my w Sulejowie, w jednej izbie, tyle że o połowę mniejszej. Nie mierzyłem jej, ale mam ją całkowicie w pamięci. Przy jednej ścianie wewnętrznej, poczynając od lewego kąta przy drzwiach, palenisko kuchenne, wiadro na węgiel, niska szafka kuchenna, i zaraz za nią łóżko szczelnie wypełniające powierzchnię po tej stronie aż do okna. Pod przeciwległą ścianą stało drugie łóżko, szczątki czegoś podobnego do otomany, i wreszcie naprzeciw kuchni wieszadło z garderobą zamiast szafy, osłonięte białym prześcieradłem. Stół zajmował prawie cały środek izby i zasiadaliśmy do niego na łóżkach. Na piętnastometrowej powierzchni mieszkało pięć osób, ja byłem szósty — do pary. Przyszedłem z dwoma koszulami w węzełku. O pościel nie pytano. Przeszkadzałaby tylko. Ciotka sypiała z Kazią, wuj ze Stachem, mnie przytulił do siebie Janek. Zająłem miejsce od ściany na dwóch sterczących sprężynach sędziwego mebla nieokreślonego gatunku i pochodzenia.

Kilka dni z rzędu rajcowaliśmy do późna w nocy o Sulejowie, zaśmiewając się z opowiadań wuja, jak to tam było przed trzydziestu laty. Arcyzabawne historie, i bardzo żałuję, że nic z tego nie pamiętam. Jednocześnie sypały się pytania: czy starego Matyśkiewicza nękają jeszcze bóle maciczne i jak je teraz leczy? Po czemu Szamborski sprzedaje „jeleninę"? Jakie sny nawiedzają Zmorzyskę? — i wiele innych. Na niektóre odpowiadał Janek moim językiem, wzbudzając wybuchy śmiechu. Śmiałem się i ja — rad nie rad — ze trzy tygodnie, aż w końcu zgniewany zacząłem wyganiać diabła Belzebubem. Mówiłem umyślnie przesadnym sulejowskim dialektem, co zauważył wuj i zakończył przedrzeźnianie mówiąc:

— To nie widzicie, mądrale, że on z was drwi? Nawet „porcenela" nie gada!

Tryumfowałem, ale niestety nie śmiałem się ostatni, bo jeszcze dziś gadam językiem mej matki, i to im starszy jestem, tym częściej mi się to przydarza. Gdy myśl zajęta treścią, piszę mechanicznie „trumbiom", „chodzum" a nawet — „bełem".

Dużo było śmiechu, ale mi się też i na płacz zbierało, bo pracy dostać nie mogłem. Stałem po kilka dni przed bramami kilku przędzalni, ale nie ziściła się nadzieja, że mogą potrzebować nagle zamiatacza. Tyle tylko było zysku z tego, że biegając cały dzień poznawałem miasto i coraz bardziej się z nim wiązałem. Zadymione niebo, nieustanny szum maszyn, tłumiony tylko hukiem wozów ciężarowych, wyziewy rynsztoków parujących zużytymi chemikaliami, olbrzymie potoki ludzkie, w godzinach obiadowych zalewające nie tylko

chodniki, ale i jezdnie, wszystko to, co grozę budzi w zwolennikach kołowrotka, mnie napawało głębokim zadowoleniem.

Ba! Żeby już tylko należeć do tej szczęśliwej gromady, biegnącej z ożywieniem z blaszanymi bańkami w rękach lub w kieszeniach! Koledzy obiecywali wujowi poparcie. Sam obermajster kiwnął przychylnie głową, ale można było czekać na okazję i pół roku. Wujostwo zastanawiali się nawet, czy nie lepiej by było, ażebym czekał w Sulejowie, bo tu jednak całotygodniowe utrzymanie dwa ruble kosztuje i może się zwalić w postaci długu dużym ciężarem. Nie, do domu nie chciałem wracać. Dostawałem wypieków na myśl, że mogło by się sprawdzić ojcowe powiedzenie o „zapale do Warszawy". Oświadczyłem wujostwu, że dla zmniejszenia zobowiązania będę jadał tylko za rubla. W najgorszym wypadku z dwóch miesięcy będzie jeden, z miesiąca dwa tygodnie. Broniłem się jak tonący, i ostatecznie mimo dużego ryzyka wujostwo wyśmiawszy moje oszczędnościowe propozycje zostawili mnie na pełnym wikcie.

Czekanie czekaniem, ale człowiek nie powinien zaniedbywać ani jednej możliwości... Miałem kolegów, którzy już od pół roku byli w Łodzi. Właściwie nie koledzy, lecz dobrzy znajomi. Spotykałem się z nimi na pastwisku, pracowaliśmy razem u mularzy, ale zawsze na dystans: ja pasałem własną krowę, oni cudze; ja byłem kandydatem na mularza, oni nawet nie śnili o tym. Matki ich posługiwały Żydom w szabas, a ojcowie również nie gardzili żadną robotą, jeżeli tylko była. Byli to dobrzy chłopcy, ale prostacy. Do szkoły nie chodzili. Słabo sobie zdawali sprawę, czym są i w jakim kraju mieszkają. W ogóle o sprawach wyższych nie można było z nimi rozmawiać, nic nie rozumieli, no i... trzeba mieć przecież do człowieka zaufanie. Najwyżej można im było opowiedzieć coś o świętej Genowefie lub „Lampie Aladyna". Na przednówkach, a przednówek nigdy im się nie kończył, bo zbierali cudze zboże, nieraz dzieliłem się z nimi, jako młynarski syn, pajdą chleba.

Matka Franka, niedawno owdowiała, dała mi adres i zachęcała do odwiedzin: — Franuś ma dobrze... Lubią go...

Dobiegały dwa tygodnie mego bezrobocia. Postanowiłem przy niedzieli spróbować szczęścia. Przede wszystkim poszedłem na prymarię do św. Krzyża, poleciłem się łzami, które mi tyle przykrości sprawiały, i jedynie tu, w cieniu kościoła, nie przynosiły wstydu, mojej Wielkiej Orędowniczce, i oddałem ostatnie dwa grosze na ofiarę...

Zbierał ksiądz proboszcz, dziękując w imieniu kościoła zależnie od datku: „Umpłać, Bóg zapłać, Panie Boże zapłać, Panie Boże Wielki zapłać". Otrzymawszy swoje „umpłać" i słysząc na przemianę te różnym tonem wypowiadane podziękowania przyjrzałem się zbiórce i zrozumiałem skalę podziękowań, a ciotka poinformowała mnie, że to nie zwyczajny proboszcz, lecz prałat, hrabia Łubieński. Zabawny, ale dobry duszpasterz; „pewno biskupem zostanie". Biskupem nie został, ale że był zabawny, a nawet dowcipny, przekonałem się trzydzieści lat później w Warszawie, będąc obecnym przy rozmowie jego z naczelnikiem wydziału technicznego Słomińskim. Chodziło o cichy bruk

przed kościołem Panny Marii na Lesznie i o chodnik przy plebanii. Naczelnik był dobrym synem kościoła, lubił być wymieniany z ambony, nie odmawiał żadnemu proboszczowi takich usług i nie pozwalał sobie na nieprzyzwoite żarty, ale tak się rozmowa potoczyła, iż wyraził żartobliwie zdziwienie, że eksportacja z udziałem księdza wikarego kosztuje aż dwieście złotych; a Łubieński na odlew i wesoło:

— Niech ktoś inteligentny zrobi z siebie taką małpę i przejdzie przez całe miasto, a dam mu czterysta.

Franek mieszkał jako „stancyjarz" na jednej z krótkich uliczek przecinających Zarzewską. Nie pamiętam, czy miała jakąś nazwę. Izdebkę na poddaszu trzeciego piętra, trochę mniejszą niż wujostwa, zajmowało siedem osób. Główna lokatorka z córką i pięcioro sublokatorów, w czym dwie panny, jeden kawaler starszy i dwóch „podkawalerów" w moim wieku. Mieszkanie bardzo wygodne, bo na korytarzu dla sześciu podobnych lokali była woda w kranie, (o ile stróż w porę nakręcił) i zlew, do którego tylko niektóre „flejtuchy" wszystko wylewały. Zatykało się „toto", przelewało, i pachniało tak, że nawet „zalzajer" nie pomagał, mimo to warto było te dwa ruble miesięcznie drożej zapłacić, bo z drobnymi potrzebami można było nie schodzić na dół i nie czekać w kolejce. Taki luksus rzadkością był w owych czasach w Łodzi.

Przy niedzieli było ciasnawo, ale za to wesoło, zwłaszcza gdy kto z lokatorów miał harmonię, jak tutaj. Gdyby nie święta, możnaby jeszcze ze dwie osoby do takich wygód przyjąć, bo połowa mieszkańców pracowała u Steinerta na noc. Ale cóż robić, nawet Pan Bóg po sześciu dniach tworzenia odpoczywał.

Pocałowałem panią gospodynię w rękę, co od razu zadokumentowało, że jestem z dobrego domu. Mimo to patrzano na mnie... może nawet nie lekceważąco, ale z zakłopotaniem. Krój ubrania prowincjonalny, a kamasze z rozciągniętymi gumami jeszcze bardziej kolidowały z dobrym smakiem. Moi rówieśnicy zdążyli już kupić sobie „przechodzone" garnitury na Starym Mieście i wyglądałem teraz przy nich, jak oni przy mnie w Sulejowie. Tak to wielki przemysł niweluje i demokratyzuje. Żadna arystokracja przy nim się nie ostoi.

Franek rzeczywiście pracował u „Francuzów", dobrze mu się powodziło i miał przed sobą dużą przyszłość. Był „auskierem" (zamiataczem) w przędzalni, zarabiał pół rubla dziennie, a dziś — jutro miał zaawansować na przykręcarza z płacą cztery ruble tygodniowo. A co to za maszyna! Tu w Łodzi-mieście zwyczajnie takich nie ma, chyba u Scheiblera. Franek mówił o maszynie jak o narzeczonej. Błyszczały mu oczy, rozchylały się usta, a ręce pieszczotliwie dotykały w wyobraźni wypolerowanych części wrzecion.

— Mówie ci, bez pierwsze czasy robota mi się śniła...

Franek, przygarbiony dotąd i ciężki w ruchach od pracy ponad siły i wszelkiego upośledzenia, teraz się wyprostował, nabrał pewności siebie, wypiękniał. Gorąco pragnąłem zająć miejsce koło niego. Okazało się, że sprawę można pomyślnie załatwić. Na jego miejsce potrzebny jest robotnik. Majster się zgo-

dzi. Dobrze się nawet składa, bo on wynajmuje mieszkanie na siebie i sprowadza matkę. Józek też do nich przyjdzie, a jak jeszcze dobiorą dwóch „stancyjarzy", można się utrzymać. Ma już na widoku piękną facjatę na piętrze. Nie ma w niej pieca, ale w Sulejowie matka też tylko pod blachą pali, jeżeli ma czym... A idzie przecie na lato.

Franek dał do zrozumienia, że mogę liczyć na pracę razem z nim, o ile zamieszkam u niego na Zarzewskiej w pięcioro jako „stancyjarz". Nie mogłem się od razu na to zdecydować. Odpowiadałem wymijająco. Bo jakże, wczoraj dopiero przyniosła ciotka pierwszy numer *Tygodnika Ilustrowanego* z dodatkiem powieściowym, a cały kąt na podłodze przy wieszadle zawalony był tak cudownymi wydawnictwami jak „Hrabina żebraczka" i „Kuba Rozpruwacz". Wahanie mnie zgubiło. „Auskierem" nie zostałem. Pięknymi prządkami spacerującymi podczas przędzenia zachwycałem się tylko z daleka. Po miesiącu poszukiwań i oczekiwania otrzymałem pracę z protekcji wuja w wykończalni fabryki Heinzla i Kunitzera w Widzewie.

Przydzielono mnie do oddziału maglarskiego z maszynami przeważnie prostymi, nie wymagającymi dłuższej nauki, do obsługi. Byłem jedynym młodziakiem między trzydziestoma robotnikami i postawiono mnie do roboty wymagającej raczej sprawności niż siły. Jedni robotnicy zwijali mechanicznie na grube i ciężkie bukowe walce po kilkadziesiąt metrów wybielonych płócien i przenosili je we dwóch do dużego stalowego magla, inni odnosili zmaglowany już materiał na maszyny prostej konstrukcji, które rozwijały i składały go w luźne warstwy umożliwiające ostateczne brakarstwo, pakowanie i ekspedycję. Nie było tu jeszcze zupełnego automatyzmu. Masa zwojów płótna nadchodząca od tysiąca krosien płynęła nieprzerwaną taśmą jedynie przez mokry „blich".

Na górze, w najwyższym punkcie połączonym kolejką linową z tkalnią, dwóch robotników zeszywało końce poszczególnych zwojów surówki, która przechodziła nieustannie, od godziny szóstej do dziewiętnastej, codziennie całymi latami przez paszczę ognia gazowego regulowanego przez mistrza Grzelaka, siłacza i arcykapłana żywiołu pracy. Od niego rozpoczynał się proces bielenia i wykończania. W ciągu sekundy próby ogniowej płótno oczyszczało się z puszku włókiennego i po przejściu kilku chemicznych kąpieli ulegało podziałowi.

Tu w maglarni wykonywano pracę systemem ręczno-maszynowym. Przejścia między jedną maszyną a drugą wypełniały ręce. Szybkość wykonywanej pracy zależała od ludzi, nie od maszyny. Nie maszyna zmuszała robotnika do pracy, lecz odwrotnie, pracownik poganiał ją jak woźnica konia. Centralnym ośrodkiem był stalowy kilkutonowy magiel, najwyższy wyraz techniki w tej dziedzinie w tym czasie. Manipulował nim mistrz Przybył z powagą i namaszczeniem prezesa sądu najwyższego. Wyzwalał jednocześnie dwiema dźwigniami siłę elektryczną działającą poziomo, i siłę ciśnienia wody prącej pionowo na dolny walec. Powtarzał to co kilka minut przez całe lata — i zawsze z tym samym skupieniem. W przerwie, gdy zabierano zmaglowane

sztuki, żartował nawet z kolegami, ale na chwilę przed nowym uruchomieniem maszyny przemieniał się w rolnika siejącego ręcznie pszenicę. Nie widziano go nigdy uśmiechniętego w czasie operowania dźwigniami. Wyższa przedwieczna siła, przypływ i odpływ morza, wschód i zachód słońca, stały ruch rytmiczny, zapoczątkowany we mgle dziejów przyrody.

Ta siła moc w anioły tchnęła,
Gdy niezgłębiony jest Twój rdzeń.
I wszystkie Twoje wzniosłe dzieła
Wspaniałe są jak w pierwszy dzień.

W „blichu" Widzewskiej Manufaktury pięćdziesiąt lat temu pracowali chłopi z bliższych i dalszych okolic, poprzetykani Niemcami, i mimo że zaprzęgli się do nowej pańszczyzny, umieli ocenić dobrodziejstwo i potęgę maszyny. Rozumieli instynktownie, że rodzi się tu nowy społeczny porządek, wyższy od tego na wsi. A w każdej zbiorowej pracy przejawia się nowa więź, nowa siła i nowe przytakiwanie życiu, nawet gdy praca jest niewolna, jeżeli tylko daje możliwość polepszenia bytu. W owym czasie chłop polski uciekając od bydlęcej doli nie tylko nie miał zamiarów maszynoburczych, ale maszyny błogosławił. Wprawdzie nie bogato się żyło rodzinie robotniczej za sto dwadzieścia groszy dziennie, ale w stosunku do bytu na wsi za pięć „czeskich" (trzydzieści groszy), lub co najwyżej za „czterdziestkę" zdobywaną dorywczo przy karczowaniu poręby, był to duży społeczny awans. Tym bardziej że każdy robotnik fabryczny przy pomyślnej koniunkturze nabierał nowych, lepiej płatnych kwalifikacji. I śmieszne jest gadanie o wyższości pracy wśród przyrody i bezmyślności maszyny. Nie ma bezmyślnej pracy. Zdarzają się tylko bezmyślni ludzie i bywa bezmyślna organizacja. A potęga wielkiej hali fabrycznej działa na ludzi czujących tak samo podniośle jak morze, góry i puszcza. To jest też część przyrody, tylko że ukształtowana przez człowieka.

W jednym rzędzie ze stalowym skomplikowanym siłaczem stało sześć prostych rozwijaczek z parą walców u góry, poruszających się wyłącznie koło swej osi, i drugą parą na dole, które poza obrotem osiowym wykonywały jednocześnie ruch wahadłowy, rozkładający warstwami rozwijane płótno. Trzeba było w porę zatrzymać maszynę, spiąć koniec rozwiniętej już sztuki z końcem materiału na walcu, puścić w ruch mechanizm, po przejściu spięcia przez walce powtórnie go zatrzymać, odłożyć rozwinięty materiał według gatunku na stół lub do powtórnego maglowania, jeżeli zauważono na nim zmarszczki. Przy każdej takiej „winkielmaszynie" stał robotnik. Bywało tu, że w sześciu nie dotrzymywali kroku dostojnemu maglowi. Tracił on drogocenny czas z braku prostych tanich pomocnic, co ze względu na jego powagę wyrażoną w funtach szterlingów było niedopuszczalne. Mnie postawiono na próbę, pod obserwację, w środku szeregu. Nie było się czego uczyć, ale chodziło o stopień sprawności fizycznej i uwagi. Była to dla mnie nie praca, lecz zabawa.

Igrałem z maszyną, jak z kotem. Po kilku dniach zatrzymywałem ją tylko raz w momencie spinania dwóch sztuk. Wszystkie inne czynności wykonywałem w czasie jej ruchu. W ciągu kilku tygodni wyręczając sąsiadów obsługiwałem naraz trzy, a nawet cztery maszyny. Zdarzyło się, że — gdym sobie tak igrał z maszyną — akurat przyszedł dyrektor Lukenbach i po kilkuminutowej obserwacji z ukrycia podszedł do mnie. Zapytał o nazwisko i zapowiedział podwyżkę. Zrównano mnie w płacy ze starymi robotnikami. Zamiast pięćdziesięciu otrzymywałem teraz sześćdziesiąt kopiejek dziennie. Nieoczekiwana to była i znaczna podwyżka, a oprócz tego obermajster Zwieler, poczciwy robociarz z Alzacji, poklepał mnie protekcjonalnie po ramieniu: „Dobra chłopak, bedzie majster". Drugą stroną tego faktu były wymówki, po niewczasie, wszystkich kolegów, że psuję robotę, bo kto wie czego teraz zażąda dyrektor. Ale dyrekcja niczego nowego nie zażądała i nic nie zmieniła. Koszta robocizny były tak niskie, że nie opłacało się myśleć o innowacjach. Wszystko płynęło po staremu, i tylko w małej mierze wyczerpywało moją energię. Pragnąłem czegoś wielkiego, wpatrywałem się w mglistą przyszłość i czekałem w mistycznym nastroju na sygnały „Śpiącego wojska".

U wujostwa pod wpływem *Tygodnika Ilustrowanego,* który był zresztą mało przez nich cenionym uzupełnieniem do dodatków powieściowych, nastąpił przewrót w upodobaniach literackich, z którego i ja bez straty czasu skorzystałem. „Hrabina żebraczka" pozostała na zawsze w kącie w zupełnym zapomnieniu, a kilkanaście pierwszych zeszytów „Kuby Rozpruwacza" zużyto na podpałkę i do owijania chleba.

Sienkiewicz, a później Prus i Orzeszkowa całkowicie opanowali nasze zainteresowania. Po przyjściu z fabryki i zaspokojeniu głodu od godziny ósmej do jedenastej czytaliśmy całą rodziną przy kuchennej lampce, co kto miał pod ręką, oczekując w kolejce na dalsze losy Skrzetuskiego, Heleny, Zagłoby. A później, w łóżkach już, niekończące się dyskuje o właściwościach bohaterów, przy czym jedni przytakiwali ich postępowaniu w danej okoliczności, drudzy uważali, że byłoby lepiej, gdyby... Dopiero kilkakrotne wezwania ciotki do spania stopniowo uciszały spory literackie.

Tak, tak, niedługo dwunasta... Tylko patrzeć, a będzie piąta. W wielkim porannym chórze syren fabrycznych wybija się na pierwszy plan głos syreny widzewskiej, wykluczający wszelką dyskusję. Punktualnie o godzinie szóstej wielkie koło rozmachowe centralnej siłowni, ruszywszy z majestatyczną powolnością, w kilkadziesiąt sekund nabierze właściwego tempa i pociągnie w swą orbitę tysiące maszyn i ludzi. Jest to fabryczny wschód słońca, i biada temu, kto nie oczekuje przy maszynie jego wzejścia.

W pierwszych miesiącach pobytu w Łodzi oddziaływały na mnie głównie dwie rodziny: wujostwa i państwa Troczewskich. Wszyscy u wujostwa traktowali mnie przyjaźnie, uważali za swojego, ale zawsze na odległość. Nie spychano mnie na szary koniec, odwrotnie — we wszystkim otrzymywałem łaskawie pierwszeństwo. Ale to właśnie było upokarzające. Byłem pierwszy przez współczucie. Tak było w zabawie, tak było w grze. Cały dom, z wyjątkiem

ciotki i najmłodszego Stasia, stale grał: wuj i Janek role charakterystyczne, Kazia dramatyczne. Byłem zupełnie równouprawniony, i tu dostawało mi się według zasług. Miałem i ja pewne aktorskie zdolności, wystarczały one jednak zaledwie do ról podrzędnych, zwłaszcza że obniżały je warunki zewnętrzne: niski wzrost, szeroka okrągława gęba, no i garderoba nadająca się raczej do cyrku. Wszystko ze mnie spadało. Co porządny chłopak mógł nosić cały rok, mnie wystarczało na kilka miesięcy. Toteż wkrótce po przyjeździe do Łodzi zostałem bez odzienia, a przecież i w domu, i w fabryce musi człowiek jakoś wyglądać. W obliczu grożącej nieprzyzwoitości uszyła mi ciotka spodnie z resztki damskiego materiału w niebieskawe centki. Spodnie jak to spodnie, do roboty, nie do fotografii. Na długość akurat, tylko trzeba je było odpowiednio podpasywać: trochę poniżej bioder. Ale wtedy krocze rozpoczynało się w okolicach kolan, krępowało chodzenie i budziło podejrzenie kalectwa. Gdy się je normalnie podciągnęło, sięgały górą pod pachy, a dołem do połowy łydki, obnażając gacie i sterczące z kamaszy onucki. Ten dół uzupełniała beżówka, kupiona na Nowym Mieście za siedemdziesiąt pięć kopiejek, i kaszkiet z wyszczerbionym daszkiem. Mało mnie to obchodziło. Interesowało mnie wszystko, tylko nie ubranie, ale patrzano na mnie dziwnie — i nie mogłem tego nie zauważyć. Do kwietnia wszystko pokrywała noc, bo przychodziło się i wychodziło z fabryki po ciemku. W miarę przybywania dnia unikałem ludzi, przebiegałem do pracy i z powrotem przez sąsiedni las i tyłami posesji. Odosobniałem się, szukałem samotności. Tonąłem w nabożeństwach do Najświętszej Panny i stawałem się coraz słabszym partnerem w grze. Czytałem za to nie tylko dodatki do *Tygodnika Ilustrowanego,* ale i sam *Tygodnik.* Najbardziej pasjonowała mnie gadanina publicystyczna o niczym we wstępniaku, naszpikowana wyrazami, których nie rozumiałem i nie odgadywałem z bliższej i dalszej treści zdania i artykułu. Dulczyłem przy niektórych dziwacznych wyrazach godzinami, jak przy rebusie, i najczęściej bezskutecznie. Taki na przykład „indyferentyzm" wyprowadził mnie z równowagi. Wszystkie inne słowa były znane, a to jedno nie pozwoliło zrozumieć zdania.

Wuj spojrzał na mnie z góry, z nad opuszczonych okularów:

— O czym rebe rozmyśla?

Rebe wyraził ruchem ręki zniechęcenie: „Na nic moje rozmyślania, nic nie rozumiem".

Do zdania zbiegli się wszyscy, wuj czytał wolno, podkreślając każdą ważniejszą sylabę: „Nasze ziemiaństwo przejawia w tej sprawie zupełny indyferentyzm". Rzeczywiście... Zgadnij Jezus, kto cię bije! Przejawia indyferentyzm! Co przejawia, cholera go wie! Te, mądrala, rusz no mózgiem!

Janka już zatykało od komiki tego zagadnienia. Samo brzmienie wyrazu wzbudzało śmiech. Zaczął tłumaczyć znaczenie na odlew, bez namysłu.

— Tere ferent kuku! Indyk-ferentnie myślał i łeb mu ukręcili.

Zagulgotał i tak zabawnie zwiesił głowę na bok, że się upodobnił do pierzastego myśliciela z ukręconym łbem. Śmiali się wszyscy prócz Janka, który ożył dopiero wtedy, gdy mu Kazia nakręciła głowę na właściwe miejsce.

Niemniej wszyscyśmy się czuli upośledzeni w najprostszej wiedzy i znajomości rodzimego języka. Wuj zaopiniował, że jest to język ludzi uczonych i że przez stałe czytanie można poznać wiele niezrozumiałych wyrazów. Ciotka natomiast doradzała ostrożność w dociekaniu, zwłaszcza w młodym wieku, bo chłopak kowala w Wiskidkach pod Żyrardowem zwariował od takiego czytania.

Uderzyłem się mocno pięścią w czoło dla sprawdzenia klepek. Brzęknęły jak donica wypalona przez Ochockiego. Byłem pewny swej mózgownicy nie mniej niż rąk i nóg. Wśród nowego wybuchu śmiechu wuj zamykał naradę:

— Ma łeb jak baran, indyferentyzm mu nie zaszkodzi.

„Indyferentyzm" mi pomógł. Czytałem zawzięcie wszelkie teksty z wyrazami z języka „uczonych", wkrótce potem zacząłem brać książki naukowe i z ciemności coraz częściej wychodziłem z radością na światło. W rezultacie nie „karkuluję", jak wielu demokratycznych burmistrzów, i rzadko utożsamiam dekret z deficytem.

Brak ubrania latem, gdy masy młodzieży fabrycznej dostatnio odzianej wysypywały się z harmoniami do widzewskiego lasu lub ogrodu na „Fafendorfie", działał przygnębiająco. Nie mogłem sobie znaleźć miejsca, bo wszędzie było pełno rozradowanych ludzi, a ja między nimi jak obcy, którego można przez nieuwagę podeptać.

Najgorzej było w domu u wujostwa, bo nie miałem się gdzie schować przed oczami Kaziutki. Trzeba było robić dobre miny i podśmiewać się ze siebie, gdy się płakać chciało.

W kilka dni po rozpoczęciu pracy w bielarni poznałem się z Janem Troczewskim i wkrótce potem z całym jego „rodem". W przebłyskach ciszy wśród szumu maszyn doleciały go moje pobożne pieśni i od razu zbliżyły do mnie. Byliśmy bliscy sobie pochodzeniem i adoracją Najświętszej Panny. Mógł nas oddalać wiek, bo ja miałem siedemnasty rok, a on zbliżał się do czterdziestki. Ale kolega Jan, fizycznie trochę zwiędły, czy przyschnięty, duchowo był młodszy ode mnie. Pod tym względem ja byłem już pełnoletni, on zaś wciąż pozostawał poczciwym chłopcem. Ach, panie Janie, ileż pięknych niedzielnych poranków spędziliśmy w leszczynie Widzewskiego lasu po prymarii u św. Krzyża, w dyskusjach o św. Franciszku i Katarzynie Sieneńskiej. Nie wiem, co się z panem stało, ale jestem przekonany, że jeżeli żyjesz, to nawet teraz, w dziewięćdziesiątym roku życia, nie straciłeś swego chłopięctwa i wdzięku niewinności.

Troczewscy przeprowadzili się całą liczną rodziną do Łodzi z jakiegoś zaścianka z okolic Koła nad Wartą. Była to rodzina staroświecka, patriarchalna, a właściwie matriarchalna, bo matka kierowała wszystkim. Takie rodziny spotykało się w Polsce z rzadka przed pół wiekiem wśród bogatych chłopów, w zakątkach oddalonych od głównych traktów. Była to swego rodzaju rodzinna spółdzielnia, gdzie kilkanaście rodzeństwa prowadziło wspólną, prawie zupełnie samowystarczalną gospodarkę. Rodzice po sześćdziesiątce, lecz jeszcze krzepcy, posługiwali się czterdziesto- i pięćdziesięcioletnimi chłopakami, którzy

albo sprowadzali żony do wspólnej gospodarki, albo też żenili się, jeżeli zdążyli, po śmierci starych. Mieszkały takie rodziny przeważnie w jednej wielkiej starodawnej izbie z grubych bali porżniętych w rosochate węgły. W kwadracie podwórzowym stały obszerne stodoły i budynki gospodarskie dla dwóch par koni własnego chowu, kilkunastu krów, dwóch rozpłodowych macior z kupą świń, kilkudziesięciu owiec, ogiera, byka, barana i knura na własny użytek i do wynajęcia.

Dopiero teraz, przy wspomnieniu dalekiej przeszłości, uświadomiłem sobie, że była taka rodzina w Sulejowie, i że Troczewscy (ośmiu synów i trzy córki), srogim zrządzeniem losu wydziedziczeni z ziemi, przenieśli cały ład i porządek patriarchalny do Łodzi-miasta, gdzie łamano wszelkie tradycje, gdzie dzieci robotnicze w szesnastym roku życia, a często znacznie wcześniej, nosiły własną kasę w kieszeni i targowały się z rodzicami o koszta utrzymania:

— Matka by wszystko chciała, a kto mi portki kupi.

Czworo rodzeństwa, dwie córki i dwaj synowie, mieli własne gospodarstwa, pozostałych siedmioro, od szesnastoletniej Zosi do czterdziestopięcioletniego Ksawerego, tworzyli rodzinną komunę pod przewodnictwem matki. Wszyscy pracowali w fabrykach, przynosząc całkowity zarobek do wspólnej kasy, z której wydzielano im złotówki na niezbędne osobiste wydatki. Niewielkie zresztą, bo większość kawalerów nie paliła. Wyłamali się z abstynencji trzej najmłodsi pod przemożnym wpływem nowego otoczenia. Łódź oddziaływała niwelująco nawet na Troczewskich. Trzydziestoletni Piotr skompromitował rodzinę — ożeniwszy się z piękną Niemką-wdową i jej piekarnią. Wspominano go jako uwiedzionego nieszczęśliwca i obawiano się aktów rozpaczy. Piotr jednak mocno w grzechu ugrzązł; nie rozpił się, lecz płodził dzieci i robił duży majątek. Nie przebierał w środkach, podobnie jak brat matki. Cóż, zdarzają się tacy w najlepszych rodzinach.

„Swój swego — według sulejowskiego przysłowia — to i palcem w... nosie namaca". U Troczewskich czułem się lepiej niż u wujostwa, lepiej niż w domu. Pan Jan zwabił mnie, zupełnego dzikusa w owych czasach, książkami. Było w czym wybierać, a właściwie brać naręczami. Cała biblioteka Karola Miarki z Mikołowa. Wszystko, co ugruntowuje wiarę naszą świętą katolicką, i obfitość najprzedniejszych żywotów tych, którzy nie szczędzili wyrzeczeń, cierpień, a nawet życia w dążności do wiecznego szczęścia w niebie i zbawiennej pielgrzymki na ziemi. Ubóstwa nie trzeba było mnie uczyć, żyłem nim. Dopiero tu, w Łodzi, wobec nagromadzonego bogactwa i dobrobytu innych, zrozumiałem, czym ono jest. Ćwiczyłem się w pokorze i praktycznym stosowaniu miłości bliźniego. Przyrzekaliśmy sobie solennie z panem Janem, że będziemy wszystkim naszym kolegom przy pracy dobrze czynić, nawet wtedy, gdy nas wrogo traktują. Jakże chętnie opasałbym się był wtedy postronkiem św. Franciszka, ale do beżówki taki pasek nie nadawał się, a do spodni wystarczały skrawki widzewskiej manufaktury.

Naszą wstrzemięźliwość w słowach i stałą gotowość do pomocy i wszelkich usług szybko zauważono w fabryce i z początku podmigiwano sobie tylko wza-

jemnie za naszymi plecami, a następnie gwizdano, jak to czyni gawiedź na ulicznego wariata udającego biskupa: „Popatrz no na niego".

A że wariactwo nasze było jednak tylko „udawane", ten i ów z kolegów „normalnych" czuł się naszym postępowaniem nawet obrażony. Mnie, żółtodzioba, znanego nienasyceńca pracy, traktowano względnie, ale Janowi dostawało się całkowicie według zasług:

— Nie trzeba go słuchać — doradzał mi Przybył — on ma „fogla"!

Wyglądało to, że krzywdzimy bliźnich, więc po naradzie zmieniliśmy taktykę: mieliśmy spieszyć z pomocą tylko na wezwanie, zachowując życzliwość po staremu dla wszystkich. Rzadko kto prosił o to pana Jana, a ja jako jedyny młody urwis byłem na specjalnych prawach. Zawsze zdążyłem swoje wykonać, i być, gdy się sposobność nadarzyła, przy każdej innej maszynie. Uruchomić ją, wyregulować, puścić najżywszym tempem. Przywiązany byłem całą duszą i do maszyn, i do ludzi, którzy przy nich stali. Bardziej może nawet w tej chwili ceniłem maszyny.

Od małego dziecka współczucie moje do wyjątkowo nieszczęśliwych przeradzało się w głęboki ból, tym głębszy, im mniej można było pomóc cierpiącemu. W siódmym roku życia tak zostałem wstrząśnięty nędzą jakiegoś łazika pijanicy z nogami w gałganach, który mi się pod nieobecność starszych domowników przedstawił jako tokarz żelazny poszukujący pracy, że po krótkim namyśle obdarzyłem go ojcowymi kamaszami. Rozumowałem logicznie: teraz zimą ojciec chodzi w butach, a do wiosny kupi sobie nowe kamasze. Po jakiejś pół godzinie opowiadałem rodzicielce ze łzami w oczach, jak obułem bosego. Matka, nie czekając końca opowieści, wybiegła szukać obdarowanego, i wróciwszy z niczym zaczęła koić swą rozpacz na moim tyłku z takim zapamiętaniem, że się w końcu sama swego dzieła przeraziła i płakaliśmy nad sobą społem. Nie rozporządzałem za to swoim siedzeniem przez kilka dni, ale ani na chwilę nie miałem urazy do niej, czułem, że stała nam się krzywda obojgu. Kamasze kosztowały trzy ruble. Cała tygodniówka ojca, przeznaczona na utrzymanie domu! Ile tygodni trzeba pracować, żeby zaoszczędzić na nowe.

Przypomniało mi się to żywo w roku 1926 po przewrocie majowym. Prowadziłem wtedy przegląd prasy w *Niezależnym Chłopie* i przeglądając wycinki natknąłem się na wiadomość, że jakiś chłopski nędzarz w rozpaczliwym zaślepieniu odrąbał siekierą na pniu ręce swemu siedmioletniemu chłopcu za zniszczenie dwustu złotych.

Tu, w widzewskim blichu, w pierwszych miesiącach pracy pochłaniały mnie przemożnie sprawy techniki. Sądząc wszystkich według siebie myślałem, że im kto ma ciekawszą maszynę, tym jest szczęśliwszy. Ale zbliżając się do maszyn, zbliżyłem się z ludźmi i niebawem ze zdziwieniem spostrzegłem błędność swego mniemania. Najbardziej szczęśliwi byli właśnie ci najmniej płatni przy prostych maszynach, tacy sami jak ja niedawni przybysze ze wsi. Robotnicy z pewnymi kwalifikacjami przy maszynach wymagających inteligencji złorzeczyli swemu losowi. Poza „lordem" z Liverpoolu, którego kolega Przybył

nie pozwalał dotknąć, na końcu sali odgrodzonej szklaną ścianą stały draparki do produkcji barchanu. Pracował przy nich postawny inteligentny robotnik-chłop, Marcin Łęcki. I maszyna, i jej kierownik byli bardzo interesujący. Maszyny nie były wykończonymi automatami. Stopień poprzecznego napięcia materiału i wysokość wytwarzanego włosa trzeba było ręcznie regulować dokręcaniem i odkręcaniem odpowiednich śrub. Łęcki narzekał na szum i na kurz, ale dla mnie wszystko to była mucha. Przecież jeszcze niedawno podnosiłem z Mańkiem Piekarskim nogami i rękami na ulicy Częstochowskiej w Sulejowie taką kurzawę, że sąsiadki biegnąc do nas ze złorzeczeniem nie mogły nas w niej znaleźć.

Maszyna była nieprzystępna. W rękach niewprawnych wierzgała, dziurawiła materiał, i dlatego też pewno najbardziej mnie do siebie ciągnęła, ale Łęcki ją zdystansował:

— Jak fabryka będzie nasza, skasujemy i kurz i huk, to się da zrobić.

Myślałem, że drwi sobie ze mnie. Patrzyłem na niego ze zdziwieniem, pytająco. Jak to „nasza"? Z robotników staniemy się nagle fabrykantami?

— Co się patrzysz? Kunitzer nie był bogatszy od nas, gdy sie wziun za fabrykanta. Znają go tu w Widzewie. Cała ta szpinernia i webernia, to wszystko nasza robota. Ja tu już dziesięć lat robie.

Po włączeniu nowego zwoju tkaniny maszyna poszła w ruch z szumem kilku turbin wodnych, w powietrzu zafalował puch, jakby kto tuzinem dziurawych pierzyn potrząsał. Łęcki zaczął się krzywić, ja mu zazdrościłem. Co by to za przyjemność była iść ze śladami takiej roboty do domu. Każdy by widział, jaką ważną funkcję pełnię. Na mnie nie było żadnych śladów, jakbym wcale w fabryce nie pracował. Nie miałem szczęścia.

Za oszkloną przegrodą zazgrzytał „Lord", kończyła się niespodziewana przerwa spowodowana zatorem na suszarce. Przemykałem się ku swej „winkielce" między maszynami, jak piskorz między wodorostami na dnie mulistego strumienia. W porę. Właśnie zakładano mi przy majstrze świeży walec ciężkiej pościelowej tkaniny. Nie wstrzymując ruchu rozkładałem jej koniec w dłuższą podkładkę i strzelałem nim przy tym jak z fornalskiego bicza. Majster uśmiechnął się. Żyłem stale w krainie sennych dziwów na jawie. Od sąsiedniej maszyny spojrzały na mnie zawistne oczy osiemnastoletniego dryblasa przyjętego przed tygodniem, z którym zdążyłem się już poczubić. Jako trochę starszy, wyższy wzrostem i bogatszy odzieniem chciał mi przewodzić nawet tam, gdzie już byłem mistrzem. Zatrąbiłem na odczepne, a ten do mnie z siłą, którą przeceniał. Podbił mi oko, ale i ja rozpłaszczyłem mu nos na kilka dni, i w dodatku przy szarpaninie oberwałem kołnierz od koszuli. Rąbałem się z nim jak Wołodyjowski z Bohunem. Zremisowaliśmy z lekką przewagą po mojej stronie, co mu dało powód do odgrażań, że pójdzie ze skargą do obermajstra. Nie poszedł, ale za to cztery lata później oddał mnie w ręce żandarmów carskich. Ale i po tym starciu górowałem, i to nie tylko dlatego, że mu łeb toporkiem porąbano i pozostał na całe życie ze srebrną czaszką i miedzianym czołem...

Teraz, po wyjściu z fabryki, wobec tęczowo kolorowego otoczenia, czułem się szarą drobiną. Przy książce, w dyskusji, w lesie Widzewskim, obok którego mieszkałem, w marzeniach, zapominałem o swej niedoli, ale wśród ludzi, a zwłaszcza bawiących się rówieśników, zalatywało ode mnie niezrozumiałym smutkiem. Nie mogłem się wyprostować pod ciężarem długu. Dwanaście rubli! Mało go ubywało. Gdy w tygodniu nie było święta, wypłacano mi po awansie trzy srebrne ruble i trzy czterdziestówki. I to na całotygodniowe wyżywienie, i półtora rubla na dług. Ale stale zdarzały się święta, a Wielkanoc z pięciodniową przerwą doprowadzała do rozpaczy. Pierwszy raz w życiu nie mogłem się radować ze Zmartwychwstania Chrystusa. Czego to ta „dobra" fabryka nie popsuje! A tu buty spadają z nóg: dwa i pół rubla. Koszula i podkładki: rubel. A ile drobiazgów! Pracuje się przecież. Trzeba dać ofiarę w kościele, trzeba pomóc jakiejś wyjątkowo biednej babce na intencję wszystkich dusz w czyśćcu cierpiących. Fizycznie czułem, że po takim akcie miłosierdzia jakaś dusza wysuwa się z czyśćca tak gładko, jak czekoladka z automatu po wrzuceniu dziesiątki. Rozumiałem, że po długich „upaleniach" czyśćcowych niejedna dusza może tam wisieć na włosku jakiegoś mizernego grzechu, nie odkupionego jeszcze, i wystarczy miedziany grosz do jej uwolnienia. A jednocześnie i babka ma na bułkę... Tak by się chciało pomagać wszystkim, a przede wszystkim tym nieporadnym. Zawsze odczuwałem wielką przyjemność, gdy mogłem komuś pomóc w dźwiganiu, popchnąć ręczny wózek, złapać za koło, gdy się koń wybijał z sił.

Postanowiłem ograniczyć jedzenie do chleba, sacharyny i fabrycznej herbaty, ale ciotka odradzała. Nie mogłaby patrzeć na moje głodowania. Posmutniałem jeszcze bardziej. Wśród dowcipów i śmiechu, zagłębiony w *Tygodniku*, stawałem się nieobecny. Nieświadomie prządłem wkoło siebie kokon odosobnienia. Wyglądało to tak, że się zawiścią dławię, że żywię nieuzasadnione pretensje. A ja, błądząc w labiryncie sprzeczności i szukając wyjścia, nie mogłem się teraz beztrosko bawić, choć taki spragniony tego byłem w Sulejowie.

Łęcki w czasie dorywczych spotkań mówił często o „śpiącym wojsku". Dochodziliśmy do wniosku, że nie ma co czekać, tylko budzić śpiących robotników. Długo nie mogłem zasnąć po takiej pogadance. Łęcki mówił o Polsce językiem codziennych potrzeb. Przynosiłem to do domu, ale wujostwo doradzali ostrożność. Owszem, to porządny człowiek, jest ich tam więcej takich, ale jeszcze nie pora. Trzeba więcej wiedzieć, a mniej gadać. Zaczęli przecież sześć lat temu na pierwszego maja, i co z tego wynikło? Pewnie, że tak może zostać, ale niech sobie myślą o tym lepsi. Kto chce na coś wyjść, musi być mądry, a nie jakieś fiu fiu. Jak to teraz widzę, cała rodzina wujostwa była światła, wolnomyślna i... realnie myśląca. Wuj pacierza nie odmawiał i do spowiedzi nie chodził, bardziej jednak z lenistwa niż z niewiary. Chętnie opowiadał o przywarach księży dla samej przyjemności opowiadania, bo z innych wynurzeń widoczne było, że nie utożsamia kościoła z jego przedstawicielami. Zbyt inteligentny był na to. Ciotka praktykowała z umiarkowaniem. W żadnym wypadku nie pobiegłaby na roraty, pozostawiając drobne dzieci na opiece Bo-

żej, jak to robiła moja matka. Dla Janka wszystko było zabawne i śmieszne. Kaziutka najbardziej oczywiste prawdy i fakty traktowała z niedowierzaniem. Nikt się niczym zbytnio nie przejmował. Od czasu do czasu czytywaliśmy *Polaka* wydawanego w Krakowie przez Wojnara, lecz czyniliśmy to również bez większego zapału. Wiadomo, Polska będzie. A nastąpi to samo przez się, drogą zrządzenia Opatrzności, niepojętym sposobem. Kto by się tam zastanawiał, dlaczego po zimie następuje wiosna!...

Przez jakiś czas wszystkie wolne chwile poza pracą w fabryce spędzałem u Troczewskich, ale w miarę pogłębiania się stosunków z Łęckim i jego kołem w przyjaźni tej powstawały coraz większe luki. Troczewscy, i to oboje, mieli taką samą przeszłość jak mój ojciec. W skarbcu rodzinnym, podobnym do kufra babki, oprócz pamiątek ślubnych i gromnicy przechowywano nominacje dziadków na chorążych i poruczników. Patrząc na to widziałem las proporców nad wojskiem polskim. Było to już nie tylko opowiadanie o czymś jak w bajce, co mogło być zmyślone, ale dokument urzędowy z pieczęcią. Niekiedy w niedzielę przy szczelnie zamkniętych oknach Zosia śpiewała srebrzystym głosem „Leci liście z drzewa". Podtrzymywaliśmy ją mruczando ze wzruszeniem. I do tego sprowadzała się akcja patriotyczna Troczewskich. Rozpamiętywanie klęsk przeszłości. Swego rodzaju gorzkie żale zabarwione hiobizmem. Przyszłość widziano w wyrokach nieba.

Łęcki zapoznał mnie z towarzyszem Piotrem Orczykiem, robotnikiem podwórzowym, chłopem spod Tuszyna, sekciarzem gotowym na śmierć za prawdę chrześcijańską i sprawiedliwość. W kole kilku osób sylabizowano Biblię i pierwsze broszury Polskiej Partii Socjalistycznej: „Ojciec Szymon" i „Czy teraz nie ma pańszczyzny". W pierwszej chwili zespół był zaskoczony widokiem nowego konspiranta, ale po dyskusji i próbie czytania uwidoczniło się, że dorastam do ogólnego poziomu. Wkrótce towarzysz Orczyk znów jakąś opatrznościową drogą zdobył trzy tomy Mickiewicza w wydaniu krakowskim. Były to: „Dziady", „Pan Tadeusz", „Księgi Pielgrzymstwa", a w drobnych utworach między innymi „Reduta Ordona", „Droga do Rosji" i „Petersburg". Codziennie w ciągu kilku tygodni czekaliśmy z niecierpliwością wieczora, jak zawodowi karciarze, aby się oddać polityce mickiewiczowskiej, bo poezja mało nas interesowała. Uczyłem się co prawda na pamięć „Ody do młodości", a nawet całych ustępów z „Giaura", ale też tylko dla myśli politycznej zawartej w tych utworach. W ogóle we wszystkich utworach Mickiewicza szukaliśmy przenośni politycznej, i gdy jej nie było, wyrażaliśmy zdziwienie, po co to napisane. Towarzysz Orczyk był jednak wysokiego mniemania o poecie:

— To musi mieć znaczenie, i w Biblii uważamy coś za głupie, a to tylko my jesteśmy niemądrzy...

„Pana Tadeusza" i „Dziadów" nie doczytaliśmy jednak nawet do połowy. Bardzo to było rozwlekłe i nudne. Widzieliśmy, że to jakaś „historia" w rodzaju „Chaty wuja Toma", ale o czym? Rozgadaliśmy się o znanych i nieznanych książkach. Towarzysz Kędzierski dowodził, powołując się na opinię człowieka uczonego, że nie ma lepszej książki niż „Żyd wieczny tułacz". Nie

można było sprawdzić. Rozmowa przeszła na kwestię smaku i tu się okazało, że wszyscy jednako nie lubimy ani chrzanu, ani musztardy:

— Ano, jak to mówią, dobry chrzun, ale nie sum...

Dopiero „Reduta", „Oda", „Petersburg" uskrzydliły nasze myśli i uczucia.

— Zaraz, zaraz — przerywano czytanie co kilka wierszy — niech no poczeka... jak to jest. Jeszcze raz...

— *...Mocarzu, jak Bóg wielki, jak szatan złośliwy...*

— O! Słyszyta?! I Chrystusa zamordowali i przywalili kamieniem. Żadna siła im nie pomoże.

Oglądaliśmy jeszcze raz, i jeszcze raz portret wieszcza, i komentując poszczególne zdania czuliśmy go między sobą jak szóstego towarzysza.

— Tak, ja wam już nieraz mówiłem, że Polskę można wziąć tylko czystymi rękami — uogólniał Orczyk.

Schowałem „Księgi" za pazuchę, radując się myślą, że jutro przy niedzieli przeżyję w domu Troczewskich jeszcze jedną uroczystość. Na prymarii prosiłem Najświętszą Pannę o światło i pomoc na drodze misyjnej, którą już wyraźnie widziałem przed sobą. Przepełniła mnie radosna otucha. Matka Boża patrzyła na mnie łaskawie. Dałem szóstkę na ofiarę i uśmiechnąłem się na głośne: „Panie Boże wielki zapłać!", które normalnie było podzięką co najmniej za srebrną czterdziestkę. Uczcił ksiądz prałat wdowi grosz.

Po drodze do domu uprzedziłem pana Jana, że przychodzę zaraz po obiedzie z nową ewangelią. Zgrzyt. Pan Jan był wyraźnie zakłopotany: „Nie ma ewangelii poza Nowym Testamentem". Nie pomogły moje dowodzenia, że Polskę też zamordowano, jak Pana Jezusa. Pan Jan nie oponował, ale widać było po nim zaniepokojenie. Obawiał się herezji. W sprawach wiary nie znosił żadnych porównań. W stosunku do opoki, na której stał, wszystko inne było kruche i nic nie znaczące. Dotknęło mnie to niemile, ale pocieszałem się, że Mickiewicz zwycięży. Błędnie mniemałem: wieszcze tylko tam zwyciężają, gdzie się ich oczekuje. Troczewscy nie wierzyli w żadne prawdy i w żadne proroctwa poza tymi, które znali. Tradycja polskiego katolicyzmu sprzed wieku całkowicie ich przytłaczała. Żyli tym samym, co katolicki Górny Śląsk, co lud żydowski rozrzucony po małych miasteczkach: — przeszłością i dniem dzisiejszym.

Zaczęło się od tego, że z książką w rękach i wypiekami na twarzy nie mogłem doczekać się zakończenia rozmowy o pogodzie i majstrach... A gdy nareszcie udzielono mi głosu, nie był on już moim. Ulotniło się z niego uczucie, a czytany tekst, tak plastyczny i żywy w gronie towarzyszy, tu przetworzył się w szarzyznę, która tylko monotonią mogła być wyrażona. Nie wierzyłem oczom i uszom. Ulegałem czarom, bliski byłem odganiać je krzyżem. Nie, z Mickiewiczem nie powiodło mi się u Troczewskich. Nic tu nie dorównywało „Cudom Bożym we mszy świętej". Tak samo w domu Mickiewicz nie mógł konkurować z Sienkiewiczem. Wyszedłem ze swym zapałem na dudka.

Dopiero dziś wiem, że nie wzruszą zacofańca klasyczne dzieła postępu,

ale w rewolucyjnej atmosferze nawet Biblia może być pobudką i wyrazem przewrotowych dążności.

W roku 1918 na pamiętnym pogrzebie siedmiu ofiar, zamordowanych przez piłsudczyznę na demonstracji żądającej uwolnienia radzieckiej misji Czerwonego Krzyża, najbardziej rewolucyjnie brzmiało „Kto się w opiekę", śpiewane na tyłach konduktu przez masę robotnic z przedmieść. Potęgą huczała Międzynarodówka, skarga „Czerwonego Sztandaru" przechodziła w namiętną groźbę, lecz dopiero proletariuszki w kraciastych chustach skandujące z wielką siłą „Na lwa srogiego bez obrazy wsiędziesz" uprzytomniały, że dni smoka reakcyjnego są policzone.

Albo czyż może być bardziej wyrazista symbolika uczuć niż nagrobki czerwonoarmistów w Polsce, obwieszone obrazkami świętych? To matki Polki, chłopki i robotnice, na swój katolicki sposób wyrażały wdzięczną serdeczność bohaterom-oswobodzicielom.

Pasyjkę, obrazek, czasem koronkę z krzyżykiem, albo nawet szkaplerz zdjęty bezpośrednio z szyi, składa się z westchnieniem na mogile najbliższych. Wszystkie te świętości zdobiły miejsca spoczynku „bolszewickich bezbożników" pod Warszawą, w centrum Łodzi, czy na Śląsku.

Część rodziny Troczewskich z Piotrem „Niemcem" na czele dążyła do lepszych zarobków i wybicia się w życiu, pozostała zaś — większa — wyrodniała: był to jakiś dziwny niedorozwój umysłowy i chorobliwa mistyka pogłębiająca się z latami.

Sprawy społeczne nie interesowały nikogo z nich. Jedni zatopieni byli w Bogu i sprawie zbawienia duszy, drudzy w codziennych interesach i marzeniach o majątku. Ja przy całym katolickim wychowaniu byłem poganinem. Ziemia, po której chodziłem, miała dla mnie tyle uroku i tyle tajemnic, że niebo mało mnie interesowało. „Tamten" świat potrzebny mi był do pomocy w urządzaniu się na ziemi. Bóg Ojciec, Syn i Duch Święty byli mi prawie obojętni. We wszystkich troskach i radościach byłem przy Najświętszej Panience. Ona mi pomagała w lesie, na głębszych wodach Pilicy, przy pracy i w nauce. Ona w dziełach sztuki kościelnej ucieleśniała najwyższe piękno. Była moją opiekunką, najbliższą powiernicą i wielką przyjaciółką. W innych warunkach mogła ją była zastąpić z powodzeniem matka. W naszym surowym życiu jednak rzadko która rodzicielka jest bóstwem swych dzieci, a ojcowie, z nielicznymi wyjątkami, są mniej lub więcej podobni do Jehowy, który wymaga bardzo specjalnej miłości...

U Troczewskich rządził boży konwenans i nieograniczony autorytet pradziadków. Poróżnił nas Mickiewicz-pielgrzym, oraz pierwszy obudzony żołnierz śpiącego wojska, którego spotkałem w swym życiu: Łęcki. Konspiracyjny Widzew stawał się teraz dla mnie stolicą mądrości. Tomiki Mickiewicza jak niespodzianie przypłynęły, tak też i odpłynęły. Chciałem się nauczyć fragmentu o narodach szukających natchnienia u cieśli, i o ludach wolnych, które nie dbają o to, chociaż „czasu fala wszystkie budowle i pomniki zwala", ale towarzysz Orczyk nakreślił ręką elipsę, co oznaczało, że wszystko jest w ruchu.

Niebawem z Mickiewiczem i w ogóle z literaturą piękną rozstałem się zupełnie i na długo. Jakże można było tracić czas na dyrdymałki, gdy się obiema nogami stawało na terenie poważnej nauki? Przeczytałem w skupieniu i zachwycie religijnym „Ojca Szymona", „Czy teraz nie ma pańszczyzny?", „Czy Europa ma skozaczeć" i jakiś numer *Przedświtu,* w którym się mówiło o możliwości nowego powstania, z armatami nawet dostarczonymi przez Turcję. Poruszano tam pewno i inne poważne zagadnienia, bo całe trzy dni, czytając dorywczo, chodziłem z rozpaloną głową. — Nie mogę niestety teraz sprawdzić numeru, bo archiwa popalone i nieprędko zostaną odbudowane. Ale może to i lepiej. Nie piszę „przyczynków" do historii, niech się nią zajmą skłonni do ścisłości, ja chcę opisać radości i smutki, jakie przeżywałem w strumykach ruchu, które urosły na zakrętach historycznych do wielkich rzek.

Od dzieciństwa prędko uczyłem się na pamięć i prędko zapominałem. Obecnie mam prawdziwie kurzą pamięć, zwłaszcza gdy idzie o daty i nazwiska. Przykre przeżycia też mi jakoś wywietrzały. Chodziłem na przykład nie tylko w przenośni... bez portek, lecz dziś wydaje mi się, że byłem od urodzenia magnatem. Pamiętam za to dobrze zapach i ciepło chleba niesionego pod kapotą z fabryki na stancję — jak również zapał, który mnie ponosił razem z innymi przy każdym spotkaniu z nową ideą.

Tak czy siak, jeżeli jakiś porządny historyk będzie chciał ożywić obiektywne fakty, będzie musiał sięgać do źródeł „nieścisłych". Wiemy dużo o wielkich Grekach i Rzymianach i zupełnie nie znamy ich realnego życia. Gdzież jest codzienny byt, gdzie jest uczuciowe i umysłowe życie tych, którzy tę kulturę od dołu budowali? Żeby tak jakieś niewolnicze lub choć plebejskie „nieścisłości" z tych czasów! Niejeden intelektualista Homera by dla nich opuścił.

Wracam do mej literatury. Były zdania trudne do zrozumienia z powodu „naukowego" języka, ale znając przedmiot domyślałem się w przybliżeniu znaczenia poszczególnych wyrazów. Tak w kilkanaście lat później poznałem język niemiecki na broszurach Socjal-Demokratycznej Partii Niemiec. Czytałem te pierwsze moje naukowe dzieła, jak w dzieciństwie „Lampę Aladyna": mogłem powtórzyć po swojemu całą treść. I jak dawniej byłem „bardem na pastwisku", tak obecnie stałem się mocną „polityczną głową" wśród robotników widzewskich. „Ojciec Szymon" umiał odpowiedzieć na wszystkie najważniejsze sprawy. W kilka tygodni stałem się swego rodzaju „Wańką-wstańką". Nikt z otoczenia nie mógł mnie zbić z nóg i z „pantałyku", bo miałem mocny punkt oparcia w treści przyswojonych broszur. Polityka czy ekonomia, sprawa płacy, czy drożyzna — na wszystkie te zagadnienia broszury umiały odpowiedzieć. Tak bywa z niedorostkami, którzy to i owo przeczytali: będą mówić głupstwa, ale do rzeczy, logicznie. Zdobywałem pewność siebie. Życia nie starczy na urzeczywistnienie zadania, które miałem przed sobą. Istnieją pańszczyzna i wyzysk kapitalistyczny, które trzeba znieść. Nie da się tego dokonać bez pobicia ciemięzców. I oto teoretyczne uzasadnienie dotychczasowych bezładnych marzeń i majaczeń, zbudowanych na podstawie ojcowych dowcipów i dykteryjek. Czy Europa ma skozaczeć? Nie, nie skozaczeje!

Czułem dość energii w sobie, żeby do tego nie dopuścić. Przecież wystarczy, aby wszyscy te proste prawdy poznali.

Nie trzeba było długo tłumaczyć. Większość mych towarzyszy, to chłopi z bardzo żywym poczuciem krzywdy pańszczyźnianej. Nie tej, o której słyszeli od ojców, lecz współczesnej im, za pięć czeskich dziennie. Olśniewała ich prawda, wyłaniająca się spoza dopustu Bożego:

— Prawda, jak amen w pacierzu, tylko jakże to i z czym przeciw takiej mocy?

Tu na pomoc przychodziły armaty z Turcji...

...Przeżywałem w tym czasie okres nadzwyczajnego entuzjazmu. Powiedziałbym — że był to okres jedyny, ale nie byłoby to prawdziwe, bo wciąż przechodzi się całe życie od jednego upojenia entuzjazmu do drugiego, i trudno określić, które było większe. Pod tym względem pamięć zupełnie zawodzi. Nawet w starości niesie człowieka gdzieś między gwiazdy bez widocznej przyczyny. Coś się uda, coś nowego się wykona własnymi rękami — i już się jest w dobrym humorze, a cóż dopiero, gdy zaczynamy kłaść fundamenta pod wielki gmach i patrzymy na wyłaniające się spod naszych rąk jego fragmenty.

A Łęcki nawiązał nowe stosunki w mieście. Nie mówił wyraźnie, co i jak, lecz widoczne było, że wszedł w kontakt z większym składem „bibuły". Książki drukowano w Warszawie z pozwolenia cenzury, ale były „socjalistyczne" i należało się z nimi ukrywać. Podrabiano zapewne napisy o cenzurze, bo przy rewizji żandarmi zabierali i książkę, i czytelnika. Pierwszym takim zakazanym dziełem dla mnie była astronomia. Po przeczytaniu tytułu i ustaleniu, że idzie o niebo, ogarnęła mnie radosna duma. Miałem ujrzeć to, czego „ani oko nie widziało, ani ucho nie słyszało". Dzieło ukryłem na piersiach za koszulą i z niecierpliwością biegłem do domu, jak ktoś ze znalezionym i nie ocenionym jeszcze skarbem.

Ale i u wujostwa panowała uroczystość. Kazia zaczęła czytać „Anielkę" Prusa i zachwyt jej, podtrzymywany głośno czytanymi urywkami, udzielił się wszystkim. Stwierdzono ze zdumieniem, że nie tylko Sienkiewicz umie „ładnie pisać". Gdy wszedłem, wszyscy razem chcieli się podzielić ze mną tym nowym odkryciem. Wydąłem wargi, odżegnując się od czytania. Z takim samym skutkiem mógłbym był odmówić poszczenia w piątek. Popatrzono na mnie jak na tępe i niesforne szczenię. Z powodu takich szusów kilka razy już wyrażano wątpliwość, czy co ze mnie będzie. Obecnie zademonstrowałem nowy brzydki rys: nadęte zarozumialstwo.

— Jakżeby, gdy wszyscy tak, on musi inaczej!

— Nie mam teraz czasu na taką zabawę — oświadczyłem zuchwale, wyciągając jednocześnie swoją książkę zza pazuchy.

Janek zorientował się od razu, o co idzie:

— Patrzcie, mędrzec, będzie wróżył z gwiazd.

— Przez dziurawy kaszkiet — uzupełnił wuj.

Widoczne było, że biorę się nie za swoje rzeczy. Rozmowa zeszła na naukę

i mądrali nieprzygotowanych do niej. Przeczyta, nie zrozumie, bo skąd, a zachowuje się jakby wszystkie rozumy posiadł. Albo wariat, albo niedowiarek, co zresztą na jedno wychodzi. Nie przesądzono o mojej przeszłości, bo ostatecznie wszystko zależy od głowy. Wuj zaopiniował, że można i trzeba czytać wszystko, ale swoje wiedzieć. Ciotka powątpiewała, czy ja to potrafię. Kazia patrzyła na mnie z niechętnym zdziwieniem, a Janek dobrodusznie drwił. Nic dziwnego, i zewnętrznie i wewnętrznie nie mogłem wzbudzać sympatii. Zdobyta wiedza uderzyła mi do głowy, jak niejednemu działaczowi władza: stawałem się przemądrzały, pewny siebie, z góry patrzący na innych, słowem „hegemon", tylko bez krzyża zasługi w klapie. Bo jakże, wiedziałem, jak obalić carskie panowanie, wierzyłem w urzeczywistnienie tego zamiaru i przygotowywałem siły do tego. Jeżeli się wszystko bierze głęboko na serio, czy nie można poczuć się wielkim? Jeżeli tylko dopisuje inteligencja i temperament i starczy życia do osiągnięcia najwyższego punktu rozpoczynającego się społecznego postępu, to tu właśnie jest punkt wyjścia ku prawdziwej, nie tylko urojonej wielkości. Co do mnie, naprawdę byłem nieznośny. Stosunki się coraz bardziej psuły, i wkrótce ciotka wymówiła mi mieszkanie:

— Idź do takich mądrych, jak sam jesteś.

Teraz dopiero widzę, że miała rację, ale wtedy przyjąłem tę wiadomość ze łzami w oczach. Owszem, „stawiałem się", miałem swoje — czasem cudaczne — zdanie, ale kochałem wszystkich po swojemu. Wujostwo również byli wzruszeni, decyzji jednak nie odwołali. Mieli mnie dość. Musiałem szukać stancji i zaopatrzyć się w ruchomości zwykłego „stancyjarza": siennik, poduszkę i bawełnianą kołderkę. Był to nadzwyczajny — dwurublowy — wydatek.

Przymuszony okolicznościami — zacząłem się usamodzielniać.

WILHELM SZEWCZYK

KOLEGO

Kolego, towarzyszu, bracie — trzymasz młot, a ja trzymam pióro,
jednakie to narzędzia u palców, jak jednakie są nasze stopy,
ciebie wydecha szybu przełyk gorący, mnie wichura,
ze mną rzewne panienki, z tobą po szychcie idą — chłopy.

Ale cóż, piorun książki przekreśli i spali,
i cóż, i styl łopaty korniki przewiercą,
więc trzeba, by się dłonie nasze nie mijały, jak na fali
okręty, zaprzysięgłe innowiercom.

Świt połamał gałęzi tyle i w drodze
niejedną kapliczkę zburzył, a więc teraz
ty jak orzeł co skrzydła swe wyrwał pożodze
mnie poetę ucz, jak nie można dla Polski umierać.

Groby otwarłem jednym tchnieniem, umarli
zaludniali mój pokój i pieśni mej strzegli,
zdobywając mnie szeptem: Pomnij i ogarnij,
że myśmy nie umarli zwykli, lecz polegli.

Ty ucz żyć poetę, bracie niezawisły,
któremu ziemia wiernie służy i gra obłok
wieczorny, który zmrokniał i gwiazdy zeń trysły
i ziemia, co pod słońce pierś wypina obłą.

To już nie sen, pójdziemy, grzmiąc stopą jednaką
po asfalcie szerokim, który spali łąki,
mnąc w dłoni nieprzyjaciół jak suche hodiaki,
dwa nowych chwil lirycznych epickie początki.

RANO

Z bułkami wózek biegnie, bukiety gołębie
wiąże lot muchy modrej, buczy raz i drugi,
już czwarty towarowy pociąg wiezie węgiel
po szynach wykiołzanych i lśniących jak pługi.

Dzień dobry, robotnicy miną i kurzawa dzieci
idąc do szkoły ciska kamienie w wagony
śmiejąc się, gdy kolejarz jakiś, zły jak cietrzew,
z pędzącej grozi budki palcem pokrwawionym.

Upał zwisa jak szklany, wysoki kandelabr,
w hałdach więdnie powietrze i jak nać jesienna
uschnięte i sczerniałe w piersiach się spopiela,
że dymem suchym trzeszczą, dygocąc jak w zimno.

Listonosz zaraz pismo przyniesie od siostry,
rower oprze o płotek i wiejąc kopertą
krzyknie z dworu: szczęśliwy! Z kopalni już wrzawa,
skrzypiąca barka, płynie i u okien moich,

jak w porcie zakotwicza się, że nawet trudno
powiedzieć posłańcowi z poczty: Boże zapłać.
Jem świeżą bułkę, czytam i do pracy idę
w dymie podnosząc nogi wysoko jak czapla.

MOJE MIESZKANIE

Biały bandaż północy, ciemna jesień podwórza,
w zaropiałym śmietniku wyrzucona gitara,
kulejąca dziewczyna po mleko,
dzwonek u stóp i ziemia, biała pleśń.

Piwnica dnia, gdy w dom się zanurzam,
nurek wśród lian poręczy chwiejących się w dłoni.
W mroku, lepkim jak wiśnia gnijąca w komodzie,
spotykają się ręce z obrzydzeniem, ciekną
ku sobie gnijąc i wrzodami płonąc.
Na pierwszym piętrze krakowiaczki gra

obsmarkana przez dzieci skrzynka,
na drugim wiruje ostatnia noc, biało świecąca w mroku,
cicho pył opada i jak rój maleńkich muszek
błyszczy, gdy dłonią świecisz gdzie przyłożyć klucz.

Wchodzę. Tu moja wolność, rozbita donica,
po kątach w księżycu bieleje,
z książek ucieka strumień i przez okna
na ulicę wycieka, na druty
pożądliwie łapiące dźwięki,
by je dalej podać, podać.

Niedogryziona godzina odejścia w kuchni. Zresztą cisza.
Wsuwam dłoń pod poduszkę jak łom.
Ciężka od głów, które na niej kładłem,
unosi się i widzę moją przeszłość: papier.
Wiersze napisane, obskubane przez dziewczyny,
które mi przynosiły kawę, zapinając
szlafrok na rozeschłym wiązaniu biódr.

Już cały dom obandażowany, świt,
już kulejąca dziewczyna puka,
z dołu gra i turkocze obsmarkana skrzynka,
cień krawatu szyję przed chłodem
tuli; przemija przemoc, kołysanka skarg;
nie dopiję, nie dopiję mleka
przyniesionego mi w dzisiejszy świt.

FREY LOPE FELIX DE VEGA CARPIO

OWCZE ŹRÓDŁO

(Fuenta Ovejuna)

z hiszpańskiego przełożył

LUDWIK HIERONIM MORSTIN

KRÓL FERDYNAND
KRÓLOWA IZABELLA
DON RODRYGO TELLEZ-ŻYRON, *wielki mistrz Calatravy*
DON FERNAND DE GUSMAN GOMEZ, *komandor*
DON MANRIKO

LAURENCJA
PASCHALA — *chłopki z Owczego Źródła*
HIACYNTA

BARRILDO
MENGO
JUAN ROXO
FRONDOZO — *chłopi*

ORTUNO
FLOREZ — *słudzy*

LEONELLO, *student*

ESTEVAN
ALONZO — *sędziowie z Owczego Źródła*

SĘDZIA

POSEŁ 1
POSEŁ 2 — *z twierdzy Ciudad-Real*[1])

CIMBRANOS, *żołnierz*

Żołnierze, chłopi, kobiety, dzieci, muzykanci.
Rzecz dzieje się w Hiszpanii, w Owczym Źródle i w kilku innych miastach, w r. 1475.

[1]) Wymawiać: Sjudad-Real.

AKT I

ODSŁONA I

(W Calatravie, w domu KOMANDORA)

KOMANDOR: Czy mistrz wie, że jestem w mieście?
FLOREZ: Jest mu to, panie, wiadome.
ORTUNO: To jeszcze dziecko zuchwałe.
KOMANDOR: A czy mistrz wie, że ja jestem
Don Fernand de Gusman Gomez?
FLOREZ: Młodość nie dba o pozory.
KOMANDOR: Jeśli mnie nie zna z imienia,
to powinien mistrz Zakonu
przyjść się witać z komandorem.
ORTUNO: Są tacy, którzy go uczą
tego niedbałego tonu.
KOMANDOR: Tak czyniąc miłości szczerej
w sercach ludzi nie zdobędzie,
świat lubi dobre maniery;
mieć powinien to na względzie,
jaką cześć ma oddać komu.
ORTUNO: Pewno, gdyby pan tak możny,
na tak wysokim urzędzie,
wiedział, ile przez to traci,
jak łatwo z wiernych przyjaciół
zrobić sobie w życiu wrogów —
o tę cnotę by się starał.
FLOREZ: To jest najgorsza przywara;
jeszcze pomiędzy równymi
można ją nazwać głupotą
i nie zważać zbytnio na nią,
lecz u tych, co mają władzę,
niegrzeczność bywa tyranią.
Jemu jednak za złe tego nie miejmy,
młody jest, więc nieuprzejmy.
KOMANDOR: Kiedy raz przypasał szpadę,
krzyż błyszczący blaskiem sławy,
krzyż Zakonu Calatravy
gdy raz piersi jego zdobi —
powinien wszystko rozumieć.
FLOREZ: Są widać tacy najbliżsi,
co umacniają go w dumie.
ORTUNO: Nie czekajmy, chodźmy sobie.
KOMANDOR: Nie. Chcę wiedzieć, co on myśli.

(Wchodzi WIELKI MISTRZ CALATRAVY. Ma ledwo czternaście lat. Ubrany w płaszcz znaczony czerwonym krzyżem. Za nim świta rycerzy Calatravy)

MISTRZ: Wybacz, zacny komandorze,
Fernandzie Gomez de Gusman,
dowiedziałem się w tej chwili,
że już przybyłeś do miasta.
KOMANDOR: Przyznaję, byłem zdziwiony,
przyznaję, żem się spodziewał
większej atencji ze strony
mistrza Zakonu dla tego,
kto go od dziecka wychował:
dla komandora i sługi.
I ja krzyż noszę czerwony,
który jest twoją ozdobą.
MISTRZ: Ach, pewny byłem, Fernandzie,
że przyjdziesz, cieszę się tobą,
chcę cię uściskać.
KOMANDOR: Ma prawo
żądać należnych honorów
od ciebie, rycerstwa wzoru,
ten, który życie narażał
dla twojej władzy i sławy,
nim cię, mistrzu, Ojciec Święty
bullą nie upełnoletnił.
MISTRZ: Pamiętam o tym, pamiętam,
na ten na piersiach znak świetny
przysięgam czcić cię jak ojca.
KOMANDOR: To mi wystarcza, młodzieńcze.
MISTRZ: Powiedz, co mówią o wojnie.
KOMANDOR: Powiem, wysłuchaj spokojnie
i czyń, co każe sumienie.
MISTRZ: Ja w słuch się cały zamieniam.
KOMANDOR: Wielki mistrzu Don Rodrygo
Tellez Żyronie, tę godność
ojcu twojemu zawdzięczasz,
który zrzekł się jej dla ciebie.
Dziś ważność tego zrzeczenia
aktem osobnym poręcza
Zakon, komtury i króle,
i pontyfikalne bulle
przez dwóch wydane papieży.
Jest rzeczą twojego honoru,
by mistrz wielki Calatravy

bronił dziś tej samej sprawy,
za którą rodzic twój walczył,
żeby Kastylii koronę
miał w rękach dziedzic jej prawy,
a więc król Portugalczyków,
a więc Don Alfons, małżonek
Infantki Donny Joanny.
Ona Kastylii królową,
a nie te dumne Hiszpany,
których praw mniejszość chce bronić,
Ferdynand król Aragonii
i Izabella Infantka.
Joanny wiernym wasalem
twój ród był, mistrzu, twój Zakon,
i zawsze w świętym zapale,
zawsze z ochotą jednaką
walczył w obronie królowej.
A teraz słuchaj co powiem,
ażebyś wiedział co czynić:
Zwołaj twych braci rycerzy,
na Ciudad Real uderzaj
i bierz tę twierdzę, co leży
na Andaluzji granicy —
Kastylii żyznej jest kluczem.
Choćbyś miał ludzi niewiela —
stawaj u bram Ciudad Real;
tam nie ma wcale załogi —
trochę szlachciców i grandów,
co bronić chcą Izabelli
i umrzeć za Ferdynanda.
Wielki mistrzu Don Rodrygo,
dziś pokazać musisz światu,
że ten krzyż z krwi i szkarłatu,
który na piersi twej dźwigasz
mimo tak młodego wieku,
nie jest dla mistrza za ciężki.
Oto rycerze umarli,
twoi wielcy antenaci,
trumien poruszyli wieko,
pokazują, jakim laurem
masz sławę rodu wzbogacić.
Oto Urueny hrabia
odziany w szkieletu kości
woła, że się krwią zarabia

na pamięć u potomności.
Oto markiz de Villena,
z nim rycerzy świetnych tylu,
którzy trudem życia krwawym
wystrzępili skrzydła sławy,
z grobów ku tobie się chylą.
Wyciągnij tę szpadę białą.
Póki tej klingi żelazo
krwią się wroga nie zrumieni,
(dziś jest od brylantów czystsze)
dopóki nie będzie krwawsze
od tego znaku na płaszczach —
ja nie nazwę ciebie mistrzem.
Krzyż na piersi i miecz w dłoni
jednego chcą być koloru,
a ty, przesławny Żyronie,
twoich świetnych przodków wzorem
w bohaterów Panteonie
obok ojców twych masz stanąć.

MISTRZ: O, bądź pewny, komandorze,
że w tym wielkim ludów sporze
pójdę moich przodków śladem!
We mnie się ich męstwo wciela,
trzeba zdobyć Ciudad Real,
bo to jest sprawa honoru;
więc uderzę nań jak piorun
i rozburzę twierdz osłony.
Patrz, wyciągam moją szpadę,
będzie kolor jej czerwony,
jako krzyża blask na zbroi.
Teraz mów, gdzie masz kwaterę,
czy mi możesz dać żołnierzy?

KOMANDOR: Mało, ale bardzo dzielnych.
Pod twoją mistrzu komendą
myślę, jak lwy bić się będą.
Wszak wiesz, w tym niedużym mieście,
co się Owczym Źródłem zowie,
to sami ludzie prości,
w wojennym naszym rzemiośle
niećwiczeni, biedni, wsiowi.

MISTRZ: W Owczym Źródle?

KOMANDOR: Z moich włości
tę wybrałem na mieszkanie.

Zwołaj tylko twych poddanych,
wnet drużyna zbrojna stanie.
MISTRZ: Ujrzysz mnie dzisiaj na koniu,
miecz u boku, lanca w dłoni.

ODSŁONA II

(Plac w Owczym Źródle przed domem komandora. Wchodzą LAURENCJA I PASCHALA)

PASCHALA: Teraz już chyba wiesz wszystko, co trzeba.
LAURENCJA: Oby to sprawiły nieba,
żebym go więcej w Owczym Źródle nie spotkała!
PASCHALA: A ja tobie powiem, Laurencjo,
że widziałam niejedną dziewczynę,
co twarda była dla mężczyzn jak skała,
a później miękkim stała się woskiem.
LAURENCJA: Już ty się o to nie troskaj,
jak miąższ starego dębu serce moje.
PASCHALA: Myślę, nie trzeba nam mówić do źródła:
ja pić nie będę nigdy z twego zdroju.
LAURENCJA: Na słowa jasny blask, tak mówić będę
choćby całemu światu na przekorę.
Gdybym kochała nawet komandora,
czy myślisz, żeby ze mnie chciał mieć żonę?
PASCHALA: To — nie...
LAURENCJA: A widzisz, jakaż moja dola,
mało to w Owczym Źródle chodzi dziewczyn,
które przez niego były uwiedzione —
a teraz każda płacze i złorzeczy,
więc łzami los swój musiałabym polać.
PASCHALA: A ja to jednak nazwę cudem,
jeśli ujdziesz jego ręki.
LAURENCJA: A nazwij jako chcesz, to nic nie zmieni,
miesiąc za mną chodzi stale
i, droga moja Paschalo,
nie uzyskał nic, jak dotąd.
Florez, ten pana swego sługa godny,
no i Ortuno, śmieszny łotr i błazen,
umyślili kiedyś razem,
żeby mnie do grzechu skłonić.
Pokazywali mi bogate stroje,
kolie, manele i do włosów szpile,
a później, serce chcąc przerazić moje,
opowiadali, że gniew komandora

może być straszny, i że takiej sile
nikt się nie oparł. A ja się oparłam
i jakoś żyję.

PASCHALA: Gdzie z tobą mówili?

LAURENCJA: A w lesie, nad potokiem, temu tydzień.

PASCHALA: Laurencjo, tak mi się widzi —
jest twa cnota zagrożona.

LAURENCJA: Moja?

PASCHALA: Nie. Księdza proboszcza.

LAURENCJA: Ja tam się zbytnio nie troszczę,
jestem ładna kurka młoda,
lecz dla jego ekscelencji
jest moja chłopska uroda
może nie dość delikatna.
Lubię na pierwsze śniadanie
zjeść dwa jaja na słoninie
i przegryźć je chlebem czarnym,
gdy mąkę sama rozczynię;
lubię ten chleb popić winem,
kradnąc matce ze śpiżarni,
gdzie trzyma wino zamknięte.
I lubię patrzeć, jak w garku,
gdy pod blachą ogień płonie,
tańczą smakowite skwarki
z pianą w zupełnej harmonii:[1]
to jest mój obiad w południe.
Lubię zjeść na podwieczorek
coś lekkiego, lecz z omastą;
później słodkie winne grona
z własnej, niedużej winnicy
(oby Bóg nam ją uchronił)
połykając przed wieczerzą,
sałatę z wonną oliwą
przyprawić w glinianej dzieży
i zjeść przed pójściem do łóżka.
A w nim syta i szczęśliwa
powtarzać słowa pacierza:
„nie wódź nas na pokuszenie".
Widzisz, takie życie wolę
od tych biesiad gwarnych, szumnych,
na które proszą nicponie,
co wciąż szukają kochanek,
by nam pieśni dźwięczne dzwonić

[1] Dosłownie z hiszpańskiego.

i błagać o noc miłosną.
A po takiej nocy ranek —
pomyśl tylko, wstręt i lament.

PASCHALA: O, słusznie mówisz, Laurencjo,
we mnie uczucia te same.
Gdy u mężczyzn szał przeminie,
podobni są do gołębi,
równie niewdzięczni jak one.
Gdy mróz pola zbieli szronem,
do chat zlatuje się ptactwo,
girlandą nad strzechą się wiją
i wołają: tijo, tijo,
proszą o garstkę okruszyn.
Inaczej całkiem na wiosnę,
gdy błoń zieleni się runią —
wysoko w chmurach trzepocą
nad łąką, gajem i rolą
i judjo, judjo gorgolą.
I ród męski też jest taki.
O, dopóki pożądają,
myśmy ich życiem i duszą,
ich sercem, myślą i wolą,
ale gdy raz nas posiędą —
jako te ptaki nad grzędą
żegnają miłości świergotem.[2]

LAURENCJA: Więc nie ufaj mężczyźnie.

PASCHALA: Wierz, że myślałam już o tym.

(Wchodzą BARRILDO, MENGO, FRONDOZO)

FRONDOZO: A ty, Barrildo, w tym sporze
uznaj to co powiedziałem.

BARRILDO *(pokazując na dziewczyny)*:
Jest sąd, co nas sądzić będzie,
stańmy przed tym trybunałem.

MENGO: Dobrze, niech nas sądzą one,
ja się zgadzam, ale pierwej
z wami tu o zakład idę,
będzie wyrok na mą stronę,
drogo za to zapłacicie.

BARRILDO: Niech będzie na jedną kartę,
a cóż stawiasz, przyjacielu?

MENGO: Moje skrzypce dźwięcznostrunne,
dla mnie bardzo wiele warte.

[2] Po hiszpańsku tu jeszcze gra słów: *tijo tijo* znaczy wuju wuju, *judio judio* — żydzie żydzie.

BARRILDO: Zgoda, więc się zakładamy.
FRONDOZO *(podchodząc do dziewczyn)*:
Pan Bóg z wami, piękne damy!
LAURENCJA: Damy? Frondozo? My damy?
FRONDOZO: A tak, tak, muszę iść z modą,
muszę dwornie się wyrażać,
gdy na wielkim bywam świecie.
Tam studenta bakałarzem,
urzędnika wojewodą,
głupca mędrcem tam się zowie,
kawalerem lada śmiecie.
Rycerzem zwą fanfarona,
nieśmiałym — podłego tchórza,
mężem czcigodnym buffona,
krzykacza żołnierzem dzielnym
a miłym chłopcem idiotę.
Tam o wielkich brzydkich ustach
mówią, że jak owoc zdrowe;
o czaszce łysej i pustej,
że to senatorska głowa,
o małych jak szparki oczach,
że są bardzo przenikliwe,
nieznośnego aroganta
nazywają dowcipnisiem,
kochankiem łgarza i franta.
A więc teraz zdaje mi się,
że już chyba rozumiecie,
czemu mówię do was: damy.
LAURENCJA: Rozumiemy, mój Frondozo,
czym jest grzeczność w wielkim świecie,
choć tam nigdy nie bywamy,
ale znam też takich ludzi,
co mówią całkiem inaczej.
FRONDOZO: Proszę, racz to wytłumaczyć.
LAURENCJA: O człowieku zacnym, smutnym
mówią, że jest bardzo nudny,
o surowym, że okrutny,
o delikatnym, że błazen,
o mężu stałym, bez skazy,
że głupi i w świecie zginie,
o prawdziwym chrześcijaninie
mówią, że człowiek ambitny,
miłosierny — hipokrytą.
W każdej cnocie i zasłudze

MATKA BOSKA BOLESNA
RZEZBA Z I. POŁOWY WIEKU XIX Z OKOLIC RZESZOWA

Fot. Z. *Kamykowski*

dla nich zła wola ukryta,
szczerość więc zowią głupotą,
tchórzostwem zowią cierpliwość.
Oni dziewczynę cnotliwą
nazywają wprost idiotką,
piękna i czysta niewiasta
jest w ich oczach zwykła... Basta!
Dosyć, masz już mą odpowiedź.

MENGO: Laurencjo, jesteś demonem.
BARRILDO: Każdym słowem tnie, aż boli.
MENGO: Przy chrzcie dobrą szczyptę soli
musiał ksiądz jej włożyć w usta.

LAURENCJA: Coś słyszałam, moi mili,
żeście się o coś kłócili?

FRONDOZO: Wiedzieć chcesz?
LAURENCJA: Mów.
MENGO: Rzecz zawiła.

LAURENCJA: Coś słyszałam o zakładzie.
FRONDOZO: Ja z Barrildem contra Mengo.

LAURENCJA: Cóż on twierdzi?
BARRILDO: On wprost przeczy
istnieniu tej wielkiej rzeczy,
co na świecie jest potęgą.
MENGO: Ja tylko mówię najprościej,
że jak nie ma, to i nie ma.

LAURENCJA: Ale czego, mówcie wreszcie.
BARRILDO: Mówi, że nie ma miłości.
LAURENCJA: Jeśli bierze rzecz ogólnie,
to się myli.
BARRILDO: Najzupełniej
świat by bez niej nie mógł istnieć
i do zguby by się chylił.
MENGO: Ja nie jestem filozofem,
— gdybym chociaż umiał czytać —,
lecz gdy różne elementa
żyją we wiecznej niezgodzie,
w naszym ciele jest ukryta
ta moc, która je rozdziera:
melancholia, krew, cholera,
żółć i flegma, rozumiecie?
BARRILDO: O nie, nie masz racji, Mengo,
w tym i w tamtym lepszym świecie
wszystko, co trzeba by żyło,

żyje w cudownej harmonii,
a harmonią tą jest miłość.

MENGO: Miłość, owszem, przyrodzona,
nie zaprzeczam jej istnienia.
Ona wszystko godzi, ona
w równowadze ten świat trzyma,
jedna ze sobą sprzeczności.
Każdy z nas ma taką siłę,
która życia jego broni.
I tak za pomocą dłoni
chronię twarz przed ciosem wrogim,
i tak moje zdrowe nogi,
mogą unieść moje ciało,
gdy przyjdzie nagle uciekać,
tak zamyka się powieka,
co dla źrenic jest osłoną,
przez tę miłość przyrodzoną.

PASCHALA: Wszak oni mówią to samo.

MENGO: O nie, moim bowiem zdaniem
każdy kocha tylko siebie.

PASCHALA: Teraz to już bredzisz, Mengo,
każdy mąż kobietę kocha,
kiedy ją za żonę bierze:
Swą samicę kocha zwierzę.

MENGO: Ono tylko kocha siebie.
Cóż jest miłość?

LAURENCJA: To pragnienie
piękna.

MENGO: Tak, a tego piękna
czemu ta miłość tak pragnie?

LAURENCJA: By je posiąść.

MENGO: Gdy posiędzie,
gdy je raz ku sobie nagnie,
czy już szczęśliwą nie będzie
z tej rozkoszy posiadania?

LAURENCJA: Tak, zapewne.

MENGO: Więc na moje,
że nie ma innej miłości
a jeno samego siebie,
ta niech w sercu moim gości,
bo dla niej jestem stworzony.

BARRILDO: Ksiądz raz powiedział z ambony,
że był pewien Greczyn Plato,
który nas uczył miłości,

że on kochał duszę samą
i ukochanego cnoty.

PASCHALA: A ja tak myślę, że o tym
mędrcy świata i uczeni
dyskutują w akademii,
schyleni nad wielką księgą.

LAURENCJA: To nie na twój rozum, Mengo,
dziękuj Bożej Opatrzności,
że ci dała przeżyć życie
na tym świecie bez miłości.

MENGO: A ty kochasz?

LAURENCJA: Ja — cześć moją.

FRONDOZO: Bardzo się o ciebie boję.

BARRILDO: Kto z nas wygrał?

PASCHALA: Z tym zakładem
idźcie wy do zakrystiana,
niech on się naradzi z księdzem.
Laurencja mężczyzn nie kocha,
ja nie jestem zakochana,
więc nie mamy doświadczenia.

(Wchodzi Florez)

FLOREZ: Witam was Bożym Imieniem.

PASCHALA *(do Laurencji)*:
Ktoś ze świty komandora.

LAURENCJA *(do Paschali)*:
To jeden z jego psów gończych.
(do Floreza)
Skąd przychodzisz, przyjacielu?

FLOREZ: Jestem w rycerskiej opończy.

LAURENCJA: Czy Don Fernand do nas wraca?

FLOREZ: Wojna skończona szczęśliwie,
choć niestety w niej zginęło
kilku moich dobrych druhów.

FRONDOZO: Mów, jesteśmy cali w słuchu.

FLOREZ: Nikt wam lepiej nie opowie,
bo to także moje dzieło,
byłem, walczyłem, widziałem.
Aby zdobyć Ciudad-Real
wielki mistrz zgromadził rotę,
więc dwa tysiące piechoty
złożonej z wiernych wasali
i trzystu zakonnych braci.
Konno z różnych miast zjechali.

Bo kto nosi krzyż czerwony,
musi stanąć w imię Boga,
choć nasz Zakon był stworzony
na to, żeby zwalczać pogan.
W kaftanie wyszytym złotem,
dowódcy dzierżąc banderę,
mistrz wyjechał przed szeregi,
a wspaniały niósł go deresz,
który jako młody źrebiec
niedaleko morskich wirów
wodę pił z Gwadalkwiwiru
i na żyznej pasł się glebie
ze splecioną wstęgą grzywą.
Gdy szedł, to się srebrem mienił,
włos jak srebro z karku spływał.
Obok mistrza wasz pan jechał,
najznaczniejszy z jego świty,
kolczugą odzian żelazną,
w płaszczu także złotym litym.
Hełm na głowie świecił perłą,
a w ręku dzierżył, jak berło,
kopii łomnej twarde drzewce,
tej lancy, z której blask padał
ongi na twierdzę Grenady —
i tym blaskiem lękiem bladym
twarze dzikich Maurów bielał.
I tak szli na Ciudad-Real.
Miasto zaczęło się bronić
krzycząc: „Niech żyje Ferdynand,
nie chcemy innego pana!"
Ale mimo tej obrony
żołnierz na mury się wspinał
i otworzył wkrótce bramy.
Wielki mistrz był twierdzy panem,
potrafił zadaniu sprostać,
przywódcom łby poucinał,
a innych kazał wychłostać,
wargi ściskając w obcęgach.
I teraz wszyscy już wiedzą,
czym jest Zakonu potęga.
Wierzą, że człowiek tak młody,
co taki dowód dał męstwa,
będzie wielkim wojownikiem
i kiedyś skwarnej Afryki

liczne zdobędzie nam księstwa.
Mahometańskie księżyce
krzyżem przesłoni czerwonym.
Mistrz nagrodził Komandora,
co mu tej sławy przyczynił.
Lecz słyszę śpiewy i dzwony!
Radośnie i przy muzyce
będziemy witać zwycięzcę,
cieszyć się władcą i panem,
a dobra wola poddanych
tryumfu złotym jest laurem.

(Wchodzi Komandor, Ortuno, Juan Roxo, ESTEVAN, ALONZO, LUD MIASTA OWCZE ŹRÓDŁO i MUZYKANCI. Wjeżdża wóz przykryty zielenią, ciągniony przez siwe muły w czerwonej uprzęży, w nim beczki wina, szynki, gęsi i kury)

MUZYKANCI *(grają i śpiewają)*:

Witajże nam, witaj,
miły komandorze,
co twierdze zdobywasz,
a ludzi zabijasz.

Niech żyją Żyrony,
niech żyją Gusmany!
Mąż nieustraszony
i niepokonany,

który dziś w tryumfie
laury nam rozdziela,
powraca zwycięski,
zdobył Ciudad-Real.

Sto lat, sto lat
niech żyje, żyje nam
w swym Owczym Źródle
Gomez Don Fernan.

LUD *(śpiewa chórem)*:

Sto lat, sto lat
niech żyje, żyje nam
w swym Owczym Źródle
Gomez Don Fernan.

KOMANDOR: O miasto Owcze Źródło, ja ci najgoręcej
dziękuję za tę miłość, której mam dowody.

ALONZO: Wierz mi, panie, my jeszcze odczuwamy więcej
niż możemy pokazać temu, który światu
zabłysnął w takiej chwale.

ESTEVAN: Miasto Owcze Źródło,
jego władza najwyższa, radcy magistratu,
za ten honor pragnący wywdzięczyć się tobie,
proszą cię, abyś przyjął w łaskawości swojej
te dary które niesiem, strojne w zieleń choin.
Garncarskim kunsztem pięknie wyrobione misy,
stado gęsi, co z klatek wyciągają szyje,
by o męstwie twym, panie, o twej sławie gęgać.
Dziesięć szynek wędzonych, zapach od nich bije,
woń to milsza od ambry, którą panie leją
na swoje rękawiczki. Dalej sto kapłonów
i sto kur, tak że los swój opłakują wdowi
wszystkie w mieście koguty i z tęsknoty pieją.
Nie mamy zbrój i koni, szyszaków na głowie,
i brokatów złotymi nićmi farbowanych,
lecz miłość szczerą w sercu wiernych twych poddanych,
i mamy także wino we workach skórzanych;
jeżeli go dasz, panie, wypić twym żołnierzom,
to z furią wściekłych wilków na wroga uderzą,
a żar poczują w ciele i w najtęższe mrozy.
Taki wór z winem, wierz mi panie, może starczyć
za pancerze żelazne i okute tarcze,
bo męstwo więcej znaczy, niż kopije łomne.
O innych nieznaczniejszych darach już nie wspomnę,
i niech to wszystko razem wyjdzie ci na zdrowie.

KOMANDOR: Dzięki wam składam, wielce dostojni posłowie
Owczego Źródła, miasta, co sercu tak drogie.

ALONZO: A teraz spocznij za progiem
twego domostwa spokojnie.
Łuki z bluszczu i zieleni
musiałyby się tu mienić
od blasku drogich kamieni,
kąpać perłami Orientu,
gdybyśmy w tym Owczym Źródle
mieli skarbów licznych tyle,
ile mamy sentymentu.

KOMANDOR: Nie przypuszczałem przez chwilę,
żeby być mogło inaczej.
Idźcie z Bogiem.

ESTEVAN: Muzykanci,
zaśpiewajmy jeszcze chórem.

MUZYKANCI i LUD:
Sto lat, sto lat
niech żyje, żyje nam

w swym Owczym Źródle.
Gomez Don, Don Fernan.

(Wychodzą sędziowie i muzykanci. Lud się rozchodzi)

KOMANDOR *(do Ortuna)*:
Wprzód puście te dziewczyny,
za nimi drzwi się zatrzasną.
(do Laurencji i Paschali)
Czekajcie chwilę wy obie.
LAURENCJA: Co rozkaże wasza jasność?
KOMANDOR: Znów ten ton tak dobrze znany.
Czy nic cię zmiękczyć nie może?
LAURENCJA: Czy to do ciebie, Paschalo?
PASCHALA: Ale nie do mnie, broń Boże!
KOMANDOR: Do ciebie, dziewczyno dumna,
i do twojej towarzyszki,
czyż nie jestem waszym panem?
LAURENCJA: Jesteśmy twoje poddane,
ale właśnie nie we wszystkim.
KOMANDOR: A więc, piękności moje,
jest otwarta domu brama
i zaprasza was do sieni.
LAURENCJA: Gdybyś był, panie, zaprosił
sędziów, urzędników miasta,
mój ojciec był między nimi,
tobym weszła, a nie sama.
KOMANDOR: Florez!
FLOREZ: Panie.
KOMANDOR: Znasz rozkazy?
FLOREZ *(do dziewczyn)*:
Wchodźcie prędzej.
(chwyta je za rękę)
LAURENCJA: Nie dotykaj.
FLOREZ: Właźcie, nie stójcie jak głupie.
PASCHALA: Gdy raz będziemy za progiem,
te drzwi się zamkną za nami.
FLOREZ: Bogate ujrzycie łupy,
które pan przywiózł z tej wojny.
KOMANDOR: Gdy wejdą, zamknij zaworę.
(wchodzi do domu)
LAURENCJA: Puść nas, pięknie proszę, Florez.
ORTUNO: Czyście nie są policzone
w tych darach dla mego pana?

FRASOBLIWY

RZEŹBA WYKONANA W R. 1947 PRZEZ WOJCIECHA DRAKA W WIERZBOWEJ W POW. RZESZOWSKIM

Fot. Z. *Kamykowski*

PASCHALA: A to czelność niesłychana!
FLOREZ: Dosyć, one są prześliczne.
LAURENCJA: Czy wasz pan ma nie dość mięsa,
które mu gmina przysłała
jako haracz od narodu?
ORTUNO: Nie, on chce waszego ciała.
LAURENCJA: A to niech umiera z głodu!

(ucieka, za nią Paschala)

FLOREZ: No, i zostajemy z niczym!
I jakoż przyjdzie nam stanąć
przed gniewnym pana obliczem?
Oj, coś będzie z nami krucho.
ORTUNO: Powiem, że kto panu służy,
musi we wszystkim go słuchać,
albo niech nie czeka dłużej
i idzie sobie do diabła.

(wychodzą)

ODSŁONA III

(Sala zamku królewskiego w Medynie del Campo w Kastylii. Fanfary oznajmiają wejście KRÓLA FERDYNANDA i KRÓLOWEJ IZABELLI. Za nimi idzie DON MANRIKO, Dwór i Grandy. Królestwo siadają na tronie)

KRÓLOWA: Nam, którzy dziś królestwa losy mamy w pieczy,
trzeba z wielką rozwagą tę sprawę rozstrząsać,
bo nikt nie może chyba tego mi zaprzeczyć,
że dla Portugalczyków i króla Alfonsa
w tej chwili się układa wszystko najpomyślniej,
nowe czynią zaciągi, pod nowe sztandary;
jeśli nie będziem jednej myśli, jednej wiary
aby czyn ich uprzedzić — to sprawa przegrana.
KRÓL: Liczę na zbrojną pomoc prowincji Nawarry,
zasilą nas swym hufcem twierdze Aragonu
i w Kastylii porządek zrobię; miejmy wiarę,
że koniec znów tryumfem nasz zamiar uwieńczy,
i że w sercach poddanych wierności dla tronu
żadna zmienność fortuny nigdy nie umniejszy.
KRÓLOWA: Mogę tylko się cieszyć, że Pan Najjaśniejszy
jednej myśli jest ze mną i mój sąd podziela,
że trzeba działać szybko.
DON MANRIKO: Z twierdzy Ciudad-Real

dwaj posłowie przybyli i o posłuchanie
proszą was najpokorniej.

KRÓL: Audiencji udzielam.

(Wchodzą dwaj posłowie z Ciudad-Real)

POSEŁ I: Ferdynandzie najjaśniejszy,
wielki królu katolicki,
którego w erze dzisiejszej,
gdy z niebios pomocy trzeba,
zesłały łaskawe nieba
z Aragonii do Kastylii,
byśmy w niefortunnej chwili
mieli swego zbawiciela.
Przychodzimy z Ciudad-Real
błagać u ciebie pomocy.
Oto sławny Don Rodrygo,
mistrz zakonu Calatravy,
młody, ale jak lew mężny,
czynem śmiałym i orężnym
chcąc przysporzyć sobie sławy,
rozszerzyć władztwo Zakonu,
uderzył na Ciudad-Real,
na tę perłę twego tronu
i niezdobyty gród zdobył.
Żeśmy wierni byli tobie,
niechaj świadczą krwi potoki,
która strumieniem głębokim
po ścieżkach miasta płynęła.
Dziś jest wszystkim to wiadome,
znane jest całemu światu,
że to sprawił Fernand Gomez
swoją pomocą i radą.
Teraz, wielki królu, ratuj,
bo będziem mistrza poddani
wbrew naszej woli i chęci.

KRÓL: Gdzież jest teraz Fernand Gomez?

POSEŁ II: W swoim mieście, w Owczym Źródle,
ten gród do niego należy,
i tam wśród swoich wasali
niepojęty szerzy terror.

KRÓLOWA: Z tego co mówią wynika,
że trzeba działać najszybciej,
a z myślą działania szczerą,
inaczej każdym wahaniem

zachęcim Portugalczyka,
który z Estramadury
ogłosi wojnę, a wtedy
ciężkie i gromowe chmury
zwisną nad niebem Kastylii.

KRÓL: Rozkazuję, Don Manriko,
zbierz żołnierzy dwie kompanie
i ruszaj na Ciudad-Real,
by ukarać buntownika.
Hrabio De Cabra, idź za nim,
zawsze do boju gotowy,
mężny rycerzu Cordovy,
i niech wasz oręż rozstrzyga
ten spór z mistrzem Don Rodrygiem.

DON MANRIKO:
Oto rozkaz godny króla!
Jeśli śmierć mi nie wytrąci
tego miecza z mojej dłoni,
ja wrogów twoich poskromię.

KRÓLOWA: I któż by w zwycięstwo nie wierzył,
gdy idą walczyć pierwsi w królestwie rycerze.

ODSŁONA IV

(Las w okolicy Owczego Źródła)

LAURENCJA: Ale ty jesteś, Frondozo,
naprawdę zbyt nieostrożny.
Przestałam wieszać bieliznę,
żeby znaleźć jakiś pozór
i móc się z tobą rozmówić.
Już nas biorą na języki,
strzępią sobie na nas ozór,
że jesteś chłopiec jak świeca,
więc na ciebie wszystkie lecą,
całkiem głośno mówią o tym,
że jesteśmy zaręczeni,
całe miasto nas już śledzi.
Co więcej, każdej niedzieli
spodziewają się w kościele
usłyszenia zapowiedzi,
które ma Juan Chomorro
wyczytać wieczór z ambony.
A ja przysięgam, mój miły,

jak do kłamstw nie jestem skora,
jak chcę, żeby twoje śpichrze
w sierpniu pełne zboża były,
a piwnice pełne wina,
że mi to na myśl nie przyszło,
i w ogóle mnie ta sprawa
ani grzeje, ani ziębi.

FRONDOZO: Piękna Laurentjo, niestety
twa obojętność mnie gnębi,
twe spojrzenie jest mym życiem,
a śmiercią są twoje słowa,
więc nie bądź taka surowa,
nie pogrążaj mnie w rozpaczy.

LAURENCJA: Nie mogę mówić inaczej.

FRONDOZO: Jak to może cię nie wzruszać,
że o tobie ciągle myślę
i o niczym innym zgoła!
Już nie jadam i nie pijam
i bezsenne spędzam noce.
A czyż w postaci anioła
serce może być tak zimne?
Wspominam o tym ze zgrozą.

LAURENCJA: Musisz się leczyć, Frondozo.[1]

FRONDOZO: Ty jedynie masz lekarstwo,
które mnie uzdrowić może.
Jak gołąbków młodych para
gruchająca wiosną w borze,
tak byśmy żyli w miłości,
gdyby nas połączył Kościół.

LAURENCJA: Pomów o tym z moim stryjem —
lubi swatać Juan Rojo,
serce moje jest niczyje,
ale kiedy będę twoją,
może...

FRONDOZO: Ciszej. Widzę komandora!

LAURENCJA: Tak, w pościgu za danielem.
Kryj się prędko w tej gęstwinie.

FRONDOZO: Niech nas bronią wielkie nieba!
(ukrywa się)

(Wchodzi Komandor z kuszą łowiecką w ręce)

KOMANDOR: Naprawdę, szczęście mieć trzeba

---

[1]) Po hiszpańsku *pues saludate*, dosłownie: daj się pozdrowić. Komentarz tłumaczy, że *les saludatores* byli ci, którzy leczyli z epilepsji, znachorzy, odczyniacze.

gdy się goni za rogaczem,
żeby spotkać taką łanię.

LAURENCJA: Prałam bieliznę u źródła,
przyszłam odpocząć tu w cieniu,
pozwól, że odejdę, panie.

KOMANDOR: Zawsze ta sama atencja!
Te śmieszne, dzikie grymasy,
ty nawet nie wiesz Laurencjo,
jak twe piękne liczko szpecą.
Tak, że myślę nawet czasem,
że się monstrum z ciebie zrobi
przez tę srogość niekobiecą.
Byłaś na me prośby głucha,
ale dziś jesteśmy sami,
dzisiaj musisz mnie wysłuchać
w miejscu, gdzie nas przed świadkami
zasłania boru gęstwina.
Otóż ty jedna jedyna
odtrącasz swojego pana.
Wiedz, że piękna Sebastiana,
małżonka Piotra Redondo,
z rozkoszą mi się oddała,
jak wszystkie, które pożądam.
Żona Marcina del Pozo
też była w nocy w mym łożu,
i to w dni parę po ślubie.

LAURENCJA: Te się umiały podobać,
bo się uczyły tej sztuki
u wielu chłopców i pilnie.
Idź już, mój panie, z tym łukiem
ścigać daniele spłoszone.
Gdyby nie krzyż ten na piersi,
to bym sądziła niemylnie,
że jesteś z piekła demonem —
tak prześladujesz mnie biedną.

KOMANDOR: A teraz wszystko mi jedno,
kładę na ziemię tę kuszę
i wierząc w siłę mej ręki
miłość na tobie wymuszę.

(Rzuca się na nią, zaczyna szarpać jej suknie)

LAURENCJA: Co ty robisz, rozum tracisz!

KOMANDOR: Ty się nie broń!

FRONDOZO *(zjawia się i chwyta kuszę)*

Jest napięta,
jako struna drży cięciwa,
nie powieszę na ramieniu.
KOMANDOR: Chcę mieć ciebie!
LAURENCJA: Nieszczęśliwa!
Pomoc dajcie, wielkie nieba.
FRONDOZO: Najjaśniejszy komandorze,
racz zostawić tę dziewczynę,
nie godź na cnotę niewieścią,
bo inaczej, mimo cześci,
jaką mam dla tego krzyża,
co się błyszczy na twej piersi —
będzie mojej strzały celem.
KOMANDOR: O, psie podły!
FRONDOZO: Słów za wiele!
A ty, Laurencjo, uciekaj.
LAURENCJA: Frondozo!
FRONDOZO: Uciekaj prędzej.

(Laurencja wybiega)

KOMANDOR: Szpady mej nie mam przy boku,
o przeklęta nieopatrzność.
FRONDOZO: Stój, ani jednego kroku,
bo inaczej puszczę strzałę.
KOMANDOR: Rycerz bez lęku i zmazy,
mam uciec przed tym nędzarzem?
O nie, nigdy, raczej strzelaj,
ale musisz dobrze mierzyć,
bo pamiętaj: jeśli chybisz —
zapomnę, że jestem rycerzem.
FRONDOZO: A ja nigdy nie zapomnę,
kim jestem, dostojny panie.
Teraz, by życie ocalić,
z tą bronią w ręku odchodzę.

(wybiega)

KOMANDOR: O, jak mnie zbezcześcił srodze!
Krwawą mu kąpiel przysięgam,
kiedy przyjdzie zemsty pora,
za tę zniewagę i za nią.
Niech patrzą niebios otchłanie
na tę hańbę komandora.

Koniec aktu pierwszego

TADEUSZ SEWERYN

W ŚWIĄTKARNI

I

Był czas, kiedy średniowiecze potępiało sztukę grecką jako pogańską, i był czas, kiedy Odrodzenie potępiało kulturę wieków średnich jako *gothique*, a więc barbarzyńską — natomiast w sztuce greckiej widziało swe bożyszcze. Był czas, kiedy przyjmować się zaczął epitet „pasztet sabaudzki", nadany przez Wiktora Hugo renesansowi — słowem każda epoka stawiała sobie własne piedestały i każda miała swych wrogów, na których rzucała pioruny. Koźmian patrzył na twórczość ludową jako na barbarzyństwo, a pogląd jego, mimo sprzeciwów ze strony poetów romantycznych, przetrwał długo. Ale za naszych czasów barbaryzmem okazał się właśnie koźmianowski pogląd, że sztuka to dama żyjąca tylko w odgórnych warstwach narodu.

Dowodem tego jest zakrojona na wielką skalę wystawa rzeźby, malarstwa i grafiki ludowej, urządzona w gmachu Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych w Krakowie, tego „Pałacu Sztuki", do którego po raz pierwszy od r. 1855, tj. od początków jego istnienia, weszli cisi i nieznani artyści ludowi ze swym twórczym dorobkiem. D'a podkreślenia niejako historycznej ważności tego faktu Centralny Instytut Kultury wydał efektowny, pojemny i bogato ilustrowany katalog tej wystawy, by skarby sztuki ludowej, zwiezione tutaj z całej Polski, upowszechnić w społeczeństwie.

Dzięki poparciu tego przedsięwzięcia przez Naczelną Dyrekcję Muzeów i Ochrony Zabytków komitet organizacyjny mógł wypożyczyć z muzeów etnograficznych i regionalnych najcenniejsze zabytki z zakresu plastyki ludowej i, uzupełniwszy je okazami ze zbiorów prywatnych, dać syntetyczny obraz szczytowych osiągnięć ludu w dziedzinie rzeźby, malarstwa i grafiki.

To wydarzenie należy więc zanotować przynajmniej w kilku rzutach. Przede wszystkim w organizacji wystawy zupełnie słusznie przyjęto zasadę, że do pełnego wyrażenia istotnych wartości plastycznych zbyteczny jest dobór i układ eksponatów wedle wskaźników regionalnych, czy też etnograficznych lub tematycznych. Wbrew utartemu zwyczajowi utożsamiania sztuki ludowej ze zdobnictwem pozostawiono na uboczu łyżniki podhalańskie, które swego czasu entuzjazmowały Johna Ruskina, przykłady czarodziejstwa igły widoczne na haftach żywieckich lub krakowskich, najpiękniejsze w świecie wycinanki kurpiowskie, szopki i skrzynie krakowskie, itp. Nie zaprzeczając wartości tych dziedzin

CHŁOPSKA MADÓNNA
RZEŹBA Z OKOLIC KŁODZKA

Fot. Z. *Kamykowski*

sztuki zdobniczej, które swymi cechami regionalnymi dodatnio wyróżniają nas z rzeszy narodów Europy, komitet organizacyjny uznał za stosowne wyzwolić widza spod trwającej do dziś sugestii upodobań z okresu Polskiej Sztuki Stosowanej, a postawić go oko w oko z problemami czystej plastyki ludowej. To jest naczelną cecha wystawy.

Po wtóre po raz pierwszy włączono tu dorobek ludu Ziem Odzyskanych do skarbca sztuki stworzonej przez lud obszaru Polski macierzystej; dzięki temu znalazły się tu archaiczne w wyrazie świątki z Mazowsza Pruskiego i stoków Karkonoszy, obrazy na szkle pochodzące ze Śląska Górnego oraz Dolnego, a przede wszystkim miedzioryty ludowe z okolic Kłodzka z polskimi podpisami i polskimi modlitwami, dokumenty posiadające nie tylko wartość artystyczną, ale i historyczną — świadectwa o wkładzie kulturalnym polskiego żywiołu autochtonicznego w te ziemie.

Przyzwyczailiśmy się od wielu lat, że ilekroć urządzano wystawę sztuki ludowej w Polsce, posługiwano się głównie okazami zdobnictwa ludowego, w którym, rzecz prosta, królowała ceramika z Polesia, hafty z Podola, radziużki z Wileńszczyzny, inkrustacje i pisanki z Huculszczyzny, itp. Toteż nie dziw, że zapatrzeni w tzw. ziemie wschodnie czuliśmy się zakłopotani podczas rozwiązywania zagadnienia istnienia sztuki ludowej obszaru Polski macierzystej. Wystawa rzeźby, malarstwa i grafiki ludowej urządzona w Krakowie pod protektoratem Ministra Kultury i Sztuki Stefana Dybowskiego utwierdza wszystkich w przekonaniu, że lud polski, bez pomocy ze strony sąsiednich grup etnicznych, zajmuje poważną pozycję w dziedzinie plastyki.

I nie tylko to. Ministerstwo Kultury i Sztuki, z którego inicjatywy zrodziła się ta wystawa, postawiło przed ogólnopolskim komitetem organizacyjnym problem do rozwiązania: czy w polskiej tzw. czystej sztuce ludowej istnieją wartości artystyczne, zdolne interesować lub nawet inspirować plastyka współczesnego. Było to zagadnienie o charakterze eksperymentalnym, ze wszech miar ciekawe i ważne, a jak stwierdziła krytyka fachowa (Helena Blumówna) — bodaj pierwsze w Europie.

Komitet organizacyjny pod przewodnictwem Mieczysława Weymana wraz z zabiegliwym komisarzem wystawy, Janem Hrynkowskim, rozwiązał to zagadnienie w sensie pozytywnym. Zebrał bowiem takie rzeczy, które poza pełnią cech charakteryzujących plastykę ludową posiadają znamiona właściwe plastyce zachodnio-europejskiej, a w szczególności cechujące wielu artystów o nazwiskach znanych w historii sztuki. Jeśli artyści polscy, chłonący te wartości, raz po raz określają charakter plastyczny wielu eksponatów nazwiskami: Léger („Chrystus Frasobliwy" z Rabki, rzeźba nr 66), Gauguin („Adam i Ewa", podhalański obraz na szkle, nr 146), Chagall („Św. Wendelin", dolnośląski obraz na szkle, nr. 186), H. Rousseau („Św. Katarzyna", obraz olejny na płótnie, nr. 236), Matisse („Św. Magdalena", podhalański obraz na płótnie, nr 240), Maillol („Ukrzyżowany", rzeźba podhalańska, nr 86) itp. — to bynajmniej nie jest to tylko przypadkowa asocjacja wyobrażeń, ale sprawdzian obiektywny nieznanej dotychczas lub nieuznawanej prawdy, że wiele dzieł

plastyki ludowej przemawiać może do widza taką mową, którą zwykliśmy łączyć jedynie z zachodnimi centrami sztuki.

Bynajmniej nie jest celem wystawy, aby odwracać oczy plastyków polskich od Zachodu, spuszczać zasłonę na Paryż lub odbrązowiać uznanych mistrzów stwierdzaniem, że ich zdobycze są udziałem także i innych artystów, nieraz nieznanych i zapomnianych. Chodzi o rzecz ważniejszą, o przekonanie opinii artystycznej, że oczy wrażliwe na piękno polskiego prymitywu ludowego otwierać mogą również drogę do doskonalenia się w sztuce. Na ten właśnie społeczny i wychowawczy charakter wystawy jako też na jej pozycję w ogólnej polityce kulturalnej rządu wskazał w swym przemówieniu wygłoszonym w dniu otwarcia wystawy wiceminister Kultury i Sztuki dr Feliks Widy-Wirski.

Kiedy w r. 1930 Tadeusz Dobrowolski pisał rzecz o „Śląskiej rzeźbie ludowej", posłużył się następującym argumentem, przekonywającym czytelnika o wysokich wartościach rzeźby ludowej; zestawił okazy rzeźby greckiej z w. VI przed Chr., romańskiej z Brunświku z w. XII oraz rzeźby z pogranicza romanizmu i gotyku z Chartres — z analogicznymi pod względem formy okazami rzeźby ludowej i zestawieniem tym dowiódł, że między dziełami otoczonymi szacunkiem historii sztuki a wieloma bagatelizowanymi dziełami prostaczków wiejskich w zasadzie różnic nie ma. Trzeba tylko zdobyć się na odwagę zobaczenia i stwierdzenia tej prawdy.

W czasach, kiedy Dobrowolski po raz pierwszy u nas użył tego argumentu, rzeźba ludowa nie była jeszcze przedmiotem pożądanym powszechnie w muzeach etnograficznych w Polsce. O ile się nie mylę, w Muzeum Śląskim było naówczas okazów świątkarstwa ludowego 27, a w Muzeum Etnograficznym na Wawelu bodaj że o 10 sztuk więcej. To były dwa największe zbiory świątków, a dziś z radością stwierdzamy, że Komitet organizacyjny wystawy mógł już dysponować materiałem świątkarskim, który sięga w tysiące egzemplarzy. Dlatego zagadnienie społecznie aktualnych wartości w plastyce ludowej, postawione przez Departament Plastyki Ministerstwa Kultury i Sztuki Komitetowi organizacyjnemu wystawy, mogło być rozwiązane w duchu pozytywnym dopiero dzisiaj, a nie przed kilkunastu laty, gdy świadomość właściwych, bo plastycznych wartości sztuki ludowej była mała nie tylko wśród ogółu społeczeństwa, ale i w reszcie szczupłego grona muzeologów, artystów i etnografów.

Dalszym osiągnięciem wystawy jest fakt, że po raz pierwszy zestawiono tu dorobek tradycyjny artystów przeważnie bezimiennych z twórczością współczesnych artystów ludowych celem wykazania, że plastyka ludowa nie jest zjawiskiem byłym, minionym i zamarłym, ale istniejącym, dokonywającym się i żywym. Trzydzieści nazwisk zarejestrowanych w katalogu wystawy, to fakt krzepiący. Nie wszystko widać zmiażdżone zostało żelaznym walcem wojny. Przypomina się wieczysta prawda słów Łukasza Górnickiego, napisanych w r. 1566: „Przeto piękność jest znak zwycięstwa dusznego, jak owa chorągiew, co ją wytkną z wieże po wzięciu miasta".

Są tu drzeworyty, akwarele, tempery, obrazy na szkle, ceramika figuralna, oraz rzeźba w drzewie. Świeżość farby i surowizna drewna zdają się deprecjonować te rzeczy w zestawieniu z sąsiedztwem o sędziwej patynie. Ale niechby poddać te świątki działaniu wpływów atmosferycznych przez kilka lat, niezawodnie inaczej przemawiałyby do widza. Należy zadumać się nad problemem udziału praw przyrody w pięknie, które jest właściwe świątkom ludowym. Człowiek złożywszy rzeźbę w kapliczce przydrożnej skończył swą pracę, ale przyroda pracuje nad jego dziełem dalej. Spiłowuje wichrem wszystkie zbyteczne szczegóły, a pozostawia formy zasadnicze, klinem wody zamarzającej żłobi własne efekty w postaci wgłębień, zmarszczek i szczelin, pozwala się wypłakać miąższowi drzewnemu, by twardzizna słojów tym lepiej uwydatniała strukturę materiału. A jest to praca, w której w sposób niedościgły realizuje się zgodność działania z charakterem materiału. Tę doskonałość podziwiamy nie pytając się o jej źródło, gdyż cześć dla przyrody jest głęboko zakorzeniona w naszą duszę — i oto tu leży tajemnica naszego odczuwania piękna, gdy patrzymy na zwiędłą i pooraną zmarszczkami twarz staruszki, co jak żywa historia zmagań, trudu i cierpień objawia się oczom naszym — gdy patrzymy na stare drzewo o pogurbionym pniu i konarach, na zarosłe zielskiem ruiny, i tak samo reagujemy patrząc na stare, spatynowane i nadniszczone rzeźby ludowe.

Dzięki tej wystawie mogliśmy wyrobić sobie pogląd na perspektywę historyczną zachowanych do dziś okazów.

Najstarsze sięgają wieku XVII. Należy tu np. metaloryt z napisem: „Iezus Maria Josev Vsudzannim Dwore (w dworze w Studziannie) 1678". Jest tu i podpis autora, którym jest Jan Golisewicz. A starszym zdaje się być drzeworyt pochodzący z Biblioteki Jagiellońskiej z napisem: „Obras to Christusuf nie wstic sie onego a wspomnyi sobie weisrawssi na niego se on bedac Bogiem prsedwieczni madrosci...", ale to może tak postarza go gotycki charakter formy i temat „otwartego boku", umiłowany w średniowieczu, jako też wpływ słowacki na stronę językową napisu.

W obraźnictwie na szkle sięga połowy w. XVIII jeden obrazek eglomizowany z Małopolski, „Zdjęcie z krzyża", a także wiele obrazów na szkle pochodzących ze Śląska Dolnego, gdzie technika malowania na szkle, wedle dotychczasowych badań, rozwinęła się najwcześniej i najbujniej spośród wszystkich krajów Europy środkowej. Są tu gotycyzujące rzeźby z w. XVII i rzeźby w typie barokowym infiltrowane pierwiastkami gotyckiej formy — bo renesans przeszedł ponad ludem, a zakwitał w dworach szlacheckich i komnatach pańskich, pozostawiając przez długie wieki wieś w atmosferze wpływów średniowiecza. Wspaniałe dzieła sztuki na wystawie, obrazy, drzeworyty i rzeźby pochodzą z czasów romantyzmu, z okresu powstania listopadowego, ale najwięcej okazów wiąże się z okresem zniesienia pańszczyzny i pierwszymi dziesiątkami lat wolności społecznej ludu, jakby dla podkreślenia faktu znanego w historii, że wolność uskrzydla twórczego ducha ludzkiego.

Wystawa pozwala nadto na stwierdzenie niektórych cech szczegółowych

plastyki ludowej: dopiero uszeregowawszy na ścianie drzeworyty ludowe mogliśmy zauważyć, że sławna w Polsce teka Łazarskiego, zawierająca odciski z desek drzeworytniczych znalezionych w pewnym klasztorze na pograniczu Mazowsza Pruskiego i Żmudzi, nie ma wartości dokumentarnej, gdyż oryginalne odbitki zostały w sposób całkiem dowolny pokolorowane akwarelowymi farbami guziczkowymi przez samego drukarza Łazarskiego. Lud, jak widać to na wystawie, całkiem inaczej pomalowywał swoje drzeworyty. Barwa czerwona i niebieska dominuje zarówno w rzeźbach polichromowanych, jak też w drzeworytach ludowych do tego stopnia, że uznać je można za kanon obowiązujący świątkarzy, drzeworytników i obraźników.

Dzięki wystawie mogliśmy stwierdzić również, że styl obrazów na szkle nie mieści się jedynie w typach popularnie znanych, ale wyraża się w dość bogatej skali typów, wśród których przodujące stanowisko zajmują obrazy na szkle należące do grupy podhalańsko-spiskiej, najcenniejsze pod względem artystycznym ludowe obrazy na szkle spośród wszystkich odmian znanych nam z terenu Europy. To stwierdzenie ma swój walor nie tylko naukowy. Wszakże na wystawie znalazły się przykłady wskrzeszonego przed kilku miesiącami podhalańskiego obraźnictwa na szkle — pędzla dwóch góralek, Heleny Roj-Kozłowskiej i Zofii Roj-Szeligowej z Zakopanego — najlepsze, tj. najbardziej twórcze z dotychczasowych, próby odrodzenia tego rodzaju malarstwa.

Wystawa cała pod względem tematycznym tkwi jeszcze w tradycyjnym świątkarstwie. Na 116 rzeźb wystawionych — 4 tylko mają temat świecki. Na 81 obrazów na szkle tylko 2, a na 35 obrazów na płótnie — tylko 1 obraz posiada temat świecki. Rzecz jednak godna uwagi, że we współczesnej sztuce ludowej, którą zresztą cechuje również charakter świątkarski, procent dzieł przypadających na tematykę świecką jest już dużo wyższy. Niektórzy z żyjących świątkarzy, jak np. Stanisław Kalemba z Boratyna w pow. jarosławskim, lub Szczepan Woźniak z Kąkolówki w pow. rzeszowskim, i inni — dają już tematy świeckie, ale w ich „Babach z dzieckiem" i „Babach siedzących" gotowi jesteśmy jeszcze widzieć chłopskie Madonny. Czy plastyka ludowa rozszerzy w przyszłości swój zakres tematyki, to zależeć będzie od tzw. zamówienia społecznego. Ten zaś problem bynajmniej nie jest łatwy do rozwiązania. Wszakże plastyka ludowa w swych szczytowych osiągnięciach nie jest sztuką dla mas — posiada bowiem wartości tak wysokiego stopnia, że do ich należytego zrozumienia i odczucia potrzeba nie codziennej, ale wyższej kultury artystycznej.

Dlatego słusznie Centralny Instytut Kultury uznał za stosowne przysłać na wystawę fachowego przewodnika, młodego artystę Adama Hoffmana, który dzień w dzień bezpłatnie oprowadzał wycieczki po wystawie, zaznajamiając je z arkanami patrzenia na dzieła sztuki ludowej i dostrzegania w nich właściwego im piękna. Ten sposób upowszechnienia sztuki, wprowadzony tutaj jako nieodzowny środek dydaktycznego zbliżenia się do widza, okazał się trafny, i dlatego powinien być kontynuowany na wszystkich wystawach.

Sumując zdobycze wystawy wspomnieć należy również o dwóch sprawach, mogących w przyszłości posiadać znaczenie praktyczne. Jedna — to sposób podania eksponatów widzowi. Ponieważ żadne muzeum etnograficzne w Polsce nie mogło tu służyć przykładem, ani żadna analogiczna wystawa w Polsce, trzeba było przemyśleć nowe sposoby ekspozycji i tak zaplanować całokształt wystawy, aby z jednej strony uczynić zadość wymaganiom dydaktyczno-naukowym, a z drugiej zastosować takie środki pomocnicze, które uwydatnią istotne piękno eksponatów. Od sposobu rozwiązania tego zagadnienia zależał los całej wystawy.

Obiektywnie stwierdzić należy, że problem ten został dobrze rozwiązany. Pomysł arch. M. Sigmunda, aby zarówno obrazy malowane na szkle jak i na płótnie ująć w zwarty szlak, rama obok ramy, jak czyni to chłop w swojej izbie, okazał się trafny. Żadne inteligenckie wprowadzenie dystansu między obrazami nie dałoby lepszych wyników. Również trafne okazało się ustawienie rzeźb na tle workowej juty, która ziemistym tonem dobrze harmonizowała ze spatynowanym drewnem świątków. Wiele uroku miało rozmieszczenie drewnianych kapliczek przydrożnych w tzw. martwych punktach sal wystawowych: między oknami bocznymi, na ścianach wąskich a zacienionych, itp. Natomiast stwierdzić należy, że dla dzieł współczesnych artystów ludowych nie znaleziono dotychczas odpowiedniej formy ekspozycji.

Druga sprawa, również natury praktycznej, dotyczy sposobu zwięzłego inwentaryzowania przedmiotów, jaki po raz pierwszy użyty został w katalogu wystawy przez M. Woleńską. Polega on na podawaniu obok tytułu, wymiaru, techniki wykonania itp. także jednego zdania, zawierającego trafnie zauważone cechy eksponatu wyszczególniające go od innych, tematycznie identycznych. Z uwagi na małe zróżnicowanie tematyczne przedmiotów wystawionych, gdy nie tylko Frasobliwi i święte Jany, ale nawet Matka Boska de Salette przewija się często przez sale wystawy, konieczne było zastosowanie tego niejako „gmerku", po którym (np. w razie zaginięcia numeru eksponatu) łatwo rozpoznać można każdy okaz niezawodnie. Ten sposób, mający duże znaczenie praktyczne, może znaleźć zastosowanie w inwentaryzacji muzealnej.

II

Na czoło całej wystawy i w ogóle plastyki ludowej wybija się rzeźba ludowa — ale nie ta z kościołów. Tłum prostaków niebiańskich, kozikiem z klocka lipiny wyrzezany, nie pchał się do okazałych wnętrz świątyń; przylgnął do drzew sędziwych wśród pól i do krzyżów na rozstajach, zaludnił kapliczki przydrożne, wnęki przyczółków domów i półki w chatach kurnych.

A jednak te właśnie świątki posiadają zaszczytne miejsce w sztuce, jako twory w dużym stopniu niezależne od stylów historycznych i kierunków artystycznych, a ustygmatyzowane piętnem samorzutnie obudzonego talentu.

Wybitnych rzeźbiarzy ludowych były u nas tysiące. Odgrzebane spod pyłu niepamięci ich biografie dowodzą, że byli wśród nich biedacy upośledzeni umy-

słowo, dla których jedynym oddechem rozkoszy było obcowanie ze sztuką — i mędrcy wiejscy; pasterze, komornicy — i „hrubi" gazdowie; jednokierunkowi fachowcy — i encyklopedyści całej wiedzy technicznej ludu, dla których rzeźbiarstwo stanowiło tylko jedno „stajonko" ich rozległej działalności; pielgrzymi w dalekie światy, pustelnicy, mistrze nauk tajemnych, bandosi, powsinogi, święci i hulaki. „Wieś zaciszna, wieś spokojna" obfitowała, jak widać, w nie mniej szeroką skalę osobowości od tych, jakie zaludniały epokę renesansu — od ascetów klasztornych do żywiołowych temperamentów typu Benvenuta Celliniego.

Dla nas jednak ważne są dzieła tych ludzi, jako wykładnik ich wartości twórczych. Wobec niedojrzałości kultury plastycznej w naszym społeczeństwie stosunek inteligencji do rzeźby ludowej nie ułożył się u nas w sposób, który by świadczył o ustaleniu się wartości artystycznych w świadomości ogółu. Jedni, jako entuzjaści sztuki ludowej w ogóle, wartościują wszystkie rzeźby ludowe jednoplanowo, a w bezkrytycznym uwielbieniu wszystkiego, co stworzył lud, nieświadomie opierają swą estetykę na absurdalnym założeniu: rzeźba ludowa nie dlatego jest piękna, że posiada obiektywne wartości formalne, ale dlatego, że jest ludowa. Do nich należą miłośnicy swojszczyzny, gromadzący i adorujący wszystkie świątki bez wyboru.

Drudzy znowu przystępują do rzeźby ludowej z dobrotliwą wyrozumiałością, wybaczając jej wszelkie wady anaturalizmu, dysproporcje, deformacje i nieporadność, co — jak orzekają — wiąże się trwale z samouctwem świątkarzy, środowiskiem kulturalnie zacofanym, z brakiem systematycznych studiów pod okiem żyjących mistrzów itp. Cenzorowie tej kategorii, to niewolnicy formuły klasycznej sztuki.

Pobłażliwie traktuje sztukę ludową również wielu artystów ze sfer kultury miejskiej, nie wątpiących ani na chwilę, że talentem własnym stanęli ponad całym dorobkiem tradycji. Przyczyny takich przekonań szukać należy w fetyszystycznym kulcie talentu, który sprowadza rolę wszelkiej tradycji, a więc i ludowej, do roli lilipuciej w porównaniu z tym, co sam tworzy. Jest w tym stosunku również i spuścizna pańskiego spoglądania z wysoka na wszystko, co działo się poza opłotkami dworu.

Na przeciwnym biegunie stoją ci, którzy wymiatają z salonowego przybytku sztuki wszystkie dzieła samouctwa, a więc ich zdaniem — prostactwa i barbaryzmu, dzieła chłopskich ikonoklastów, demolujących zaciekle kształty natury — owe odrętwiałe kukły z potwornie rozrosłymi stopami i dłońmi, owe pogurbione niezguły z wystraszonymi twarzami, wszystkie, jak im się wydaje, nieudolne imitacje lub zwykłe wulgaryzacje sztuki miasta, kościoła i dworu.

Są wreszcie i tacy, którzy, dotknięci atrofią estetyczną na zjawiska plastyki w ogóle, nie odczuwają piękna rzeźby. Podobno Newton — jak pisze B. Russel — którego zajmowały zwykłe ścieżki planet i słońc, nie pojmował, jak lord Pembroke mógł znajdować coś godnego podziwu w „kamiennych lalkach". Ludzi tego typu, porażonych daltonizmem estetycznym, ograniczonych

jednokierunkowością specjalizacji, tak charakterystycznej dla systemu kapitalistycznego, jest u nas legion. Zachodzi tu zjawisko, właściwe każdej autonomicznej jednostce ludzkiej: zjawisko odsuwania i deprecjonowania wszystkiego, co nie mieści się w jej lamusie wartości. Człowiek opancerzył się przeciwko wszystkiemu, co mogłoby mu popsuć jego uporządkowany świat wartości, do którego nawykł i który mu wystarcza, dlatego niełatwo zbacza ze swej wydeptanej ścieżki.

Bez tych jednostronnych i przesadnych uprzedzeń przystąpmy do zagadnienia rzeźby ludowej. Patrząc spokojnie i obiektywnie, co w niej dostrzeżemy?

III

Cechy diagnostyczne formy rzeźby ludowej omówione zostały we wstępie do katalogu wystawy wydanego przez Centralny Instytut Kultury. Pytamy się jednak, w czym tai się prawo piękna? Wszakże nie w sumie tych cech lub w każdej z nich z osobna. W stosunku do świątków naszych powinniśmy zachowywać się tak, jak zachowywał się w stosunku do swoich tragedii Grek, który znając treść swych mitów z upodobaniem chodził do teatru, by cieszyć się nową formą znanych sobie treści.

Pierwszym głosem formy zwróconym do nas jest wyraz, czyli zasadnicze dla nas ważne cechy dzieła, jego organiczny *habitus* narzucający się wzrokowi. Wyraz wywołuje w nas nastrój — dlatego uznajemy go za jedną z kardynalnych wartości dzieła sztuki. Toteż stwierdzenie faktu, że świątki nasze posiadają swój specyficzny wyraz, jest jednoznaczne z dodatnią ich kwalifikacją. Dzieła bowiem bezwyrazowe, albo posiadające skąpy zasób środków wyrazu, są jak czarniawa ludzka snująca się po miejskich chodnikach, niczym nowym i ciekawym nie uwydatniająca się na taśmie naszej uwagi, wrażeń i przeżyć.

Świątki działają na nas już z pierwszego wyglądu. Ale czym? Nie chcemy odpowiadać na to nudną klasyfikacją. Jedne działają na nas liryzmem, drugie dramatycznością. Jedne ekspresją ciężaru, drugie spokojnym spływem masy bryły spowitej szatą, inne wreszcie kontrastem linii prostych i krzywych, kształtów okrągłych i śpiczastych, kopulastych i graniastych. Jedne zaciekawiają nas brutalną ekspresyjną niezgułowatością, nogami ciężkimi jak kłody i rosłymi jak u posągów w Memfis, inne wyidealizowaniem i subtelnie wyczutym uduchowieniem, jakimś wyszukanym Giottowskim gestem, niebanalną pozą, wykwintną gracją lub dziewczęcym wdziękiem.

Świątek może być kaleką bez nóg i rąk, a jednak nie biadamy nad tymi brakami. Któż żałuje, że Wenus Milońska nie ma rąk, Nike Samotracka ani głowy, ani rąk, ani nóg, a tak samo piękne postacie ze wschodniego tympanonu partenońskiego? Jak postument i wywyższenie w kapliczce przydrożnej wyodrębnia rzeźbę z rzeczywistości popularnej i podnosi ją do rzeczywistości imaginatywnej, tak jej braki fizyczne i obrażenia mechaniczne nadają jej znamię niezwykłości, wyraz archaiczny, a więc szatę tej drugiej rzeczywistości.

ŚW. ANNA Z MATKĄ BOSKĄ

OBRAZ NA SZKLE WYKONANY PRZEZ HELENĘ ROJ-KOZŁOWSKĄ W R. 1947

Fot. Z. *Kamykowski*

Mówiąc o wyrazie w rzeźbie zapominać o tym nie można, że żaden wyraz nie istnieje w oderwaniu od zasadniczych cech formy. Jeśli więc ten lub ów świątek działa na nas swym bytem prawdziwym i żywością organizmu, łatwo stwierdzić, że świątkarz przedstawił swą imaginatywną rzeczywistość z wielką siłą, ale jedną z cech jego formy jest anatural zm. Jeśli zaś świątek działa na nas chłopską dosadnością, jak myśl wypowiedziana wyraźnie, jasno, przystępnie, bez zbytecznego balastu kwiatków stylistycznych — to łatwo stwierdzić, że rzeźbiarze, posługując się prawidłami logiki obcej naturze, osiągają ten cel prostotą formy.

Prostota formy bynajmniej nie jest jednoznaczna z ubóstwem życia wewnętrznego jej twórców. Każdą bowiem nieporadność prostaczą, każde odchylenie od umownych proporcji i każdy grzech przeciw realizmowi okupuje rzeźbiarz ludowy poważnym wkładem pierwszorzędnych wartości formalnych, którymi ożywia bryłę rzezaną.

Kiedy indziej znów, jako ludzie nowocześni, kochamy się w jasności, logiczności linii i form, w sformułowaniu niemal matematycznym. W naturalnej skłonności umysłu naszego do porządkowania zjawisk wedle zasad geometrii — podatni jesteśmy na uwodzicielską siłę wyrazu innej cechy: geometryzacji formy.

Ponadto w rzeźbie ludowej stwierdzamy rzecz podziwu godną: świetną kompozycję nie polegającą jedynie na uporządkowaniu przedmiotów. Te sposoby komponowania, które artysta miejski przyswaja sobie mózgiem jako wiedzę fachową, podsuwa artyście ludowemu intuicja twórcza. U niego dosłownie wszystko komponuje się samo, gdyż zarówno trafność układu form głównych jak też wzajemność stosunków formalnych dokonuje się poza jego wiedzą artystyczną. Beztroskiemu na pozór rąbaniu i rznięciu, ściosywaniu, struganiu i drążeniu drzewa towarzyszy niewyrozumowana, a jednak logicznie prosta zasada kompozycyjna, przedziwna perfekcja formy.

Analizując formę wielu świątków odkrywamy podziwu pełną planowość działania rzeźbiarzy ludowych, ich mądrość zaklętą w drzewie, a jednocześnie nad wyraz trafne dostosowanie jakości formy do przestrzenności wymiaru.

Głównym pomieszczeniem świątków są kapliczki nadrzewne. Przede wszystkim w tych ramach mają one swój sens plastyczny. Współżyją z nimi i uzupełniają się wzajemnie. Wszakże twórcą ich jest zwykle sam rzeźbiarz. Chcąc nie chcąc powtarza więc lub modyfikuje w formie świątków elementy architektoniczne kapliczek.

Poza tym uwzględnia widza: Chrystusowi Frasobliwemu przedłuża tors oraz ramię i przedramię, na którym wspiera się głowa, popada w konflikt z prawdą przyrodniczą, ale za to uzyskuje zamierzony efekt: widz patrzący z dołu nie odnosi wrażenia, jakoby figurka Frasobliwego była nadmiernie skulona i nie zauważa, że rzeźba przedstawia mu się bez skrótów. Wydaje się, jakby świątkarz dysproporcjami swej rzeźby wyraźnie zakpił sobie z perspektywy.

Nad tajemnicą tych arkanów artystycznych warto się zastanowić. Jakiż efekt osiągnąłby świątkarz, gdyby w pracy swej wyzyskał swą empiryczną

wiedzę o budowie ciała ludzkiego? Wie przecież, że ręce człowieka posiadają długość jednakową, wie, że tułów nie jest dłuższy od nóg, a jednak ignoruje tę wiedzę. Na pewno, gdyby swego Chrystusa Frasobliwego wyobraził sobie w postawie stojącej, wybuchnąłby śmiechem rubasznym na widok człowieczka o długim kadłubie, krótkich nóżkach, jednej ręce sięgającej do środka uda, a drugiej aż do łydki. Dlaczegóż więc taką postać nadają wszyscy świątkarze swym Frasobliwym przeznaczonym do kapliczek przydrożnych? Cóż osiągnęliby grzecznością i posłusznością prawom proporcji i perspektywy? Chrystus Frasobliwy, ustawiony w kapliczce na słupie lub drzewie, widziany byłby z dołu w fatalnym skrócie pespektywicznym, jako dwa golenie z wetkniętą między nie głową.

Z tego rodzaju przewidywaniami liczyli się rzeźbiarze gotyku, gdy na wyniosłych krekształach umieszczali strzelste figury, rzeźbiarze baroku zaludniający wnęki rzeźbami w gimnastycznych pozach, jak też współcześni rzeźbiarze i malarze dekorujący kościoły i gmachy monumentalne. Czynią to jednak świadomie, zgodnie z własnymi i cudzymi doświadczeniami i zawodową wiedzą — rzeźbiarze zaś ludowi podświadomie, zgodnie z nakazem tradycji.

Przyjąwszy tradycję za podstawę charakteru sztuki ludowej wiemy już, skąd wywodzi się skłonność rzeźby ludowej do typów zmartwiałych, nie wykazujących prężności rozwojowej, do niezmienności w czasie i formie, tak charakterystycznej dla zwierząt i człowieka paleolitu, dla działania wedle wskazań pierwotnej mądrości plemiennej. Warto dodać nawiasem, że niezmienność w czasie, znamionująca sztukę dziecka i sztukę ludową, da się zestawić z niezmiennymi w czasie przejawami instynktu gatunkowego zwierząt. Tak tu jak i tam istnieje ograniczona ilość schematów tworzenia. Jak bóbr umie zbudować tylko jeden typ tamy i domku nawodnego, a nie potrafi zbudować łatwiejszego technicznie schronu szczura wodnego — tak samo w dużej mierze ma się rzecz z twórczością artysty ludowego tworzącego przy pomocy tradycji.

Ta odwieczność praw sztuki ludowej onieśmiela nas, hamuje nasze sądy estetyczne, a nakazuje nam przyjmować tę sztukę taką, jaka jest — ze wszystkimi zaletami i ułomnościami, jak twory przyrody. Taka jest, a nie taka powinna być.

Nieewolucyjności rzeźby ludowej niesposób uznawać rygorystycznie. Problem ten rozważany na obszarze sztuki określonej dokładnie pod względem pochodzenia i autorstwa przedstawia się nieco odmiennie. Wszakże wchodzi tu w grę wpływ wzorów ikonograficznych na plastykę ludową, aczkolwiek — i to podkreślić należy dosadnie — określanie rzeźby ludowej momentem historycznym nie pokrywa się z zestawieniem jej ze sztuką stylów historycznych. Zestawienie takie byłoby dla niej krzywdzące. Okazałoby się bowiem, że lud wchłaniał zbyt wiele treści kulturalnych przechodzących jego możliwości asymilacyjne, a pozostawał zawsze w tyle za nurtującymi Europę prądami artystycznymi. Okazałoby się, że stylizacja rzeźby ludowej pochodzi jedynie z technicznej nieumiejętności i nierozbudzonej inteligencji, a charakter jej z niedokładności reprodukcji pierwowzorów. Tego rodzaju wnioski byłyby fałszywe.

Oscylacja bowiem rzeźby ludowej ku temu lub owemu stylowi historycznemu nie umniejsza wcale jej wartości artystycznej.

Nie można mierzyć jej wartości stopniem odchylenia od charakteru, poziomu i norm przyjętych w sztuce kultury alfabetycznej, ani też przewaloryzowywać jej wartości wedle wskaźnika wykazującego wielkość dystansu od owych norm.

Oryginalność rzeźby ludowej zasadza się między innymi na tym samym co oryginalność pieśni ludowej, która wchłonęła w siebie wiele pierwiastków miejskich i szlacheckich, nadała im jednak nową barwę. Z czasem pieśń ta przyjęła nowy rytm, a prostotą i świeżością odrębnego wyrazu artystycznego pierwiastkom przejętym nadała wartości przewyższające pierwowzór. Rzeźba ludowa również zmieniała i przetwarzała formy i treści przejmowane zależnie od tego, jak je umysł prostaczy pojął i zapamiętał i również efekt tej niedoskonałej, prostaczej apercepcji ludu był dodatni.

Wystarczy tu wskazać przykładowo na kształtowanie się treści jednego ze świątków, a więc np. popularnej w Polsce postaci Frasobliwego, którego zwą też Miłosiernym, Dumającym, Cierpotką, Świętą Turbacyją, Świętym Piątkiem solą (łzami) oblanym, albo wprost Ponjezusickiem. Tej zatroskanej dolą ludzką postaci, zwanej już dzisiaj polskim, chłopskim wyobrażeniem Chrystusa, nie tłumaczy żadne słowo apostołów, żaden werset w Piśmie świętym, ani żaden apokryf. Ale lud polski zna o niej różne legendy.

W Żakowoli na Chełmskim Podlasiu słyszałem opowiadanie o tym, że kamienna figura Turbującego się Chrystusa ożyła raz, podniosła ręce do góry i udzieliła błogosławieństwa pokrwawionym żołnierzom polskim, którzy wyszli z lasu:

„I ja, bracia, przelewałem krew za złości świata“ (może to mesjanistyczne echa po powstaniu w r. 1863?)

Najczęściej jednak słyszy się w Polsce wyjaśnienie, że ta mała figurka, która, jak stroskany wędrowiec, wspiera skołataną głowę na dłoni, to „Ponjezus co płace nad pańscyzną narodu“. A Józef Biel, świątkarz i samotnik na górze Obidzy koło Jazowska, w rozmowie ze mną w r. 1925 dodawał:

„Wysed Ponjezus na górecke, poziro na Ojcyzne, zafrasowoł sie okropnie, hej, hej, ojcyzno moja, powiado, tyś mi nojmilejso na caluśkim świecie“.

Poza legendami, które mówią o cudownej genezie i przejawach nadprzyrodzonej mocy figur cudownych, poza legendami, które dorzucają pewne fakty do historii rzeźb niektórych, rozwinęła się u ludu wcale obszerna dziedzina żartobliwych opowieści, w których świątki traktowane są bez koturnowego wywyższenia i kornej adoracji, lecz postawione są na czysto ludzkiej płaszczyźnie.

Opowieści te stanowią przyczynek do społecznej funkcji świątkarstwa ludowego jako wyrazu współżycia człowieka z przedmiotami swojej sztuki i włączenia ich w obręb swojej wspólnoty. Rzecz charakterystyczna, że nie dotyczą one nigdy figur cudownych, ani w ogóle rzeźb kościelnych, ani uświęconych chryzmatyzmem miejsc, ale czepiają się przeważnie niepoświęcanego

proletariatu świątkarskiego w kapliczkach przydrożnych, figur polnych i rzeźb, które jeszcze nie opuściły pracowni wiejskiego „bogoroba". Opowiadał 80-letni kowal z Nabyszyc, że Bryliński przyskoczył raz do wyrzeźbionej figury Chrystusa postawionej na klepisku stodoły i mocując się z nią zawołał:

— Boże, Tyś mnie stworzył, ja Cie zrobił, pódźma zapas.

Oczywiście w tych zapasach Bryliński był górą.

O Jakubie Pazerze Walasiu opowiadają do dziś w okolicy Pstroszyc, Woli Podleśnej i Kozłowa, że nie mogąc sprzedać swych świątków obnoszonych po wsi, wrzucił je pod most na drodze do Szczepanowic, przy czym zawołał:

— Jo wos stworzył, jo wos potopie.

Janowi Łagoszowi przypisują zaś powiedzenie:

— Panie Boże, ja Cie zrobił, Tyś mnie stworzył, jeść mi się chce, sprzedać Cie nie mogę.

Słowa te wkłada lud w usta różnym rzeźbiarzom i obraźnikom-powsinogom, którzy swe świątki za chleb i sól wymieniali.

Inny świątkarz przyjechawszy pod karczmę postawił Pana Jezusa na oknie, żeby uważał na konie, a sam poszedł na gorzałkę. Tymczasem konie ruszyły. Wybiegł za nimi świątkarz i ledwie je zdołał dopędzić. Przyjechawszy powtórnie przed karczmę ściągnął pasek od spodni i dalejże bić świątka. Aż się ludzie za nim wstawili:

— Ej, dy dejciez pokój temu bidokowi, przyrżliście mu dość!

— Nie — powiada — jo mu nie darujem! Co mu sie patrzi muse mu wsuć! Cobyk go nie postawieł, to by jesce, jesce. Cobyk beleco postawieł, to by jesce jesce. Alek go gembusiom ku koniom obrócieł, coby ocy mioł na koniak i dawał poziur — cymuz nie uwazowoł?

Tego rodzaju żartobliwych opowieści istnieje w Polsce wiele. Przytoczyliśmy tylko drobną ich cząstkę. Dowodzą one, że rzeźba ludowa, należąc do nieodłącznych szczegółów tradycyjnego i już zanikającego wiejskiego środowiska, zarysowała się wcale wydatnie w sferze tematu ludzkich zainteresowań, rozmów, opowieści i żartów. Wiele z nich wywodzi się z właściwej ludowi skłonności do rzekomego parodiowania rzeczy religijnych, ale bynajmniej nie mają one żadnego związku z cynizmem, szyderstwem lub drwiną.

Ponadto — i to trzeba uwzględnić — w ludowych przedstawieniach świata wiary często my tylko (a nie chłop) widzimy pierwiastek komiczny jedynie skutkiem niespodzianie zaskakującego nas przejawu funkcji ludowego zmysłu konkretyzacji. Umysł prostaczy sprowadza świat nadnaturalny na ziemię, by łatwiej mógł go ogarnąć. Jest w tych opowiadaniach wreszcie wyraz tężyzny i krzepkości, jak w każdym śmiechu wyzwalającym się z wnętrza człowieka, ale jest również przejaw prawdziwej kultury, która, jak stare wino, zaleca się wykwintnym smakiem i kolorem. Tylko bowiem człowiek prawdziwej kultury zdolny jest widzieć rzeczy poważne na wesoło, a żart swój utrzymać na wodzy umiaru.

JULIUSZ KLEINER

STANISŁAW ŁEMPICKI*)

Spośród twórczych przedstawicieli polskiej nauki uniwersyteckiej odszedł znakomity uczony, pisarz władający świetną, nieskazitelną polszczyzną, prelegent doskonały, profesor pobudzać umiejący młodych pracowników i czarujący człowiek. Podbijał śp. prof. Stanisław Łempicki urokiem swej osoby, pociągał ku sobie słowem ciepłym, serdecznym. Umiał być najmilszym towarzyszem, jako *causeur* stawał się ośrodkiem towarzyskiego grona, ożywiał je trafnością powiedzeń, dowcipem, uśmiechem, którego nie spędzała z wyrazistej twarzy nawet skłonność pewna do skarg, do narzekań związanych z przeżyciami osobistymi i z lękiem przed chorobą. Nie przeszkadzały i one wnoszeniu pogody przez rosłego, szerokiego, sporo kilogramów ważącego gawędziarza o wyjątkowej kulturze, o rzadkiej rozległości horyzontów.

Ciepłem serdecznym i tętnem życia napełniał wykłady, mówione z silnym uwydatnianiem ważniejszych powiedzeń i z harmonijną, a młodzieńczego temperamentu pełną płynnością. I ożywiały się też pod piórem świetnym wszelkie zagadnienia, jakie poruszał, i postaci, które charakteryzował. Każdą jego rozprawę czyta się z przyjemnością, a nierzadko z poruszeniem serca. Pisać umiał tak, jak mało który z uczonych, i entuzjazmem prześwietlać słowa.

Był wychowankiem Uniwersytetu lwowskiego. Urodzony dnia 25 maja 1886 r. w Kamionce Strumiłowej (koło Lwowa), do szkół uczęszczał początkowo w Nowym Sączu, trzy ostatnie klasy gimnazjalne skończył we Lwowie. Polonistykę studiował pod kierunkiem Józefa Kallenbacha i Wilhelma Bruchnalskiego w latach 1904—1909. Niemało też zawdzięczał szkole filozoficznej Kazimierza Twardowskiego. W r. 1914 promował go Kallenbach na doktora filozofii; tematem dysertacji doktorskiej była działalność Jana Zamoyskiego w dziedzinie kultury.

Od r. 1910 do 1921 pracował jako nauczyciel w gimnazjach. W latach 1921 do 1924 był referentem Archiwum Państwowego we Lwowie. W trakcie habilitacji, przed jej dokonaniem, mianowany został profesorem historii literatury polskiej w Warszawie, lecz katedry tej nie przyjął. Od r. 1924 był profesorem

*) Korzystałem w tym artykule z szczegółowej, dwieście kilkadziesiąt pozycji liczącej bibliografii prac drukowanych i ważniejszych artykułów, którą ułożyła dr Jadwiga Łempicka.

nadzwyczajnym, od r. 1933 profesorem zwyczajnym historii oświaty i szkolnictwa w Uniwersytecie Jana Kazimierza; we Lwowie pozostał mimo powoływania go na katedry do Wilna i (dwukrotnie) do Krakowa. W latach wojennych 1939—1941 i 1944—1945 wykładał na Uniwersytecie lwowskim historię starszej literatury polskiej. Na wiosnę r. 1945 przybył do Krakowa, w jesieni objął katedrę starszej literatury polskiej jako profesor kontraktowy, w r. 1946 jako profesor zwyczajny. W r. 1947 został czynnym członkiem Polskiej Akademii Umiejętności, której członkiem korespondentem był od r. 1929; o rok wcześniej (1928) wszedł w grono czynnych członków Towarzystwa Naukowego we Lwowie.

Zmarł w toku intensywnej pracy, dnia 2 grudnia 1947 r. w Krakowie. Spoczął na cmentarzu Zwierzynieckim na Salwatorze.

Bogata jego działalność naukowa obejmowała dwie dziedziny: historię literatury i historię kultury ze szczególnym uwzględnieniem szkolnictwa.

Pierwszą książką, którą ogłosił, była wydana w r. 1909 „Bibliografia historii literatury i krytyki literackiej polskiej za r. 1906". Pozostała ona w jego dorobku naukowym pozycją odosobnioną; o tyle jedynie wiązały się dalsze jego tory z sumiennym zestawieniem i sklasyfikowaniem pewnej całości piśmienniczego plonu, że stale cechowało go doskonałe opanowanie literatury przedmiotu; nie zestawianie wszakże było dlań typem pracy, lecz konstruowanie i syntetyzowanie.

Stanowisko wybitne w nauce zdobyła mu monografia pt. „Działalność Jana Zamoyskiego na polu szkolnictwa" (1921). Umiłował Stanisław Łempicki „wspaniałą, jakby granitową postać kanclerza i hetmana", „bujną i wszechstronną, jedną z tych, co jawią się w dziejach narodu raz na stulecie", będącą doskonałym wyrazem dążeń i usiłowań swego wieku, który w dziedzinie edukacji młodych pokoleń dokonał nieraz rzeczy prawdziwie wielkich.

Opierając się na gruntownym poznaniu kultury europejskiej XVI wieku i wnikliwie wyzyskując obfite materiały rękopiśmienne Biblioteki Zamoyskich, młody badacz, jakkolwiek mający zasłużonych poprzedników w odtwarzaniu dziejów owej akademii wyjątkowej, prywatną inicjatywą magnata powołanej do życia, pierwszy dał pełny wizerunek mecenasa i reformatora studiów. Bogactwo szczegółów podporządkował jasnym liniom wytycznym całości, która w obrazie humanizmu polskiego jest jedną z kart najbarwniejszych i godnie staje obok fundamentalnych dzieł Kazimierza Morawskiego.

Najpierw na tle starań o rozszerzenie horyzontów naukowych podupadającej Akademii krakowskiej ukazuje śmiały zamysł Batorego i Zamoyskiego, by stworzyć drugi uniwersytet na podobieństwo paryskiego *Collège Royal* (późniejszego *Collège de France*) — uniwersytet nowoczesny, postępowy, humanistyczny. Gdy wielki projekt okazał się niewykonalny, gdy zawiodły próby ściągnięcia do Polski luminarzy nauki europejskiej — przerzuca się inicjatywa kanclerza na pole działalności prywatnej: chce mieć własną szkołę wyższą. Od pierwszych zawiązków z lat 1581—1582 i 1589—1592 przechodzi Łempicki do okresu, w którym od r. 1593 plany Zamoyskiego wracają w swej formie

najwyższej i czymś realnym staje się akademia, jedyna w swoim rodzaju krea- cja „szkoły obywatelskiej", rodząca się „ze splotu dwóch czynników, renesan- sowej żądzy reformowania wedle indywidualnych przekonań i wielkopańskie ambicji magnata". Rysuje się jasno pierwszy rok oficjalnej Akademii, 1595 i jej lata dalsze, związana z nią działalność wydawnicza nowej drukarni, mo- gąca się poszczycić „Potrójnym" Cieklińskiego — i zapoczątkowanie przez rektora w r. 1599 pismem do padewskiego fakultetu medycznego zwróconym olbrzymiej literatury o kołtunie (zwanym, jak wiadomo, *plica polonica).*

Dokładnie charakteryzuje badacz i klasy przygotowawcze stanowiące szkołę pięcioklasową, w której ciekawa jest i znamienna jednoczesność uczenia łaciny i greki, i plan nauk właściwej Akademii, ułożony pod znakiem Arystotelesa i Cycerona. Wykazuje, że nie miała ona właściwie charakteru uniwersytec- kiego, że była „szkołą szlachecką" (chociaż nie zamykającą podwojów przed plebejuszami), w której Zamoyski chciał w myśl zasad swoich wychowywać młode pokolenie rządzić mające Rzecząpospolitą. Dążenie do otwarcia przed nową uczelnią szerszych horyzontów europejskich i naukowa działalność profe- sorów, której plonem cennym jest zwłaszcza Burskiego *Dialectica Ciceronis* treść daje ostatnim rozdziałom monografii, uwydatniającej, jak dalece Za- moyski był dla swej szkoły stale czynnikiem decydującym i jak góruje on wśród polskich mecenasów. Bo snuł konsekwentnie plany najrozleglejsze i zrealizował „koncepcję własną, przeważnie oryginalną, z potrzebami Polski organicznie zrosłą, duchem epoki natchnioną, a zakrojoną na możliwie wysoką miarę".

Osobistość tego mecenasa może jeszcze plastyczniej występuje w studium pt. „Medyceusz polski XVI wieku" (1929). Przewija się bogata galeria popie- ranych przez niego spraw, dzieł i ludzi, związanych z nim poetów i uczonych uwzględniony zostaje również stosunek do architektury, malarstwa i rzeźby oraz kontakt z zagranicznymi humanistami tego „patrona kultury w wielkim stylu". „Człowiek renesansowy z krwi i kości, o wybitnym piętnie wykwint- nego kosmopolityzmu, widział on jedną wielką rodzinę uczonych, jedną rzecz- pospolitą literacką, której sam był członkiem i obywatelem i z którą łączyły go silne nici tych samych poglądów i umiłowań". „Imię polskiego mecenasa.. na przełomie XVII w. staje się w oczach ludzi obcych wyrazem i symbolem polskiej kultury, polskiego przywiązania i respektu dla nauk". „Mecenat by dla niego, jak dla wielu innych, blaskiem, potrzebą ambicji, pożądaniem sła- wy...; ale był też i prawdziwą, zawsze odczuwaną potrzebą jego umysłu i serca".

Poza tymi dwoma zasadniczymi studiami kilkakrotnie jeszcze tematy po- krewne dają treść pracom takim, jak „Wielki tolerant, Jezuici i Skarga" (1920 — drugie wydanie rozprawy ogłoszonej w r. 1912 w *Pamiętniku Lite- rackim* pt. „Jan Zamoyski, Jezuici i Skarga"), „Śladem komentarzy Cezara" (1920 — w *Pam. Lit.* z r. 1917 drukowane pt. „Hetman J. Z. współpracowni- kiem Heidensteina"), „Jan Zamoyski, protektor medycyny i medyków" (1921 i włoska pochwała padewskiego okresu w życiu renesansowej bujnej osobistości

Il Cancelliere Giovanni Zamoyski e l'Università di Padova (w księdze jubileuszowej *Omaggio dell' Accademia Polacca... all'Università di Padova*, 1922).

Z kręgu autorów grupujących się dokoła Zamościa po latach stanie się przedmiotem badań Stanisława Łempickiego Ciekliński („Piotr Ciekliński i Jan Ostroróg z Komarna", *Pamiętnik Literacki*, t. XXXIII, 1937; „Nieznane hymny o Najśw. Pannie P. Cieklińskiego" w „Tece zamojskiej", 1938); on też na równi z Burskim i z kilku innymi przedstawicielami tej epoki upamiętniony został przez badacza w *Polskim Słowniku Biograficznym*. Ukazane obficie w rozprawie o „Medyceuszu polskim" stosunki Polski XVI wieku z zagranicznym ruchem umysłowym oświetlone zostają nadto w zajmującej rozprawie „Manucjusze weneccy a Polska" (1926, odb. z *Pam. Liter.*, t. XXII/XXIII) i w szkicu „Francesco Filelfo" (*Wiadomości Literackie*, 1935).

Wielbiciel Zamoyskiego stał się naczelnym badaczem mecenatu kulturalnego i pierwszy u nas wskazał należycie jego znaczenie, poprzednio ubocznie tylko zaznaczane („Mecenat kulturalny w Polsce" — w poświęconych Brücknerowi „Studiach staropolskich", 1928, oraz „Opiekunowie kultury w Polsce", 1938).

Powołany był, jak mało kto inny, do syntetycznego ujęcia objawów i plonów, którymi nas wzbogaciła kultura renesansowa w w. XVI. Dał też syntezę taką w studium przedstawionym w r. 1930 na Zjeździe im. Jana Kochanowskiego i pomieszczonym w księdze zbiorowej pt. „Kultura staropolska" (1932). „Renesans i humanizm" daje najpierw jasne rozgraniczenie obu pojęć: humanizm jest „prądem wiecznie wracającym", mieści w sobie „pewien ideał kulturalno-wychowawczy i nosi cechy prądu przeważnie książkowego" — renesans jest „odnowieniem życia ludzkiego i świata" na tle buntu przeciw średniowieczu. W Polsce mówić należy o jednolitym prądzie renesansowo-humanistycznym.

Można było oczekiwać, że świetny znawca humanizmu kiedyś zajmie się specjalnie Szymonowicem, nie ograniczając się do tego, że go jako lekarza przypomniał (w *Kurierze Lwowskim*, 1920) i że go „wobec szkoły i wychowania" postawił w pełnym świetle (*Oświata i wychowanie*, 1930). Można było przede wszystkim — oczekiwać od niego monografii o Kochanowskim. Miał ją w swych planach, zawsze bardzo bogatych i różnorodnych. Ale zdążył tylko na Zjazd Bibliofilów w r. 1928 wydać „Fraszki" dołączając „przedmowy i glossy" i w r. 1930 wraz z Henrykiem Gaertnerem opracować „Treny" — i dopiero w ostatnim okresie życia nie tylko „Odprawę posłów" opracował (dla *Biblioteki Arcydzieł*), lecz na posiedzeniach Akademii Umiejętności czytał „Uwagi o próbach epickich J. Kochanowskiego", a „Jezdę do Moskwy" z zapomnianym poprzednikiem zestawił (*Sprawozdania Polskiej Akademii Umiejętności*, XLVIII, 1947).

Wspomnieć warto, że i Górnickiemu się pokłonił, tekst „Dworzanina" wydając w r. 1928, w r. 1937 zaś rozprawę w *Pamiętniku Literackim* poświęcił „Nieznanemu wydawnictwu grunwaldzkiemu i staroświeckiej pieśni o bitwie pruskiej". Jej aktualne dziś strofy udostępnił ogółowi w antologii z r. 1945, w „Słowie o Grunwaldzie".

Humaniście żywo odczuwającemu poezję i rozumiejącemu ją głęboko bliski był również romantyzm, i chociaż nieczęsto nim się zajmował, wiedzę o nim bogacił cennymi, nowymi oświetleniami.

Tryumfem dywinacyjnej bystrości było rozwiązanie zagadki, jaką w autografie „Ksiąg narodu i pielgrzymstwa" stanowi wzmianka o Heinrechu. Stanisław Łempicki stwierdził, że idzie tu o mistyka i historiozofa niemieckiego Heinrotha, który ideom Mickiewicza mógł dostarczyć niejednej podniety. W r. 1929 zakomunikował to wyjaśnienie tajemnicy na posiedzeniu Akademii Umiejętności („Tak zwany Heinrech w brulionie Mickiewiczowskich ‚Ksiąg pielgrzymstwa'" *(Sprawozdania Polskiej Akademii Umiejętności,* 1929); rozprawy całej nie ogłaszał przez lata; wykończył ją dopiero niedawno i już po zgonie autora ukaże się ona w *Pamiętniku Literackim.* Jeszcze ważniejsze jest może wskazanie, że młody poeta, do którego Mickiewicz zwraca się w sonecie „Ajudah", to Gustaw Olizar, na wybrzeżu krymskim mieszkający („Nowa interpretacja sonetu Mickiewicza ‚Ajudah'", *Sprawozdania Tow. Naukowego we Lwowie,* 1928). Wnikliwie uprzytomnił prof. Łempicki pokrewieństwo „Pana Tadeusza" i „Pana Podstolego", zauważone najpierw przez Krasińskiego, potem przez St. Windakiewicza („Mickiewicz—Krasicki", 1936 — odb. z *Pamiętnika Literackiego,* t. XXXI i XXXIII). Wskazał pierwowzór realny Księdza w „Horsztyńskim" i w „Fantazym" („Przyjaciel Horsztyńskiego", *Słowo Polskie,* 1926; „Kim był ks. Loga?", *Słowo Polskie,* 1930). Związał poemat „W Szwajcarii" z Dantem, z jego *Vita nuova.*

Żywo interesowała go nasza pieśń narodowa. W r. 1916 wraz z Adamem Fischerem wydał „antologię poezji z roku wielkiej wojny" pt. „Pieśń wojenna". Zwrócił uwagę na „Nieznany kancjonał z Byczyny na Śląsku z XVII w." *(Sprawozdania Towarzystwa Nauk.* we Lwowie, 1928). Tuż przed wojną światową ogłosił rozprawę o „Polskiej pieśni narodowej jako czynniku wychowawczym" (*Kultura i Wychowanie,* r. VI).

Złączyły się w tej rozprawie dwie dziedziny, którym służył uczony i profesor pracą swoją. Ten historyk Akademii Zamojskiej rozmach swej inicjatywy okazał na terenie naukowego badania dziejów szkolnictwa i wychowania.

Skoro tylko objął katedrę we Lwowie, zaczął redagować *Wiadomości z dziejów wychowania i szkolnictwa w Polsce* (1921—22), krótkotrwałe skutkiem braku funduszy. Zaraz potem wychodzi pod jego redakcją wydawnictwo „Epoka wielkiej reformy. Studia i materiały..." (1922). Czuje się pionierem mało jeszcze u nas rozwiniętej gałęzi wiedzy i program pracy formułuje w „Księdze referatów IV Zjazdu Historyków Polskich w Poznaniu" (1925). Niebawem dzięki niemu powstaje i do dwu roczników dochodzi kwartalnik *Minerwa Polska* (1927—29). Tu między innymi wydrukował cenną swą rozprawę „Z dziejów szkolnictwa lekarskiego w Polsce".

Pomnikiem trwałym są dwa ogromne tomy „Encyklopedii wychowania" (1933—37), którą kierował wraz z Bogdanem Suchodolskim, Wojciechem Gottliebem i Józefem Włodarskim i która ujęła świetnie całość ówczesnej wiedzy w zakresie pedagogii, dydaktyki i łączącej się z nimi psychologii. W Ency-

klopedii pomieścił zwięzłe przedstawienie „Polskich tradycji wychowawczych" i jednocześnie poświęcił im książkę obszerniejszą pod tymże tytułem (1936), oryginalną w koncepcji, doskonale przemyślaną. (Treść jej główną ujął potem krótko w książeczce „Polski ideał wychowawczy", 1939). Starał się ukazać, jaki ideał przyświecał u nas wychowaniu w ciągu wieków, głównie kierując uwagę na dążności stulecia XIX i XX, na ścieranie się prądów różnych, na rolę pobudzającą i często kierowniczą literatury, na tendencje aktualne. Uznawał słusznie, że dzieje tych ideałów, na których modłę chciano urabiać młode pokolenia i które zachowywały żywotność istotną, to konieczne dopełnienie historii szkół i programów szkolnych.

Szukał również dopełnienia tej historii w tzw. „instrukcjach wychowawczych" — w rodzicielskich wskazówkach dla młodzieży studiującej. Zbierał je z najrozmaitszych źródeł rękopiśmiennych od XVI w. począwszy. — i dzięki uczniom jego i współpracownikom ważny materiał ten niebawem ukaże się w wydawnictwach Polskiej Akademii Umiejętności.

W uczniach umiał zapał budzić i szkolić ich w metodzie naukowej; pobudzał do poszukiwań samodzielnych, wskazywał zagadnienia domagające się, by je rozjaśnić i rozwiązać. Z rozpraw pisanych w jego lwowskim seminarium trzydzieści kilka ukazało się w druku, na ich czele pięć tomów „Prac historyczno-kulturalnych" (1935 — 1938). Kilku wybitnych uczonych wyszło z jego szkoły i uznaje go z miłością za mistrza.

Nie wyczerpują jego działalności wspomniane dotąd dzieła. Dodać należy wypisy dla szkół średnich ułożone wspólnie z Henrykiem Gaertnerem, potem wspólnie z nim i z Ryszardem Skulskim („Służ państwu", 1932, „Między dawnymi a nowymi laty", 1933 i 1938). Dodać należy kilkadziesiąt recenzyj naukowych, niekiedy obszernych i bardzo gruntownych, i wielką ilość artykułów (którymi, zwłaszcza w latach 1918—1923, zasilał *Wiek Nowy*, a w latach 1928—1935 *Gazetę Lwowską*). Był dziennikarzem pierwszorzędnym. Zawsze znajdował ciekawe tematy, a sposobem przedstawienia przykuwał uwagę czytelnika.

Mimo sześćdziesiątki minionej, mimo choroby serca, mimo złamania nogi — trwał do końca na wyżynach intensywnej pracy twórczej. Jako plon lat wojennych i powojennych pozostawił szereg prac gotowych lub niemal gotowych: antologię poezji staropolskiej, studium historyczno-kulturalne „Polska a Strasburg", rozprawę o „Sonetach miłosnych Mickiewicza" opartą na badaniach stylometrycznych, prace z dziejów kaznodziejstwa i reformacji i inne. Dwa tomy rozpraw i szkiców pt. „Renesans w Polsce" wyjdą niebawem. Są w rękopisach i rzeczy literackie: wspomnienie o Ossolineum pod mianem na Józefie Bartłomieju Zimorowicu wzorowanym *Ossolineum triplex*, wspomnienia szkolne z lat 1901—1904, nowele autobiograficzne. I jest w rękopisie — przekład wszystkich niemal utworów poetyckich Heinego, dokonany w latach ostatnich. Bo uczony pełen entuzjazmu dla życia i piękna — był również poetą.

Zostaje w pamięci jako jeden z naczelnych humanistów polskich.

CZYTELNICTWO MASOWE

PROBLEMY OGÓLNE

Do najbardziej palących i żywotnych zagadnień współczesnych w pojęciu kultury polskiej należy niewątpliwie zagadnienie literatury masowej (nazywanej często potocznie literaturą drugiej klasy, a określanej przez Wincentego Bednarczuka w art. „Kompkleks zachodni i nożyce", „Kuźnica" nr 41, jako „bulwarowa"). Tymczasem jest to sprawa najzupełniej zaniedbana przez autorów i krytykę, a nawet do pewnego stopnia przez działaczy oświatowo-kulturalnych, organizatorów czytelnictwa i bibliotekarzy, nie mówiąc już o wydawcach, którzy w ogromnej swojej większości w najmniejszym stopniu nie zdają sobie sprawy ze spustoszenia jakie czynią, publikując różne utwory pseudoliterackie stwarzające pozory rzeczy wartościowych.

Istota zagadnienia tkwi przede wszystkim w rozwiązaniu problemu, jakie są granice tego typu literatury. Względnie łatwo można się zgodzić na to, co stanowi literaturę wielką, wysokowartościową, „klasyczną", a co jest już literaturą drugiej klasy — kryteria literackie zamykają ściśle ten krąg od góry. Natomiast określenie, do jakiego punktu literatura masowa należy jeszcze do literatury i tym samym może odgrywać rolę społeczno-kulturalną, a od jakiego punktu staje się zupełnie bezwartościowym, a nawet szkodliwym elementem — jest znacznie trudniejsze.

Zagadnienie to wiąże się ściśle z definicją książki szkodliwej, książki złej, książki bezwartościowej i książki przeciętnej, które to zagadnienia wymagają nie tylko stosowania pewnych kryteriów literackich i ideologicznych, ale także każą brać pod uwagę przydatność wychowawczą danego utworu. I tutaj należy pamiętać o fakcie, który jest zjawiskiem wchodzącym w sferę zainteresowań nauki o czytelnictwie, a mianowicie o zbieżności wewnętrznej i rozbieżności na zewnątrz ocen fachowych i ocen czytelniczych.

Punkty styczne tych ocen oraz ich ilość i jakość stanowić będą o tym, czy można zakwalifikować daną książkę jako narzędzie oddziaływania wychowawczego. Określenie tego, co nazwać możemy książką szkodliwą, książką złą, książką bezwartościową, książką przeciętną — stanie się plastyczne i zrozumiałe po scharakteryzowaniu, jaką rolę spełnia istotnie literatura masowa, jaki jest stan faktyczny w tym względzie, to znaczy jakie czynniki wpływają na ukształtowanie się zapotrzebowania i konsumcji tego typu piśmiennictwa, wreszcie jak zaradzić złym stronom sytuacji w tej dziedzinie, jak zorganizować właściwą produkcję i obieg literatury masowej.

Nasycenie rynku wydawniczego literaturą tej kategorii bez względu na jej charakter i poziom czyni szkody niemal nieodwracalne: zaspokaja bez reszty przede wszystkim najbardziej pierwotne, a więc głęboko zakorzenione zainteresowania i potrzeby, nie zostawiając miejsca na inne aspiracje. Takie nasycenie miał na myśli Bednarczuk

w cytowanym artykule. Stąd też oddziaływanie wychowawcze zmierzające ku podnoszeniu poziomu czytelnictwa — trafia niejako w próżnię. Nie ma luk ani odchyleń, którymi mógłby się wcisnąć świeży powiew budzący odmienne potrzeby, nowe zainteresowania, rodzący pytania, na które ten typ książki nie potrafiłby odpowiedzieć. Konsumenci literatury tej kategorii są syci, spokojni i pewni siebie, a przy tym leniwi, nie przeczuwają nieraz możliwości istnienia innych książek i innego sposobu zaspokajania potrzeb umysłowych i uczuciowych oraz poszukiwania odmiennych w tym zakresie przyjemności.

W niniejszych rozważaniach problem literatury masowej rozpatrywany będzie tylko z punktu widzenia czytelniczego, to znaczy z punktu widzenia przydatności wychowawczej i społecznej. Punkt widzenia historyczno- i krytyczno-literacki pozostanie na uboczu jako dziedzina specjalnej kompetencji i stosowany będzie tylko w wypadkach ścisłego i koniecznego powiązania z zagadnieniami czytelniczymi.

Niniejszy szkic będzie poświęcony w głównej mierze czytelnikom dorosłym i zagadnieniu literatury masowej dla tych czytelników. Analizowany będzie problem czytelnika masowego wszystkich kategorii, mimo że w ośrodku zainteresowań pozostanie czytelnik z proletariatu miejskiego i czytelnik ze wsi. Doprowadzenie do wspólnej wszystkim kultury powszechnej wymaga uwzględnienia wszystkich potrzeb i możliwości, a pozostawienie na uboczu jakiejkolwiek grupy czytelniczej jest jednoznaczne z wyrażeniem zgody na dalsze istnienie niepełnowartościowej literatury, która będzie pośrednio działała destrukcyjnie na inne grupy przez sam już fakt, że będzie można ją zdobyć.

W obliczu wspólnej wszystkim kultury powszechnej istnienie literatury masowej bezwartościowej, złej czy szkodliwej stanie się bezcelowe. „Zwarcie nożyc", którego domaga się Wincenty Bednarczuk w cytowanym już artykule, „między dwoma biegunami sztuki" („hermetycznej" i „bulwarowej". — objaśnienie moje) zlikwiduje u nas „popularną tandetę", której możliwości rozwoju ograniczyły już „nasze przemiany polityczne i społeczne".

DROGA DO WIELKIEJ LITERATURY

Dlaczego i w jakim sensie literatura masowa odgrywa rolę kulturalną, i to nawet niepowszednią? Odpowiedź wydaje się najzupełniej prosta. Literatura masowa jest drogą do wielkiej literatury, do arcydzieł, do możliwości pełnego spożytkowania piśmiennictwa o najwyższej wartości i rozbudzenia zamiłowania i zainteresowań w tym kierunku. Uznanie literatury masowej za niższy szczebel do pełnego rozwoju intelektualnego i uczuciowego, za stadium przejściowe, a nie za cel ostateczny i jedyny, usuwa całkowicie zarzut, jaki stanowisko takie może wywołać — zarzut stwarzania w ten sposób dwóch kategorii czytelników — lepszych i gorszych, a co za tym idzie dwóch kultur — kultury dla elity i kultury dla warstw niższych. „Masy muszą otrzymać przystępną literaturę pierwszorzędną, nim będą mogły przejść do czytania książek z selektywnej superklasy literackiej" — pisze Jerzy Waldorff („Konie i literatura", „Przekrój", 1947, nr 118). Należy jednak podkreślić z całym naciskiem, że drogą do wielkiej literatury może być literatura masowa tylko pełnowartościowa. Nie może nią być książka typu „Trędowatej" Mniszkówny, jak tego chce Antoni Trepiński („Od Maxa Branda do Mickiewicza", „Tygodnik Powszechny" 1947, nr 16) i czemu słusznie przeciwstawia się w nr 18 tegoż pisma Antoni Gołubiew.

Czytelnik niewyrobiony, albo też czytelnik zdemoralizowany złą i łatwą książką, a pozbawiony jednocześnie aspiracji nie jest i nie może być przygotowany do recepcji książek na poziomie najwyższym. Nie może ich zrozumieć i nie może ich odczuć, a także nie doznaje zainteresowania w odmiennym kierunku, tęsknoty za czymś innym. Nie jego w tym wina, ale na tę rzeczywistość należy mieć oczy otwarte, inaczej stan taki pozostanie niezmieniony. Nie jest to zresztą tylko kwestia niskiego stopnia rozwoju, ale także kwestia różnorodności psychik, usposobień, warunków życia i potrzeb, która nie stwarza różnic istotnych, dzielących poszczególne środowiska, ale stanowi o bogactwie i rozmaitości form życia i struktur psychicznych.

Należy tutaj zastrzec się raz jeszcze, że tylko w tym wypadku literatura masowa będzie stanowiła drogę ku literaturze pełnowartościowej, gdy będzie ona niejako jej postacią uproszczoną, gdy będzie posiadała w zarodku jej podstawowe elementy, gdy nie będzie zaspokajała bez reszty wszystkich zainteresowań i potrzeb, lecz będzie zostawiała jakieś niedomówienie i jakiś niepokój. Nie jest to sprawa łatwa i prosta, gdyż dotyka przede wszystkim problemu twórczości i uświadomienia społecznego pisarza.

Okazuje się więc, że w pewnym sensie ten typ literatury powinien zrodzić uczucie znużenia i przesytu (podobnie rzecz ujmuje J. St. Bystroń w książce „Publiczność literacka", Warszawa 1938), ale jednocześnie niepokój i potrzebę szukania, a w każdym razie — nie powinien przyzwyczajać i doprowadzać do nawyku, który staje się drugą naturą, schlebiając lenistwu. Chodzi tutaj o podniesienie aspiracji czytelniczych, o pogłębienie sposobów reagowania na książkę, o wywołanie pewnego niepokoju i potrzeby kroczenia drogą wzwyż, o osiągnięcie postawy aktywnej, twórczej — a nie o opieranie się „na zaspokajaniu najprymitywniejszych potrzeb kulturalnych odbiorcy", co jest równoznaczne z tym, że sztuka „nieuchronnie zmierza do form i tematów, podanych w sposób coraz bardziej płaski, szablonowy, obliczony na najmniej wybredny gust" (Wincenty Bednarczuk w cytowanym arkule).

Tego rodzaju „zabieg" wychowawczy, oddziaływający niepostrzeżenie na czytelnika, a eliminujący w dużym stopniu wszelkie namowy i pouczenia, jest najlepszym chwytem, jednakże najtrudniejszym i najbardziej skomplikowanym. Zależy bowiem w tym samym stopniu od autora, co od organizatora czytelnictwa, gdyż wymaga wykluczenia pewnej kategorii książek z obiegu (z punktu widzenia ich jakości).

ZAMÓWIENIE SPOŁECZNE

Wysoki stopień poczytności literatury masowej, s t a n f a k t y c z n y, z którym należy się liczyć planując środki zaradcze, wynika niewątpliwie z cech charakterystycznych dla psychiki czytelnika masowego, zarówno z jej cech ujemnych, jak i dodatnich; jeśli nawet nie uznamy ich za istotnie dodatnie, to w każdym razie za takie, których przekształcenie nie jest konieczne ani palące, często zaś bywa niecelowe i nierealne, stanowi bowiem podłoże duchowe danej grupy konsumentów książki, symptomatyczne dla tej właśnie grupy. Znajomość tego zespołu cech, wyraźne odróżnienie tych, które należy honorować i uczynić podstawą dla wszelkiej działalności wychowawczej, od tych, które stanowią o niewłaściwym stosunku do literatury i rodzą niepełnowartościowe zainteresowania, zmniejszają wrażliwość na jej cechy istotne — wskaże, jak dążyć do zmiany istniejącej sytuacji.

Szerokie rozpowszechnienie literatury masowej, bez względu na jej

poziom, jest wyrazem pewnego rodzaju zamówienia społecznego. Celem całej akcji uzdrawiającej jest zmiana ciężaru gatunkowego tego zamówienia. Czytelnik masowy napotkał na odpowiadający jego upodobaniom i właściwościom bodziec w postaci książki i karmiony nim uporczywie i konsekwentnie wyrobił sobie gust literacki poniżej pożądanego poziomu, nie zdając sobie jednocześnie sprawy z istnienia innych możliwości.

Sens zamierzonych przemian powinien leżeć przede wszystkim: 1⁰ — w ukształtowaniu warunków tworzenia, produkcji i obiegu literatury drugiej klasy w ten sposób, że będzie ona stanowiła przejście do wielkiej literatury; 2⁰ — w całkowitym zamknięciu dopływu literatury szkodliwej do czytelników; wreszcie 3⁰ — w sformułowaniu postulatów w stosunku do tego typu książek tak, aby uwzględniały one w pełni zainteresowania, potrzeby i chłonność czytelnika masowego, nie schlebiając jego niedociągnięciom i ułomnościom, ale biorąc pod uwagę jego możliwości rozwojowe.

ZADANIA WYCHOWAWCZE

Władysław Bieńkowski mówiąc o ogólnym planie kulturalnym w swoim odczycie w krakowskim klubie „Kuźnica" (lipiec 1947 r.) stwierdził między innymi, że wielka literatura oddziaływa w małym zasięgu i że literatura masowa posiada znaczenie społeczne pierwszorzędne, gdyż wychowuje czytelnika masowego. Skoro wielka literatura powinna rozszerzyć swój zakres jak najdalej, jest oczywiste, że drogą do niej będzie rozpowszechniona i zdolna do oddziaływań wychowawczych literatura masowa. To założenie oddziaływania kulturalno-oświatowego wykracza właściwie poza sprawy twórczości i produkcji, a odnosi się do problemu metod pracy z książką w terenie, a także w dużym stopniu do spraw dydaktyki literatury.

Nie można jednak, sądzę, rozważać tych rzeczy oddzielnie. Istnienie literatury masowej, jej „obecność" w bibliotece czy księgarni nie jest faktem, na którym zagadnienie się kończy. Przeciwnie, nawet gdy literatura ta odpowiada wszystkim postulatom literackim, ideologicznym, wychowawczym — puszczenie tych książek niejako samopas nie rozwiąże trudności i wszystko pozostanie w istocie swojej po dawnemu. Ten typ czytelnictwa będzie bowiem nie drogą do czytelnictwa wysokowartościowego, ale będzie celem samym w sobie. A więc oddziaływanie bibliotekarza lub innego typu oświatowca czy organizatora czytelnictwa (a także i nauczyciela) jest czynnikiem niezbędnym, aby istniejący stan faktyczny został zreformowany. Nie mniej ważna będzie tu postawa księgarza, nie mówiąc oczywiście o autorze, wydawcy i krytyku.

Pierwsze zadanie — to uświadomienie wszystkich czynników współdziałających przy kształtowaniu się kultury czytelniczej (i to współdziałających dotychczas w zupełnej dysharmonii) co do społecznej roli literatury masowej i właściwego celu organizowania masowego czytelnictwa. Mickiewicz, Prus, Żeromski, Balzac, Tołstoj, Gogol nie staną się w pełni zozumiali i „czytelni", nie przenikną poprzez warstwy (niedokształconej dostatecznie) wrażliwości czytelnika masowego, jeśli zostaną wprowadzeni siłą do czytania, jeśli konieczna będzie namowa i perswazja. Dotyczy to naturalnie wypadków najczęstszych, a nie wyjątkowych zjawisk, które jako nietypowe nie wchodzą w zakres niniejszych rozważań.

Wytworzenie w czytelniku samoistnej potrzeby przeczytania czegoś innego, zainteresowanie trudniejszym problemem, rozbudzenie głodu innego gatunku wrażeń, a jednocześnie oswojenie go uprzednio z podobną problematyką, ze zbliżonymi przeżyciami, ale o uproszczonym i mniej

wyrafinowanym charakterze — umożliwi recepcję książki wyższej klasy w sposób ułatwiony, a ponadto znacznie głębszy i skuteczniejszy. Dzięki takiej taktyce postawa statyczna, objaw najczęstszy u czytelnika masowego, przekształci się w postawę czynną, w samodzielne szukanie, w ciągły niepokój i głód nowych podniet umysłowych i uczuciowych. Są niewątpliwie książki najwyższej klasy (np. „Anna Karenina" Tołstoja, „Emancypantki" Prusa, „Wierna rzeka" Żeromskiego, „Dawid Copperfield" Dickensa, „Nędznicy" Wiktora Hugo), — które w ogromnej ilości wypadków „chwycą" od razu, ale suma takich książek jest bardzo mała i nie zawsze zapewne zabieg taki okaże się skuteczny. Fenomenem w tym względzie jest Sienkiewicz i niesłuszny wydaje się pogląd Trepińskiego, że „do Sienkiewicza dochodzi się niezawodnie przez Mniszkównę, Staśkę i Bohowityna". Sienkiewicza czyta z zachwytem każdy niemal czytelnik.

Konieczność posiadania pełnowartościowej literatury masowej da się uzasadnić drogą porównania zaczerpniętego z dydaktyki czytelniczej stosowanej wobec młodzieży. Młodzieży nie daje się rzeczy zbyt trudnych i zbyt silnych emocjonalnie, przedwcześnie podniecających wyobraźnię. Podobnie i starszym czytelnikom, nie dość wyrobionym i dojrzałym, nie można dać od razu literatury wysokowartościowej.

Porównanie to nie jest zresztą całkowicie ścisłe. W wielu wypadkach książki za trudne, niezrozumiałe, ale o najwyższej wartości, przeczytane przez młodzież czy nawet młodsze dzieci nie są szkodliwe, gdyż zapadają w podświadomość i we właściwym momencie zostają wydobyte na jaw. Zachodzi tu ważka różnica między dorosłymi a młodzieżą, Wrażliwość i plastyczność oraz ogromna chłonność psychiki dziecięcej asymiluje łatwo tego rodzaju zwiększone dawki, młody czytelnik połyka książkę nie zniechęcając się, natomiast czytelnik dorosły, mniej czuły, bardziej zmęczony, wobec książki trudnej i niezrozumiałej odczuwa zniechęcenie nakazujące mu książkę w ogóle odłożyć.

PSYCHIKA CZYTELNIKA MASOWEGO I ELEMENTY KSIĄŻKI

Jeśli przyjmiemy, że jest rzeczą słuszną i społecznie wartościową wyznaczenie ważnej roli kulturalnej literaturze masowej, to należy sobie zdać sprawę z tego, jakie przyczyny wpłynęły na jej ogromny rozrost (oczywiście rozrost bez względu na to, czy jest pełnowartościowa, czy zupełnie bezwartościowa, a nawet szkodliwa). Uświadomienie sobie tych przyczyn rzuci światło na to, jakie elementy tego typu książek są najbardziej atrakcyjne i dlaczego książki te są potrzebne — zarówno zresztą dla czytelnika masowego, jak i dla czytelnika najbardziej wyrobionego. Zestawienie tych przyczyn pozwoli następnie na sformułowanie postulatów w stosunku do tej kategorii literatury, aby uczynić z niej narzędzie oddziaływania wychowawczego.

I tak książka omawianej kategorii zaspokaja przede wszystkim wrażliwość na fabułę, najczęściej łatwą do zrozumienia, ale w miarę zawiłą, fascynującą, która trzyma w napięciu, podnieca i daje miły dreszczyk niepokoju i zaciekawienia. Wrażliwość na ten element książki wynika m. i. z powszechnego zmęczenia intelektualnego (i fizycznego), które w książce każe szukać odpoczynku i odprężenia i które musi być brane pod uwagę przy upowszechnianiu czytelnictwa, jeśli pragniemy je oprzeć na realnych podstawach. Ponadto żywa, bogata i barwna fabuła (najczęściej bez reszty stanowiąca o ciężarze gatunkowym książki) pozwala wyżyć się zahamowanym instynktom i tęsknotom czytelników, stwarza im złudze-

nie osiągnięcia awansu społecznego, jest ucieczką w inny, wymarzony świat, pochłania ich całkowicie, rodzi złudne poczucie mocy, choćby nawet na krótko, i zaspokaja ciekawość, jak wygląda życie inne, dalekie, stworzone przez wyobraźnię autora, ale mające przecież wszystkie pozory życia rzeczywistego.

Bardzo często identyfikowana jest literatura masowa, względnie pewne jej kategorie (powieść sensacyjna, powieść kryminalna), z literaturą rozrywkową (patrz Gołubiew „Tygodnik Powszechny", 1947, nr 18, Waldorff i Gałczyński, „Przekrój", 1947, nr 118, 123). Stanowisko to budzi pewne zastrzeżenie, choć wydaje się pozornie, że rozbieżność między poglądem wyżej wspomnianych autorów a poglądem reprezentowanym przeze mnie ogranicza się właściwie do różnic terminologicznych. Literatura masowa nie obejmuje bowiem tylko powieści sensacyjnej i powieści kryminalnej, ale wszystkie inne odmiany powieści, wszelką tematykę, tylko odpowiednio spreparowaną, to znaczy tak, aby była rozumiana i odczuwana przez dany krąg czytelników (bez względu na wartość ich upodobań). Czytelnicy ci nie szukają w książce rozrywki, ale przeżyć znacznie głębszych i wielostronniejszych. Czysty typ literatury rozrywkowej jest zresztą u nas zjawiskiem stosunkowo dosyć rzadkim, charakterystyczny jest przede wszystkim dla pewnej kategorii literatury amerykańskiej liczącej się jak żadna inna z odbiorcami (patrz art. Żagarysty „Zabawy i spory", „Odrodzenie", 1947, nr 44).

Czytanie książki dla samej tylko rozrywki zdarza się stosunkowo rzadko, nawet u czytelników przeciętnych, choć pozornie może się wydawać, że jest inaczej. Książka jest czymś znacznie więcej niż rozrywką i nie jest zazwyczaj stawiana na tej samej płaszczyźnie co kino, sport itd. Raczej już książka bywa odpoczynkiem, aniżeli rozrywką.

Wydaje się, że nawet w stosunku do romansu kryminalnego czytelnik przeżywa więcej niż tylko te stany, które są charakterystyczne dla rozrywki. I to, że książka jest przede wszystkim odpoczynkiem, odprężeniem, stanowi, że fascynuje w niej najsilniej fabuła łatwa, płynna, trzymająca w miłym napięciu, a nie zmuszająca do wysiłku myślowego. Stan ten sprawia również, że i dla czytelnika wyrobionego literatura masowa jest nieraz bardzo atrakcyjna.

Jakie są dalsze przyczyny, które sprawiają, że literatura masowa cieszy się tak wielkim powodzeniem? Odwieczność potrzeby poznawania, podobnie jak odwieczność instynktów erotycznych, stanowi o tym, że te dwa nurty życia psychicznego są najistotniejszym podłożem dla konsumcji literatury masowej. Bowiem wartość kształcąca powieści, uczenie się bez świadomości że się uczymy, jest momentem wychowawczym niepośledniego znaczenia.

Postawa poznawcza dochodzi niewątpliwie do głosu np. w stosunku do jednego z najpopularniejszych rodzajów tego typu literatury — literatury przygodowej — gdzie moment podróży, a więc zwykle tło egzotyczne, nieznane, jest przedmiotem łatwo uzasadnionej tęsknoty i pożądania.

Niepoślednią rolę odgrywa tutaj dreszczyk emocji. Wyznacza on olbrzymie zainteresowanie dla powieści przygodowej i jest momentem wyzwalającym człowieka z nieznośnej szarzyzny dnia powszedniego, występującym również w stosunku do innych rodzajów powieści, o czym będzie mowa dalej.

Druga kategoria przeżyć, które zawdzięcza czytelnik literaturze masowej — to przeżycia uczuciowe. Piśmiennictwo masowe cechuje sentymentalizm, uczuciowość raczej prymitywna i dosyć krańcowa w swych namiętnościach i nienawiściach, szlachetność pośledniejszego gatunku, bohaterstwo łatwe

i efektowne, wiele słów około spraw, których przemilczenie bywa znacznie wymowniejsze niż bezlitosne stawianie kropek nad i. Ale to wszystko daje się bez wysiłku przeżyć, stwarza atmosferę pozbawioną niedomówień.

Ponadto wiadomo, co o tym wszystkim czytelnik ma myśleć, wszystko jest aż nadto zrozumiałe i łatwo osiągalne, choć pozornie dotyczy innego świata. Ten inny świat ukazany jest w wymiarach analogicznych do tych, które czytelnik dostrzega w swoim świecie realnym, chętnie więc i ze zdecydowaną przyjemnością przebywa w świecie fikcji literackiej, która, aczkolwiek odmienna, nie jest mu obca i daleka jeśli chodzi o mechanizm przeżyć, kategorię myślenia, napięcie uczuciowe, poziom aspiracji.

W powyższym kompleksie elementów miejsce odrębne zajmuje czynnik erotyczny, jedna z najsilniejszych atrakcji literatury omawianego typu. Erotyzm jest w istocie swojej głównym i najczęściej jedynym motywem, około którego osnuwa się wszystko — zarówno w powieści obyczajowej, jak w psychologicznej i historycznej. Erotyzm jest również bardzo często splątany z wątkiem sensacyjnym w powieści kryminalnej, a nawet awanturniczym w powieści przygodowej. Odwieczność i żywiołowość tych spraw jest tutaj uproszczona, sprowadzona do paru motywów zasadniczych, i nie dąży do wyczerpania w najmniejszym stopniu ich bogactwa. Motywami tymi jest miłość fizyczna lub przesadnie wyidealizowana, dalej motyw zdrady i zazdrości, a wszystko rysowane najczęściej liniami grubymi, zaznaczane płaszczyznami o ostrych kontrastach. W rozwiązaniu króluje motyw małżeństwa.

Prostota takiego przedstawienia pozwala śnić na jawie, nadmierne napięcie dramatyczne daje upragniony dreszcz emocji i niezwykłości. Wszystko to jest przede wszystkim przynętą dla kobiet, ale nie należy zapominać o tym, że stanowią one w wielu wypadkach najliczniejszą i pod pewnymi względami decydującą grupę przeciętnych czytelników, niezależnie od ich środowiska. Przeistoczenie oblicza tej grupy może zaważyć badzo wybitnie na podniesieniu poziomu czytelnictwa w ogóle. Potrzeba przeżywania rzeczy wstrząsających, silnych, (ale nieskomplikowanych i nie podważających spokoju psychicznego, a drażniących raczej ciekawość) jest przejawem naturalnym, który ma uczynić z szarzyzny dnia powszedniego coś niezwykłego i na swój sposób barwnego, oraz stanowić pewnego rodzaju terapię psychiczną.

Pozornie zastanawiający, ale w istocie swej zupełnie zrozumiały jest fakt, że konsumenci literatury masowej są raczej nieczuli na zupełny w niej nieraz brak wartości prawdziwie artystycznych, więcej nawet — na jej błędy i usterki. Wynika to z faktu, że czytelnik masowy jest pod tym względem podobny do czytelnika młodocianego — jest na ogół niewrażliwy na formę literacką. Płynie to z braku wykształcenia w tym kierunku, lub z jego niedociągnięć, często z wrodzonej niewrażliwości oraz z całkowitego niemal pochłonięcia, jak wspomniano wyżej, przez fabułę i elementy emocjonalne książki, które są i namacalne, i konkretne.

RZECZYWISTOŚĆ I PLANOWANIE

Tak więc widzimy, że czynniki bardzo pierwotne i tkwiące głęboko w psychice ludzkiej stanowią o tym, że literatura masowa jest niezwykle popularna, bardzo szeroko czytana, a tym samym chętnie produkowana, zarówno przez pisarzy, jak i wydawców. Punktem wyjścia dla naszych rozważań jest więc między innymi pewien stan rzeczywisty, wynikający ze struktury psychicznej czytelnika masowego. Struktura ta

tłumaczy poczytność nie tylko książek pełnowartościowych, ale i innych, począwszy od złej, lichej powieści, zwykłej powieści brukowej, a skończywszy nawet na najgorszych romansach wychodzących w odcinkach tygodniowych.

Pogląd taki na stan czytelnictwa może się spotkać niewątpliwie z zarzutem, że jest nadmiernie pesymistyczny. Wydaje się jednak, że pesymizm ten jest koniecznym w tym wypadku realizmem. Zbyt idealizujący optymizm może tylko doprowadzić do podjęcia raz jeszcze półśrodków zaradczych nie dość radykalnych, które będą się mijały z celem i nie przekształcą trwale i konsekwentnie rzeczywistości. Uzasadniona jest jedynie optymistyczna ocena potencjalnych możliwości rozwojowych czytelnika masowego wszystkich kategorii.

Udostępniając jak najszerzej książkę (przez stworzenie możliwie jak największej ilości punktów zetknięcia czytelnika z książką), dając literaturę pełnowartościową a „czytelną", o bliskiej czytelnikom problematyce — można będzie stworzyć podstawy do wychowania czytelników świadomych i aktywnych. Jeśli dziś jest inaczej — tzn. że czytelnik masowy jest bierny i czyta książki złe — zawdzięczamy to zbyt słabemu upowszechnieniu dobrej książki. Czytelnik nie ma danych, aby ujawnić swoje możliwości. W obliczu szeroko spopularyzowanej dobrej książki zadania krzewienia czytelnictwa zostaną znakomicie uproszczone. „Teoretyczna" propaganda czytelnictwa — nie poparta łatwo dostępną i dobrą książką — jest trudem często bezcelowym. Czytelnik masowy potrzebuje konkretnych argumentów, a nie przekonywających słów. Stąd wypływa trzeźwy pesymizm w ocenie stanu rzeczywistego, a istotny optymizm co do konkretnych możliwości prawdziwego realizowania założeń kulturalnych.

Stefan Żółkiewski („O literaturze współczesnej", „Kuźnica", 1947, nr 37) pisze: „Najbardziej szkodliwa jest literatura zła. Bo nikt jej nie czyta". Rzecz ma się, niestety, inaczej. Literatura naprawdę drugiej klasy — i to właśnie literatura zła, a nawet szkodliwa — jest bardzo czytana, dlatego że łatwo trafia w najczulsze punkty psychiki czytelnika masowego, i dlatego też, że literatury dobrej tego typu u nas prawie że nie ma.

Trzeba pogodzić się z tym, że w tym zakresie musimy zaczynać właściwie od nowa. Nieliczne pozycje, które mogą pozostać, względnie powinny być nawet wznowione, wydają się być mniej palącą sprawą, niż współczesna książka o dzisiejszej problematyce dla masowego czytelnika.

Z tym wiążą się dwie sprawy: pierwsza, ważna i trudna — stworzenie właściwej literatury dla czytelnika na wsi i dla czytelnika z proletariatu miejskiego, tzn. dla dwóch najważniejszych kategorii czytelnika masowego. Rozważania w tym kierunku zaprowadziłyby nas na tym miejscu za daleko, wydaje się jednak konieczne wspomnieć o tym, jako o sprawie skomplikowanej i wymagającej gruntownego przemyślenia, a ponadto i szerokiej dyskusji. Istnieje w tej dziedzinie szereg fałszywych i głęboko zakorzenionych przesądów, a ponadto i nic nie mówiących ogólników, które należałoby odrzucić i rzecz budować na nowych podstawach — konkretnie. W planie działalności kulturalnej sprawa ta jest niewątpliwie pierwsza, zasadnicza i najważniejsza.

Sprawa druga — to sprawa tłumaczeń i ich znaczenia wśród książek omawianej kategorii. Sprawa ta ma dwa aspekty, są to bowiem książki w większości wypadków dobre. Z jednej strony zaspokajają zamiłowania i potrzeby czytelników znacznie lepiej niż rodzima literatura (a do elementu ogólnoludzkiego

ich problematyki dołącza się pewien posmak egzotyzmu!), a z drugiej strony, choć nie wysuwają zagadnień aktualnych dla polskiego czytelnika masowego (i to można uważać za ich cechę ujemną), mogą być jednak dla niego wzorem, jak powinna książka tego typu wyglądać, i przyzwyczajają go do wymagań w tym zakresie. I nie tylko czytelnika, ale i — autora.

POSTULATY

Z dotychczasowych rozważań wynika, że ten typ literatury jest w całym kompleksie oddziaływań kulturalnych konieczny, i istnienie jego nie tylko nie może być kwestionowane, ale jest uzasadnione podwójnie: pożytkiem działalności kulturalnej, a także strukturą psychiczną jego odbiorców, tzn. czytelnika masowego. Zanim przejdziemy do planowania akcji, która by zdążała do przeobrażenia psychiki czytelnika masowego przez podniesienie literatury masowej na właściwy jej zadaniom poziom — musimy zdać sobie sprawę, jakie postulaty postawić należy tej gałęzi piśmiennictwa.

Postulowanie w stosunku do literatury masowej dotyczyć musi zarówno jej treści, jak i formy. Widzimy, że wybitną rolę w jej konsumcji odgrywa ciekawość (sprawę tę szeroko omawia Bystroń w „Publiczności literackiej", analizując przyczyny powstawania różnych rodzajów literackich). Ciekawość skierowana przeważnie na określone kategorie faktów: przeżycia erotyczne, awans społeczny, sensacyjna przygoda, nieznane środowiska. Otóż postulatem pierwszym będzie — zaspokajanie tej właśnie ciekawości tak, aby dotyczyło to istotnych, konkretnych a nie urojonych problemów, aby uczyło obserwować, myśleć, aby wiązało je z własnym środowiskiem i własnym życiem, aby było żywe, zdrowe i realne.

Wiąże się to ściśle z faktem, że ośrodek uwagi czytelników skierowany jest przede wszystkim na fabułę, na akcję, można więc w pełni wyzyskać ten atut w budowie problematyki ideologicznej, etycznej i w motywach psychologicznych, i to nie w sposób zdawkowy i najłatwiejszy. Przeciwnie, wolno i trzeba apelować do możliwości rozwojowych czytelnika. Tam gdzie będzie zaspokojona ciekawość, tam wszystkie inne uboczne elementy, pogłębiające i zdobiące książkę — a więc nowe problemy, trudniejsza forma książki, odchylenia od normy lub przeciętności — również przenikną do czytelnika, zostaną niejako przemycone, i prędzej czy później swoje zrobią. Stać się to może zresztą jedną z odskoczni w kierunku wielkiej literatury.

Pamiętać należy, że istniejąca literatura masowa zaznajamia czytelnika z zagadnieniami współczesnymi i najczęściej robi to nieudolnie, błędnie, powierzchownie i szablonowo. Kołtuństwo, przyziemność (a nie realizm), materializm wyzbyty wszelkiej treści duchowej lub krańcowy idealizm, utopijność, budowanie zamków na lodzie — oto sposób najczęściej spotykanego podejścia do zagadnień współczesnych. Sposób w obydwu swoich wydaniach najbardziej godny potępienia.

Drugi postulat — klarowność atmosfery uczuciowej, odstępstwo od monotonii i schematyzmu, które schlebiają najpierwotniejszym potrzebom i doznaniom czytelników (szczególnie kobiet), na rzecz uczuć prostych, jasnych, niezbyt krańcowych, bez przejaskrawień, które paczą pogląd na istotę życia emocjonalnego i często chorobliwie drażnią uczuciowość. Czytelnik mało wyrobiony nie może ogarnąć od razu wszystkich odchyleń i niezwykłości i musi najpierw wejść w przymierze z normalnym, powszechnym, do pewnego stopnia zwykłym nurtem życia psychiczne-

go, aby móc wyrobić sobie potem pojęcie o jego niezwykłych odmianach. Oczywiście trzeba czytelnika zapoznać i z tą dziedziną życia, ale z zachowaniem proporcji faktów musi to być we właściwy sposób dawkowane. Czytelnik masowy powinien poznać bogactwo i różnorodność przeżyć psychicznych i napięć uczuciowych. Ta strona życia nie może być ukazywana jednostronnie, a więc fałszywie. Wprawdzie jednostronność grozi nudą, sprawia tedy niejednokrotnie, że czytelnik sięga po inne książki, ale błąd tego stanowiska polega na tym, że tych „innych" książek nie ma, a jeśli już są — są niezrozumiałe i „nieczytelne".

Otóż trzeci postulat — będzie właśnie dotyczył zrozumiałości ujęcia treści oraz postawy autora. Jak długo czytelnik obraca się w sferze zbyt licznych niedomówień, mętności rozumowania, względnie spotyka się z kategoriami myślowymi, które są mu obce i wyrastają ponad jego możliwości intelektualne — dopóty w decydującej większości wypadków mowy być nie może o spełnieniu przez literaturę masową jakiejkolwiek roli w rozwoju intelektualnym i uczuciowym konsumenta tego typu książek. Książka tego typu może być łatwa, ale musi wymagać od czytelnika myślenia. Pod żadnym pozorem nie może go jednak przyzwyczajać do łatwizny.

Postulat czwarty, chociaż teraz go dopiero stawiamy, posiada wagę pierwszorzędną. Brzmi on: poprawność języka i stylu, prostota wyrażania się, czystość i dokładność słownictwa. Podobne dezyderaty wysuwa Gołubiew („Tygodnik Powszechny", 1947, nr 18) i K. I. Gałczyński („Przekrój", 1947, nr 123), który pisze: „Czymże bo jest ta dobra drugoklaśna twórczość literacka po stronie producenta? Rzetelnym rzemiosłem". Postulat ten jest ważki sam w sobie i ważki z uwagi na postulat drugi i trzeci. Poprawność, czystość języka i stylu, jego prostota i jednoznaczność, która ma zapewnić minimalną dozę urody i wdzięku tego rodzaju książkom — jest właściwie tylko zastępstwem formy, którą można by nazwać formą o wartości literackiej — minimalnej. Literaturę masową powinno więc cechować „rzetelne rzemiosło" i poprawność językowa. Inne wymagania zaprowadzą od razu na manowce mętniactwa i sztuczności.

Jednakże pozbawianie literatury masowej piętna utworów o istotnej wartości literackiej (nie najwyższej klasy oczywiście, bo inaczej nie byłaby tzw. literaturą drugiej klasy!) — jest faktem bardzo niepomyślnym i utrudnia w wybitnym stopniu spełnienie przez nią wyznaczonej jej roli. Sprawę tę porusza m. in. Jerzy Waldorff („Przekrój", 1947, nr 119). Zaznacza on, jak odmienna jest sytuacja w tej dziedzinie we Francji (należy jeszcze dodać, że i w Z. S. R. R., i w Anglii, a była także w Niemczech — oczywiście na miarę ówcześnie panującej ideologii) — a u nas.

U nas istnieją dwa odrębne światy: świat literatury wysokowartościowej, potem długa luka — i świat literatury masowej, której właściwie nie można zaliczyć w olbrzymiej większości wypadków do literatury jakiejkolwiek kategorii. Literaci twierdzą — pisze Waldorff — że „dobra literatura i atrakcyjna przy tym dla wszystkich, to ...antynomia. Może być — ich zdaniem — albo dobra, albo dla wszystkich". Stąd wniosek prosty dla pisarza — nie wolno mu się tykać tego typu twórczości! A jednak Waldorff wykazuje w dalszym ciągu — i słusznie — na przykładach Dickensa, Tołstoja, Prusa, że były i są dzieła pisarzy o wartości wiecznej, a jednak dostępne dla wszystkich. Stąd więc inny wniosek, prosty — ale odmienny od poprzedniego: pewne kategorie twórców najwyższej klasy poza innymi walorami posiadają jeszcze jeden — walor specyficznej dostępności. Dostępność ta przekształci się

w powszechną „czytelność“ wielkich twórców, gdy masowy odbiorca literatury przejdzie wytkniętą mu drogę. Skoro pewien typ twórców jest już dostępny wszystkim, pozostali staną się dostępni w chwili, gdy zdolności recepcyjne czytelnika masowego rozszerzą się, pogłębią i udoskonalą. Jest to kwestia czasu. Jak długiego? Trudno przewidzieć.

CZYTELNICZE WARTOŚCIOWANIE KSIĄŻEK

Postulowanie w stosunku do literatury omawianego typu ma na celu doprowadzić ten rodzaj twórczości do takiego stanu, aby została wyeliminowana książka szkodliwa i książka zła, a następnie i książka bezwartościowa. Ma też na celu ściśle wyznaczyć, jakie warunki musi spełnić książka drugiej kategorii, aby można było ją zakwalifikować jako książkę przeciętną, ale pełnowartościową, tzn. nadającą się do spełnienia swego zadania społecznego. Dotychczasowe rozważania pozwalają już na ściślejsze określenie, co zawiera się w pojęciu książki szkodliwej, książki złej, książki bezwartościowej i książki mogącej odpowiedzieć wymaganiom czytelnictwa masowego. Nazwijmy ją — książką przeciętną.

Książka szkodliwa nie zawsze jest książką złą, a czasem nawet posiada najwyższe wartości literackie. O jej szkodliwości stanowi jej ujemne oddziaływanie społeczne, wypływające z destrukcyjnej ideologii, z negatywnej postawy moralnej, albo z deformowania i fałszowania rzeczywistości będącej jej przedmiotem. Obecność jednego z tych elementów wystarcza właściwie na zakwalifikowanie jej do kategorii książek szkodliwych, tym niemniej zdarzyć się może, że w pewnej dziedzinie pozostanie ona wyjątkową.

Do drastycznych przykładów tego rodzaju należy „Trylogia“, która jest arcydziełem o jedynym w swoim rodzaju czarze i uroku słowa, lecz właśnie dlatego może być uważana z wychowawczego punktu widzenia za książkę szkodliwą. Pozostaje jeszcze do rozważenia w tym wypadku, czy bezsprzeczna i najwyższego gatunku wartość literacka „Trylogii“ jest tak wybitna, że unieszkodliwia względnie osłabia jej szkodliwy wpływ wychowawczy.

Trochę inaczej wygląda sprawa szkodliwości książek pośledniej miary. Tam jeden element szkodliwy nie znajduje w niczym przeciwwagi i bezapelacyjnie dyskwalifikuje książkę. Książka ideologicznie destrukcyjna, fałszująca wiedzę o świecie, książka poniżej poziomu estetycznego jest eo ipso szkodliwa, podobnie jak szkodliwa jest książka, która może być źle zrozumiana, lub nie może być zrozumiana w pełni. Do pierwszej kategorii należy np. „Trędowata“ (z przyczyn ideologicznych i artystycznych), aczkolwiek bardzo ciekawie i trafnie zbudowana; do drugiej — „Kariera Nikodema Dyzmy“ Dołęgi-Mostowicza.

Książka zła — to książka o złej konstrukcji, wadliwie przeprowadzonej akcji, brzydkim, sztucznym (aczkolwiek poprawnym językowo) sposobie wyrażania się, ale nie stwarzająca w czytelniku jakichś ujemnych przeobrażeń czy nawyków. Do tej kategorii można by np. zaliczyć twórczość Alfreda Bronowskiego, albo M. Morsztynkiewicz. Nadmiar takich książek może doprowadzić do spaczenia smaku literackiego i do trwałego upodobania w zupełnej miernocie literackiej, w konsekwencji więc stałe obcowanie z książką złą przeistacza ją w książkę szkodliwą.

Książka bezwartościowa to także książka (poza książkami szkodliwymi i złymi), której zasadniczo nic nie można zarzucić. Książka poprawna, o interesującej fabule i żywej akcji, ale o niczym ponadto. Książka taka nie pobudza do myślenia, nie rodzi tęsknot, nie podnieca do aktywności, nie pozostawia żad-

nego śladu. Książki takiej zwykle się nie pamięta, pozwala ona jedynie przepędzić przyjemnie czas. Do tej kategorii należy w ogromnym odsetku literatura dzikiego Zachodu, natomiast dobra literatura kryminalna moim zdaniem nie zawsze tu może być zaliczana, jeżeli potrafi dać zadowolenie estetyczne i pobudzić do logicznego i sprawnego myślenia. Aktualnym klasycznym przykładem książki bezwartościowej jest „Jajko i ja" Macdonald, rzecz bardzo zręcznie zrobiona i zabawna, ale pozbawiona jakichkolwiek aspiracji.

Jak określimy teraz książkę przeciętną? Książka przeciętna ma odpowiadać postulatom, które wymieniono w niniejszych rozważaniach, musi być wytworem dobrego i rzetelnego rzemiosła, ale nie musi posiadać piętna wielkiego talentu. Książka przeciętna nie wzbudza wzruszenia i podziwu, ale staje się przyczyną spokojnego, zrównoważonego zadowolenia i upodobania. Do tej kategorii można by zaliczyć przede wszystkim tłumaczenia z angielskiego (np. Locke, Deeping, Maxwell, Dell), z francuskiego (np. Benoit, Ardel) i innych języków, a bardzo mało książek polskich. Do tej kategorii nie dadzą się chyba zakwalifikować utwory Vicki Baum czy Giny Kaus, gdyż ich książki noszą już piętno talentu.

Na piśmiennictwo powieściowe, które może spełnić swoje zadanie wychowawcze, składają się książki wyłączone z wielkiej literatury na zasadzie kryteriów czysto literackich, ale tylko te, które odpowiadają omówionym powyżej postulatom. Liczba tych książek w polskiej literaturze oryginalnej jest dotychczas niewielka, natomiast bardzo obfita jest literatura, która przynajmniej jednego z tych postulatów nie realizuje. Ponadto funkcje literatury masowej spełnia pewna ilość arcydzieł polskich i obcych i spełnia ją zarówno pozytywnie, jak np. wspomniane wyżej „Emancypantki" Prusa, „Anna Karenina" Tołstoja itd., jak również i negatywnie — np. „Trylogia". Niezależnie od spełnianej funkcji książki te należą zawsze do wielkiej literatury. Posiadają jedynie nie spotykaną powszechnie dostępność. Inne arcydzieła funkcji tej na razie nie spełniają, jako niedostępne dla zdolności recepcyjnych czytelnika masowego.

W pewnym momencie rozróżnienie to przestanie być potrzebne. Poziom czytelniczy zostanie na tyle wyrównany, że funkcję literatury masowej spełniać będą wszystkie książki, wszystkie będą „czytelne", a różnice w poczytności wypływać będą jedynie z różnicy upodobań i zainteresowań, a nie z różnic poziomu recepcji.

ŚRODKI ZARADCZE

Jeśli uświadomimy sobie jasno, jakie przyczyny wpłynęły na szerokie rozpowszechnienie literatury masowej i jakie stawiamy jej wymagania, i jeśli jednocześnie stwierdzimy, że istniejąca literatura jest daleka od możliwości spełnienia owych zadań— zjawia się pytanie, jakie należy przedsięwziąć środki zaradcze, aby nastąpiła zmiana na lepsze. Czytelnik ma określone potrzeby i milcząco żąda ich zaspokojenia — odrzucając uporczywie to, co mu nie odpowiada. Ta postawa wyznacza bardzo wyraźnie, w jakich granicach musi się obracać akcja reformatorska, aby była realna, aby trafiała w sedno rzeczy i jak najskuteczniej i niejako nieodwracalnie przekształcała konsumenta książki złej i szkodliwej — w konsumenta książki pełnowartościowej, choć łatwej, a w konsekwencji — na odbiorcę książki wysokowartościowej.

U wstępu pewna uwaga. Analizujemy sytuację tak, jak się ona przedstawia w warunkach liberalnego układu na rynku kulturalnym i wydawniczym, a tego punktu wyjścia — mimo rosnącej wagi zamówienia społecznego, mimo istnienia spółdzielni wydawniczych — domaga się analiza licząca się ze stanem faktycznym.

Sprawa autora i sprawa wydawcy wysuwają się tutaj na plan pierwszy. W pierwszym wypadku mamy do czynienia z indywidualnością twórczą, która nie tyle powinna się nagiąć do pewnych zadań, ile musi je dostrzec, zrozumieć, przyjąć do wiadomości, zdobyć się na wysiłek, aby owym zadaniom na tym odcinku sprostać. Odmienna będzie w tym kierunku droga pisarza najwyższej klasy, który zechce i zapragnie stworzyć rzecz dla konsumenta masowego, a inna będzie droga pisarza mniejszego talentu, który zacznie podnosić poziom swojego rzemiosła. W obydwu wypadkach proces jest trudny i skomplikowany i nie może on zachodzić szybko i radykalnie, gdyż w grę wchodzą właściwości psychiczne, umiejętności, przyzwyczajenia, nawyki, tradycje, szablony wszelkich kategorii, które wiążą ręce, zmniejszają ostrość widzenia i dają pewne zadowolenie w ułatwionej działalności pisarskiej. A cóż dopiero mówić o czynniku materialnym, o dochodowości literatury rozrywkowej, felietonowej, odcinkowej.

Czynnik ten odgrywa zresztą jedyną i decydującą rolę u większości wydawców, którzy są w najsilniejszym właściwie stopniu odpowiedzialni za szerokie rozpowszechnienie tego typu literatury. Wydawca prywatny chętnie i nagminnie publikuje literaturę masową, gdyż zarabia na tym łatwo, i łatwo znajduje nabywców, i liczyć się może z bardzo szybkim rozsprzedaniem nakładu i możliwością reedycji. Nie tylko wydawca prywatny nieraz tak postępuje. Wypowiedzenie walki tym objawom nie jest rzeczą łatwą, gdyż musi przezwyciężyć znaczne trudności.

Sedno zagadnienia leży w tym, że środki zaradcze, które będąc wychowawczo wartościowe prowadziłyby do istotnych przeobrażeń społecznych w dziedzinie kultury — muszą być obliczone na działalność długofalową, muszą uwzględniać kilka odcinków pracy od razu i równolegle. Tymczasem stan faktyczny wymaga posunięć szybkich, do pewnego stopnia radykalnych. Każdy rok zwiększa ilość książek bezwartościowych i szkodliwych, pogłębia przyzwyczajenia w tym kierunku i pozwala hulać bezkarnie wydawcom, a razem z nimi także i autorom pewnej kategorii.

WYCHOWANIE CZYTELNIKA MASOWEGO

W tej chwili nie stać nas jeszcze na to, aby wyeliminować książkę bezwartościową. Należy zacząć od zamknięcia dopływu książki szkodliwej i złej. Skuteczność całej akcji zależy między innymi od jej jednoczesnego rozpoczęcia na kilku odcinkach.

Zadaniem pierwszym będzie przekształcenie postawy czytelnika masowego przez stopniowe pozbawianie go książki szkodliwej, przez udostępnianie mu książki pełnowartościowej, przez planowe oddziaływanie instytucji oświatowych i przez szkołę (oddziaływanie zapobiegawcze w stosunku do młodzieży).

Zadaniem drugim będzie również planowe werbowanie autorów do pracy nad nową książką, potrzebną na opróżnione miejsca po książkach szkodliwych i złych.

Niezależnie od tego zadaniem trzecim będzie odpowiednie organizowanie odcinka wydawniczego, gdzie musi dojść do zrozumienia, jak szkodliwe i zbyteczne jest publikowanie pewnego typu książek, a konieczne — zarówno społecznie jak i handlowo — publikowanie książek tego samego rodzaju, ale wyższej klasy.

Na koniec zadanie czwarte — pełna rozbudowa sieci bibliotecznej i właściwe zaopatrzenie księgozbioru — doprowadzi do stworzenia pewnego rodzaju monopolu w udostępnianiu książki konsumentowi masowemu, nie pozostając bez wpływu na zdobywanie książek w drodze prywatnej. W każdym razie ten sposób zdobywania książek, skądinąd nie tylko dopuszczalny, ale

bardzo pożądany (przede wszystkim nabywanie książek), przestanie stopniowo dotyczyć utworów lichych — przez wytworzenie powszechnego nawyku do książki dobrej.

Stan taki urzeczywistni się jednak dopiero wtedy, gdy biblioteka będzie zaspokajała realne, a nie wyidealizowane i wymarzone przez działaczy oświatowych potrzeby i zainteresowania czytelnicze. Odcięcie dopływu książki szkodliwej i złej, a w dalszym etapie i książki bezwartościowej — przez jej dyskwalifikację w środowiskach bibliotekarskich — uczyni z niej obiekt handlowy bez popytu, i tym samym zmusi wydawców do podjęcia produkcji na wyższym poziomie.

Wychowanie czytelnika — to zadanie, które wymaga wielkiego nakładu sił, stosowania różnorodnych metod, odpowiedniego aparatu i — stosunkowo długiego czasu. Droga najprostsza — dostarczenie książki dobrej i interesującej — zależy przede wszystkim od autorów, ale nie należy zapominać o tym, że samo dostarczenie książki nie wypełni całego zadania kulturalnego. Organizator czytelnictwa musi tak z tą książką pracować, aby została całkowicie wyzyskana, aby stała się istotnie drogą — a nie celem sama w sobie.

Samo oddziaływanie bibliotekarza nie może tutaj wystarczyć. Konieczne się staje zharmonizowanie oddziaływań wszelkiego typu pracowników oświatowych, aby w różnych formach pracy kulturalnej książka była spożytkowywana wszechstronnie i stawała się coraz bardziej potrzebnym i niezastąpionym elementem zabiegów wychowawczych. Z chwilą kiedy stanie się ona nieodzowna, czytelnik masowy zacznie nią swobodnie operować, myśleć o niej intensywniej, mówić na jej temat, a na koniec stawiać świadome żądania autorowi. W konsekwencji wytworzy się więc atmosfera, która zrodzi realne zamówienia społeczne. Będą one wynikiem przeobrażeń psychicznych i społecznych wywołanych rzetelnym wychowaniem czytelnika masowego. Atmosfera ta zaważy na pisarzu i przekona wydawcę, że nie ma już miejsca na publikacje nie tylko szkodliwe, ale nawet — bezwartościowe.

Nie jest to przyszłość bardzo bliska, ale jest to przyszłość, bez której nie można sobie wyobrazić istotnego oczyszczenia rynku wydawniczego z zalewu pseudo-literatury. Długofalowa akcja musi być poparta działalnością zakrojoną na jeszcze dłuższą metę i na szerszą skalę, a mianowicie wciągnięciem w ten krąg — szkoły. Wychowanie czytelnicze, jakie przeciętnie wynosi ze szkoły młodzież, ogranicza się prawie wyłącznie do arcydzieł i dzięki temu jest jednostronne. Nie liczy się niejako z realnymi warunkami życia wychowanków poza szkołą i po szkole, skutki zaś tego wychowania są do pewnego stopnia i w pewnym zakresie — skazane na zagładę. Przedmiotem dyskusji, analizy, nauki, są prawie wyłącznie książki „klasyczne", wysokowartościowe, arcydzieła, zarówno dawne jak i współczesne. One stanowią wzorzec, ideał, w ogromnej jednak większości wypadków nie bardzo dostępny dla przeciętnego ucznia, który po skończeniu szkoły najczęściej o nich zapomina i przestaje z nimi obcować, a swojego współżycia z własną lekturą pozaszkolną i drugorzędną po prostu się wstydzi. Nawet praca w kółkach literackich obraca się przeważnie około literatury „klasycznej".

Mówię tutaj o pewnej przeciętnej, gdyż z jednej strony niewątpliwie bywają tam przerabiane i dyskutowane pozycje lektury indywidualnej ucznia, nie wchodzące w zakres literatury wysokowartościowej, z drugiej zaś spotyka się wielu młodocianych czytelników, którzy pozostają na całe życie odbiorcami wielkiej literatury. Jedną z przyczyn tego stanu rzeczy jest niewątpliwie brak czasu, wywołany ogromną rozpiętością programu, a także nie przezwyciężona jeszcze dostatecznie tradycja.

Dzieło literackie staje się najczęściej przedmiotem opanowania pewnej problematyki (w najszerszym tego słowa znaczeniu), tematem, w którego zakresie uczeń musi się wykazać znajomością rzeczy, ale nie udaje się zmniejszyć przedziału między przedmiotem nauki szkolnej a osobistym stosunkiem do dzieła, trwałym współżyciem poza granicami szkoły.

Wprowadzenie w jakikolwiek sposób do programu nauczania, czy to w ramach lekcji, czy to w innych formach pracy zespołowej, liczniejszych niż dotąd dyskusji na temat książek nie tylko wysokowartościowych — może chyba dać korzyść podwójną: pozbawi lekturę prywatną ucznia piętna wstydliwości, a jednocześnie będzie stanowiło drogę do wielkiej literatury, którą zbliży, udostępni i uczyni wymierną w skali dla młodzieży zrozumiałej.

BIBLIOTEKARSKA OCENA KSIĄŻEK

Powszechna sieć biblioteczna stanie się w najbliższym czasie głównym odbiorcą książki. Bibliotekarz stanie się tym, który zamknie dopływ książki niepożądanej do księgozbioru. Odpowiednie wyszkolenie bibliotekarzy w umiejętności stosowania właściwych kryteriów oceny i to tak, aby stały się wiążące dla całości sieci — uzdrowi księgozbiory i, jak już wyżej wspomniano, uczyni produkcję złej ksążki niepotrzebną także z handlowego punktu widzenia.

D'yskwalifikowanie książek powinno być przeprowadzane w pracy zespołowej na zasadzie zbiorowego ich omawiania, aby doprowadzić do wszechstronnych ocen oraz szeroko uwzględnić potrzeby i możliwości czytelnika masowego. Praca zespołowa w tym zakresie pozwoli na pewną jednolitość oblicza ideologicznego, a z drugiej strony na oparcie tej akcji na bogactwie i różnorodności sposobów podejścia poszczególnych bibliotekarzy do książki i do jej roli wychowawczej. Konkretnie mówiąc, byłoby wskazane zorganizowanie zebrań bibliotekarzy kwalifikujących i oceniających książki z punktu widzenia przydatności czytelniczej (analogicznie do podobnych zebrań bibliotekarek dziecięcych w Warszawie).

Wychowywanie czytelnika masowego przez wyrabianie w nim umiejętności czytania i doprowadzenie na tej drodze do nowego i świadomego zamówienia społecznego na pełnowartościową literaturę masową — jest nie tylko planem na długi okres działania, ale nie jest też planem dostatecznym. Podobnie odcięcie książki szkodliwej — w momencie powstania powszechnej sieci bibliotecznej — przez odpowiednie komisje kwalifikujące bibliotekarzy czekać musi na moment pełnej realizacji takiej sieci, i w tej chwili, to jest doraźnie, może być urzeczywistniane tylko dorywczo i fragmentarycznie. To także zresztą nie wyczerpuje sprawy, gdyż zamknięcie dopływu książki złej, która bywa nieraz malum necessarium w bibliotece, stworzy luki, i luki te trzeba zapełnić.

AUTOR I KRYTYK

Tutaj więc dochodzimy do punktu, w którym musi wkroczyć w krąg współdziałających autor i krytyk. Te dwa podstawowe czynniki w procesie powstawania książki i jej życia wśród czytelników mają niesłychanie doniosłą rolę do spełnienia w zakresie literatury masowej. Dotyczy to z jednej strony oddziaływania zakreślonego na długi dystans, ale również i działania doraźnego, które może dać wyniki przyspieszające cały przebieg sprawy.

Trudno jest mówić, i rzecz wydaje się nawet niecelowa, o dawaniu jakichkolwiek rad i wskazówek odnoszących się do spraw pisarskich. Najważniejszym momentem jest zrozumienie przez autorów potrzeb masowego czytelnika, poznanie jego zainteresowań i możliwości recepcyjnych, nawiązanie mię-

dzy nimi bezpośredniego kontaktu, a także stworzenie pomyślnych warunków dla zaktualizowania się odpowiedzialności społecznej pisarzy w tym zakresie. Ale inne są zadania pisarza wysokiej klasy, którego talent pozwala na dzieło przeznaczone dla konsumcji masowej, a inne dostarczyciela lektury.

Pierwszy musi stać się „czytelny", zrozumiały, dostępny i dostatecznie interesujący w zakresie problematyki i jej ujęcia (nie tracąc nic ze swej wartości literackiej), drugi natomiast — ma podnieść poziom swej poprawności formalnej, pogłębiać i uwspółcześniać problematykę, czynić ją istotnie bliską dla czytelnika, wprowadzać silniejszą podbudowę etyczną i psychologiczną, nic nie zatracając ze zręczności w konstruowaniu fabuły i prowadzeniu akcji.

Konkursy literackie — wspomina o tym między innymi Gołubiew — różnych typów mogą bardzo dodatnio wpłynąć na podniesienie poziomu tej gałęzi piśmiennictwa, a nawet stanowić zachętę do jej tworzenia. Można organizować konkursy na książkę, która odpowiadać będzie wysuniętym postulatom, a można także nagradzać te spośród książek pełnowartościowych omawianej kategorii, które okażą się w plebiscycie czytelników książką najpoczytniejszą.

Niezmiernie ważną rolę ma do odegrania w procesie tworzenia pełnowartościowej literatury masowej krytyka. Krytyka literacka, poza bardzo nielicznymi wyjątkami, z zasady pomijała i pomija milczeniem wszelkie publikacje drugiej klasy, choćby np. Dołęgę-Mostowicza, lub różne przeciętne tłumaczenia. Z literatury współczesnej krytyka uwzględnia jedynie te, które typuje na dzieła o charakterze trwałym, a o innych zachowuje przeważnie milczenie, choć ich rola społeczna, aczkolwiek całkowicie odmienna, jest nie mniej doniosła (nie mówiąc już o tym, że i od strony literackiej bywają one godne uwagi).

Wydaje się pozornie, że utwory drugiej klasy powinny podlegać innym sądom i kryteriom, a więc ich ocena nie może być dokonywana równolegle do oceny literatury wysokowartościowej. Jest to błąd zasadniczy i *circulus viciosus*. Można i należy stosować te same kryteria, tylko ocena wypadnie inaczej. Nadto należy patrzeć na te publikacje z punktu widzenia roli, jaką mają spełnić, pod tym kątem widzenia stosować do nich kryteria literackie i tak je oceniać i kwalifikować. Ich wartość bezwzględna (zarówno literacka jak i treściowa) jest niższa, ale ich wartość w odniesieniu do konsumenta i roli wychowawczej może być bardzo wysoka.

Miejsce w ogólnej hierarchii utworów literackich wyznaczają książce trzy kategorie kryteriów, i na tej drodze powstają różne rodzaje uszeregowania. Pierwsza kategoria — to kryteria literackie, oficjalne i fachowe. Pewne minimum wartości odpowiadających tym kryteriom, jak już wyżej wspomniano, pozwala na dopuszczenie książki do kręgu utworów literackich. Druga kategoria — to kryteria wychowawczo-społeczne, które wyznaczają książce miejsce, też zgodnie z pewnym minimum wartości literackich, ale z szerokim uwzględnieniem przydatności wychowawczej, to znaczy przystępności dla odbiorcy masowego i możliwości wywoływania trwałych przeobrażeń psychicznych i społecznych. Trzecia kategoria — to kryteria czytelnicze, które wynikają z cech właściwych czytelnikowi masowemu i muszą być ponadto punktem wyjścia dla formułowania kryteriów wychowawczych.

Na tym miejscu rozważamy sprawę literatury masowej przede wszystkim jako narzędzia wychowawczego, ale należy z całym naciskiem podkreślić, że w ścisłej zależności od kryteriów fachowych literackich — i kryteriów czytelniczych. Przychylny sąd i ostre wytknięcie błędów

przez krytykę, to konieczne i nieuniknione etapy ku poprawie, to zbawienny dla autora *dopping* i należne mu w pełni miejsce w gronie literackim. Bez tego trudno będzie podciągnąć wydatnie poziom literatury masowej. Wyłączenie tej kategorii pisarzy z grona tych, którzy są uznawani i dostrzegani przez oficjalną i fachową krytykę, nigdy nie pozwoli na osiągnięcie pożądanego i tutaj postępu.

Nie potrzeba zaznaczać, że wszystko to odnosi się do książek, które odpowiadają pewnemu minimum wymagań. Nie dopuszczone tutaj do recenzji muszą być książki pozbawione jakiejkolwiek wartości. Wprowadzenie na łamy pism literackich tego typu recenzji — i to recenzji w sposób właściwy rozpatrujących zagadnienie — stanie się nie tylko drogą do podniesienia poziomu literatury drugiej klasy, ale prócz tego pozwoli na szerszą dyskusję w sprawie, która powinna zainteresować autorów, wydawców — i czytelników.

Ukazanie problematyki, jaka tkwi w tym typie piśmiennictwa, sposobów jego ujęcia, miejsca jego w hierarchii książek i oddziaływań kulturalnych — jego wartości literackiej lub jej braku — powinno stać się szkołą dla autorów, wskazówką dla wydawców, a nade wszystko powinno zainteresować czytelników i otworzyć im oczy na rzeczy nie zauważone, na istniejące analogie, podobieństwa i pokrewieństwa z wyższymi typami literatury. Nie potrzeba podkreślać, że krytyk tego rodzaju książek musi znać faktycznie i intuicyjnie podłoże społeczne, na którym rozchodzi się ten typ piśmiennictwa, i musi rozumieć jego rolę.

Recenzje książek tej klasy powinny znaleźć się w pismach codziennych, aby wiadomość o nich docierała do jak najdalszych środowisk czytelniczych, aby wzbudzały zainteresowanie wśród szerokich rzesz. Ten typ recenzji wymaga szczególnej precyzji i obmyślenia. Podobnie literatura masowa w sposób swoisty i szczególny musi być recenzowana w różnego typu pismach oświatowych, aby była rozpowszechniona pośród bibliotekarzy i innego typu działaczy kulturalno-oświatowych. Jest rzeczą znamienną, że ten typ pracowników społecznych z braku czasu mało czyta. Stanowi to nieraz poważną lukę w ich przysposobieniu społecznym i możliwościach swobodnego operowania książką oraz właściwego poznawania zainteresowań czytelniczych i stopnia ich zaspokajania. Recenzja daje wstęp do tej wiedzy.

Wyrobienie w tym zakresie pracowników społecznych pracujących pośrednio i bezpośrednio z książką ułatwi odnalezienie dla tego typu literatury właściwego jej miejsca, ułatwi jej selekcję i odpowiednie spożytkowanie. Operowanie przybliżonymi tylko wiadomościami z tego zakresu doprowadzało niewątpliwie w wielu wypadkach do szeregu błędnych posunięć — do niedoceniania zarówno złego jak i dobrego jej wpływu. Książka tego typu, jak już wspomniano, nie może być puszczone samopas. Jej stałe spokojne działanie, podobnie jak i przyzwyczajenie do niej, żłobi bardzo silnie i trwale psychikę masowego czytelnika i doprowadza nieraz do zmian znacznie głębszych, niż gwałtowne wstrząsy wywołane arcydziełami. Dlatego wszelkimi środkami należy śledzić jej życie wśród czytelników, jej coraz to nowe, a właściwie zawsze te same odmiany. Recenzje we wszystkich typach czasopism stanowić mogą w tej w dziedzinie wydatną pomoc.

Należałoby jeszcze zająć się recenzją, która decyduje o tym, czy k s i ą ż k a z o s t a n i e w y d a n a. Jest to recenzja o charakterze nie publicznym, lecz czysto wewnętrznym, i ma na celu poinformowanie wydawcy przez fachowego znawcę danego typu literatury, czy dany rękopis kwalifikuje się do publikacji. Rzecz jest wagi pierwszorzędnej,

gdyż odpowiednie uświadomienie i postawa tego typu recenzentów może uregulować w sposób bardzo realny wydawanie książek pełnowartościowych omawianej kategorii i odciąć dopływ książek szkodliwych i złych. Możliwość uświadomienia recenzentów, jaki charakter, ze względu na swoje zadania, powinna mieć literatura masowa, nie jest rzeczą łatwą i powinno ono być też przeprowadzane zespołowo i dyskusyjnie, analogicznie do podobnych przedsięwzięć bibliotekarskich. Organizacyjnie jest to rzecz trudna, a dyskusje w czasopismach mogą stanowić pewien środek zastępczy. Recenzenci rękopisów mają przed sobą jeszcze jedno zadanie niezmiernie ważkie: wyszukiwanie, a pośrednio i szkolenie nowych talentów i umiejętności w dziedzinie, która dotychczas, jak już wielokrotnie wspomniano, leży w polskim piśmiennictwie odłogiem.

PODSTAWY PLANOWANIA DORAŹNEGO

Nowe zamówienie społeczne w zakresie literatury masowej wyniknie z przeobrażeń, które nastąpią po dłuższym okresie oddziaływań wychowawczych w stosunku do czytelnika masowego. Jest to rzecz niezbyt odległej przyszłości. Natomiast doraźne zamówienie społeczne może być formułowane właśnie na drodze recenzyj, dyskusji, którą one wywołają, a nade wszystko od strony bibliotekarzy, organizatorów czytelnictwa i wszelkiego typu działaczy społecznych. Ludzie z terenu świadomi problemów, które ten teren nurtują, mogą określać zagadnienia cieszące się zainteresowaniem, aktualne i żywe, i mogą nadać w ten sposób świeżą treść fabule i wzbogacić ją problematyką współczesną. Informacje działaczy i badania w zakresie czytelnictwa odsłaniają oblicze masowego konsumenta książki, wskazują typy ulubionych utworów (jako wzorzec pożądanego sposobu ujęcia) i ulubionych autorów, powracanie do których (o ile są tego warci) daje zwykle doskonałe wyniki wychowawcze.

Dobre nawyki i przywiązania czytelnicze stanowią bowiem często warunek konieczny pogłębienia stosunku do książki. Czytelnik obraca się wtedy swobodnie w znanym mu sposobie wyrażania się i odtwarzania fikcji literackiej i dzięki temu może wychwytywać z warstw głębszych problematykę ideologiczną lub etyczną. Doświadczenia praktyczne i zamierzone badania czytelnictwa mogą stanowić nie tylko podstawę do planowania książek nowych, ale w równym, albo jeszcze silniejszym stopniu do planowania wznowień i tłumaczeń. Wznowienia w zakresie literatury drugiej klasy nie stanowią najbardziej pożądanego dopływu tego typu książek; co najwyżej powieści historyczne, czy też dobra literatura kryminalna lub przygodowo-podróżnicza warta jest reedycji. Natomiast powieść społeczna, obyczajowa, psychologiczna, jako źródło zapoznawania się ze współczesnością, powinna być raczej nowa, aktualna i żywa.

CZYTELNICTWO MASOWE NIEZORGANIZOWANE

Możliwość pełnego zaspokojenia na tej drodze pędu poznawczego, który (jak wykazano wyżej) jest jednym z podstawowych elementów recepcji książki, sprawi, że funkcja wychowawcza literatury masowej spełni swoje zadanie. Czytelnik jest w swej istocie ciekawy, i — postępując w sposób właściwy — można go zainteresować niemal wszystkim. Czytelnik poprzez powieść może się dowiedzieć znacznie prędzej i z lepszym skutkiem niż na drodze teoretycznych, naukowych czy propagandowych prac, jak rozumieć otaczające go życie, najaktualniejszą problematykę współczesną, najbardziej palące zagadnienia. Powieść operuje pewnymi konkretami, które są w zasadzie znacznie bliższe mentalności czytelnika masowego niż abstrakcyj-

ne dowody. Zależy to jedynie od rozumienia życia, problematyki i zagadnień przez autora i od jego umiejętności przedstawiania, która powinna zmusić czytelnika do wiązania treści książki z rzeczywistością. Literatura masowa styka się w tym miejscu z literaturą popularnonaukową.

Dotychczasowe wywody dotyczyły przede wszystkim czytelnika masowego „zorganizowanego", to znaczy czytelnika, którego czytelnictwo jest w dużym stopniu kierowane przez bibliotekarza, zarówno jego czytelnictwo osobiste, jak i jego bliskich, z którymi dzieli się przyniesioną z biblioteki książką. Istnieje jednak czytelnik masowy innego rodzaju, którego wychowanie jest równie palącą kwestią społeczną. Tym innym typem czytelnika masowego jest abonent czytelni dochodowej i czytelnik kupujący książki, klient księgarni.

Wpływ na czytelnię dochodową jest kwestią nie do rozwiązania, gdyż zależy ona wyłącznie od indywidualności właściciela i jego smaku literackiego, od jego wyrobienia społecznego i chęci zysków. W planowaniu długofalowym wypożyczalnie prywatne bardzo często zostaną wtedy dopiero oczyszczone od balastu książek niepożądanych — gdy książki te znikną z rynku wydawniczego.

Pozostaje jeszcze sprawa czytelnika-klienta księgarni. Tutaj — aczkolwiek kwestia wiąże się równie ściśle z kwestią zarobku — odpowiednie szkolenie księgarzy w umiejętności reklamowania książek lepszych na miejsce zdecydowanie szkodliwych może dać pewne wyniki i mogłoby dać nawet wyniki doraźne. Ale możliwe to jest tylko w stosunku do klienta niezdecydowanego i przy założeniu, że pracownicy księgarscy otrzymają przeszkolenie, a przede wszystkim, że będą znali książki, które sprzedają. W chwili obecnej sytuacja na tym odcinku nie jest dobra. Wyrobienie literackie pracowników księgarskich nie jest zadowalające, tak że ta sprawa wydaje się być kwestią akcji długofalowej i bodaj obliczonej na jeszcze dłuższą metę, niż inne środki zaradcze.

WSPÓŁDZIAŁANIE W DĄŻENIU DO NOWEGO ZAMÓWIENIA SPOŁECZNEGO

Z powyższych rozważań widać, jak głęboko zakorzenione właściwości oraz czynniki ekonomiczne wyznaczają olbrzymi rozrost literatury masowej wszystkich stopni i odcieni: z jednej strony charakter czytelnika (a więc zamówienie społeczne), z drugiej interes producenta i pośrednika w upowszechnianiu książki (wydawcy, a w wielu wypadkach i autora). Ogniwo wiążące — bibliotekarz czy działacz oświatowy — stanowi w tej chwili zbyt wątły łącznik, za słabo organizacyjnie i liczebnie rozbudowany, aby już teraz mógł stanowić o zmianie istniejącej rzeczywistości.

Jednoczesne realizowanie planu sieci bibliotecznej, która będzie masowym odbiorcą książki, usilny nacisk na uświadamianie autorów i wydawców, że książka wychowawczo wartościowa musi powstać i że znajdzie czytelników — zmieni tragiczny w swej istocie fakt, że aczkolwiek ludzie czytają stosunkowo dużo, czytają w znacznym odsetku książki złe. Nie dlatego, że tego chcą, ale dlatego, że książek dobrych i dla nich dostępnych — jest u nas znikoma ilość.

Jednoczesność i harmonijność współdziałania autora, wydawcy, bibliotekarza, księgarza sprawi, że ogrom pracy, której trzeba dokonać, nie okaże się ponad siły i doprowadzi do takiego przekształcenia oblicza czytelnika masowego, że wreszcie on sam zażąda książki, która spełni całkowicie swoje zadanie społeczne.

Aniela Mikucka

S P R A W O Z D A N I A

POWIEŚĆ O KRESIE NOCY

KLUB DOBREJ KSIĄŻKI. I. JERZY ANDRZEJEWSKI: *Popiół i diament*. Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik", Warszawa, 1948; str. 334 i 2 nl.

1.

Nowa powieść Jerzego Andrzejewskiego budzi szacunek już przede wszystkim przez swoje ambicje: jest to pierwsza z powojennych książek będąca próbą artystycznego poznania i osądu nowej rzeczywistości polskiej.

Coraz to z ciebie, jako z drzazgi smolnej,
Wokoło lecą szmaty zapalone;
Gorejąc nie wiesz, czy stawasz się wolny,
Czy to, co twoje, ma być zatracone?

Czy popiół tylko zostanie i zamęt,
Co idzie w przepaść z burzą? — Czy zostanie
Na dnie popiołu gwiaździsty dyjament,
Wiekuistego zwycięstwa zaranie...

Ten piękny epigraf z Norwidowego *Za Kulisami*, który otwiera książkę, zapowiada wiele. Spróbujmy ustalić, czy i o ile znajduje pokrycie w jej zawartości.

2.

Rzecz dzieje się w ostatnich dniach wojny w mieście powiatowym o autentycznej, czy też umownej nazwie Ostrowiec. Główny nurt fabuły to historia zabójstwa sekretarza Komitetu Wojewódzkiego PPR, Szczuki; zamachowcem jest młody działacz konspiracji, Maciek Chełmicki. Wokół tej sprawy grupują się inne wątki powieściowe. Jest ich sporo; autor prowadzi je równolegle przez cały ciąg narracji, przy czym wzajemne ich powiązanie jest bardzo luźne. Krzyżują się z sobą w jednym zaledwie punkcie, który jest zazwyczaj przypadkiem, zbiegiem okoliczności, uprawdopodobnionym częściowo przez ciasnotę małomiasteczkowej scenerii.

Dla przykładu: nie wystarczy, że Szczuka spotyka w Ostrowcu przypadkiem swego sztubowego z obozu w Gross-Rosen, Kosseckiego; odnajduje tu również przypadkiem świadka ostatnich dni swej żony z obozu w Ravensbrück. Przy tym starszy syn owego Kosseckiego jest członkiem organizacji przygotowującej zamach na Szczukę, młodszy syn jest najbliższym kolegą siostrzeńca owej więźniarki, itd. itd.

Każda z postaci włączona jest w pośrednie związki z wszystkimi innymi, ale związki te są wiotkie i jednorazowe. Trudno oprzeć się wrażeniu niedalekiej od pedantyzmu sztuczności takiego układu stosunków postaci powieściowych. Zresztą mimo tych wysiłków autora książka daje się traktować jako zakonspirowany cykl opowiadań, połączonych jednością miejsca i czasu i częściowo tożsamością postaci (z tym, że postać główna w jednym z opowiadań jest na dalekim marginesie w innym), a więc ten typ konstrukcji, który w czystej postaci daje Artur Sandauer w *Śmierci liberała* i (zdaje się) Kazimierz Brandys w nowej książce *Między wojnami*.

Takich opowiadań można by wykroić z powieści kilka: o zamachu na Szczukę, o upadku sędziego Kosseckiego, o „zarażonych śmiercią"... Przy tym jednak pozostałaby bez przydziału jej część statyczna, bezfabularna — opis nocy w lokalu *Monopol*, gdzie bankiet gromadzi miejscowe wielkości i gdzie bawi się śmietanka ostrowieckiego towarzystwa. Ten stary chwyt kompozycyjny o długich i świetnych tradycjach pozwala Andrzejewskiemu znacznie rozszerzyć krajobraz społeczny swej książki. Liczna grupa figur epizodycznych reprezentuje sfery ziemiań-

skie, drobną i średnią burżuazję, inteligencję. Autor rysuje typowych przedstawicieli tych warstw konturem pewnym, ostrym, ale tak nieraz oszczędnym, że — zbyt ubogim.

Ta technika — można by ją nazwać migawkową czy sylwetkową — zawodzi tam, gdzie mamy do czynienia ze zjawiskami bardziej skomplikowanymi niż ograniczona mentalność wywłaszczonego arystokraty, czy ptasia pustota pani pułkownikowej. W powieści pojawia się np. stary przyjaciel Szczuki, działacz niepodległościowy i socjalista, który odwraca się jednak od nowej rzeczywistości, bo odzywa się w nim szlacheckie sobiepaństwo, bo trwa w nim uraz antyrosyjski. Andrzejewski wszystko to albo komunikuje (w relacji sumarycznej), albo zaznacza (w dialogu charakteryzującym), ale nie próbuje przedstawić. Toteż otrzymujemy zaledwie temat do postaci, a nie pełną postać powieściową.

Można się więc spierać o to, czy diagnozy społeczne Andrzejewskiego są zawsze artystycznie uzasadnione, czy nie nadto niecierpliwie dąży on do uogólnień. W każdym razie diagnozy są słuszne. Andrzejewski z rozmysłem różnicuje to, co podciągano pod jeden strychulec słowem „reakcja". Są to nie tylko grupy ludności, które wskutek reform społecznych straciły dosłownie grunt pod nogami, a teraz frazesami o obronie prawdziwej demokracji i zachodniej kultury pokrywają określone interesy klasowe. To także inteligencja, której rozwój wydarzeń wytrącił spod nóg grunt — ideologiczny. To również ludzie zaskoczeni przez powstanie Polski jako państwa ludowego.

Oddajmy głos pisarzowi: „Walka o fikcję, o zagubiony i niepowrotny cień... — mówi jeden z bohaterów powieści, marksista Podgórski. — Zawsze, widzi pan, jakaś magia, zawsze jakieś idealistyczne złudzenia, wywoływanie przeszłości, wiele szlachetnych uczuć i pragnień, wiele wierności, poświęceń i ofiarnego patriotyzmu i wszystko to się toczy jakby obok historii, gdzieś na jej marginesie. A rezultaty? Już są. Gorycz, rozczarowanie, żal do wszystkich, znużenie, tysiące młodych chłopców wykolejonych, tysiące żałosnych emigrantów, ślepy zaułek....".

Oczywiście zawsze są tacy, którzy do nowej sytuacji w lot umieją się dostosować. Oto Święcki, klasyczny typ karierowicza, na razie prezydent miasta, jutro może wiceminister. Oto redaktor Pawlicki, który dziś kadzi PPR, jak kiedyś kadził sanacji. Oto dr Drozdowski, uznający jedną tylko zasadę: by przejść przez życie najwygodniej.

Ocena moralna i społeczna tego świata „zamętu, co idzie w przepaść z burzą" — jest jednoznaczna. Kiedy nad ranem pijane i rozbłaznowane towarzystwo opuszcza *Monopol* przy patetycznych dźwiękach szopenowskiego poloneza i kabotyńskim okrzyku Kotowicza: „Niech żyje Polska!" — ta doskonale skomponowana i nieodparcie oddziaływająca scena mieści w sobie wymowę wyroku.

3.

Takie jest wspólne tło wyodrębnionych wyżej „opowiadań". Spośród nich najbardziej może godne uwagi są dzieje sędziego Kosseckiego. Kossecki to idealny typ drobnomieszczanina: własną upartą i uczciwą pracą zdobywa stanowisko społeczne, szacunek ludności i własną willę. Ale nadchodzi wojna — i ten sam człowiek jako sztubowy w obozie Gross-Rosen wysługuje się Niemcom i katuje swych współtowarzyszy.

W opowiadaniu *Apel* czytaliśmy: „Zło, do którego człowiek jest zdolny, ta otchłań, którą trzeba z bliska ujrzeć własnymi oczami, aby w nią uwierzyć, te bezmiary potworności drzemiące w ludzkich istnieniach i bez wstydu, wśród zwycięskiego tryumfu wydobywające się na światło dzienne, to była groza przewyższająca wszystko, co człowiek jest w stanie przecierpieć" (*Noc*, str. 46).

W nowej powieści o upadku Kosseckiego mówi Szczuka innym językiem: „Po prostu bankructwo pewnego typu mentalności". Postępowanie Kosseckiego determinuje jedna siła: chęć uratowania życia, przetrwania bez względu na cenę, którą za to zapłacą — inni. W swoim sumieniu jest on spokojny. Po powrocie z obozu czai się w nim tylko potworny strach przed ludźmi, lęk o zagrożoną przyszłość. „Kto wie, czy przywiązanie do życia nie jest podstawą moralności" — rozmyśla. Czas wielkiej próby odsłania spod grubej warstwy cywilizacyjnych nawyków nagi instynkt życia... Instynkt życia? Bynajmniej. Tylko produkt pewnego układu historyczno-społecznego, układu, w którym „godność osobista zamieniła się w wartość wymienną".

Całe życie Kosseckich było sztuką przystosowywania się, cnotą absolutnej rozporządzalności. Kto się przystosować nie umiał, pozostawał na dnie. Kossecki wydobył się z niego: był karny i usłużny, pracowity i solidny, lojalny i moralny.

Praktykował wszystkie cnoty mieszczańskie, bo to były cnoty opłacalne: ze sklepu kolonialnego, gdzie był praktykantem, prowadziły do własnej willi i sędziowskiego stanowiska. A w obozie? W obozie otrzymał innych mocodawców — i innych zalet od niego zażądano.

„Nędza tego człowieka była lepka jak błoto. Mógł być dozorcą obozowym. Mógł być porządnym człowiekiem. Jednego tylko pragnął: zachować siebie. Za wszelką cenę. Za cenę zła i za cenę dobra. Życie żądało podłości — był podły. Życie wymagało cnót obywatelskich — miał je. Kim był właściwie? I kto go uczynił niewolnikiem?" — zadaje sobie pytanie Podgórski.

Dla czytelnika odpowiedź jest jasna: można ją odczytać z historii jego życia umieszczonej w historii jego grupy społecznej. Formuła: „socjologiczna konstrukcja losu ludzkiego", której używa się i nadużywa tak często, że traci i sens, i walor, w tym przykładzie znajduje właściwe zastosowanie. Inna sprawa, jaką miarą ocenia Andrzejewski opisane przez siebie zjawisko. Ale o tym później.

Poznawcza ważkość książki równie dobrze uwidocznia się w powieściowym wyglądzie sprawy młodego pokolenia, a raczej — młodych pokoleń. Bo rocznik 1921: Andrzej Kossecki, Maciek Chełmicki — to młodzież zupełnie inna od rocznika 1928: Jurka Szrettera czy Alka Kosseckiego. Jakże znamienny jest ton i słownik rozmowy działacza konspiracyjnego kpt. Wagi z pełnym wahań i skrupułów moralnych Andrzejem, który z kolei ten sam ton i słownik zareprodukuje w rozmowie ze swym podwładnym, Chełmickim.

Jesteśmy wciąż daleko od konkretnych zagadnień politycznych i prób ich racjonalistycznego rozwiązania. Jesteśmy wciąż w kręgu pozahistorycznego patosu. Wciąż padają wielkie słowa: wierność wobec siebie, solidarność z poległymi, wierność sumienia, heroizm... Nie trudno wyśledzić źródła tych mitów. Wywodzą się z tragicznego heroizmu bohaterów Conrada, z książek Żeromskiego o „wierności dla przegranej sprawy, nieznanej nigdzie na świata obszarze". Powieść pokazuje, jak wychowane na tej literaturze pokolenie stawało się niezawodną kartą w grze politycznej prowadzonej przez niewidocznych eksponentów kapitana Wagi.

Andrzej i Maciek budowali swe postawy moralne na książkach Conrada i Żeromskiego. Edukacja Jurka Szrettera opierała się na wzorach żywych: w świat dziecinnych zabaw w Indian wtargnął świat hitlerowskich polowań na ludzi. Z zachowania się tego podrostka, wyzwolonego ze słabości, zimnego i brutalnego — wyprowadzić można bezbłędnie cały obraz „czasu nieludzkiego". Zabicie kolegi za niesubordynację organizacyjną jest dla Szrettera tylko próbą własnej siły. Dla jego kolegi Alka współudział w tej zbrodni staje się źródłem siły. Mechanizm zarażenia śmiercią działa niezawodnie: Alek w jedną noc dorasta do swego towarzysza.

Drogi „pokolenia tragicznego" i drogi „zarażonych śmiercią" rozpoczynają się w różnych miejscach. Biegną jednak w tym samym kierunku: obie prowadzą w ślepe zaułki. Przy tym w powieści Andrzejewskiego są to — drogi nieuniknione. Próby zawrócenia z nich kończą się niepowodzeniem.

4.

A druga strona barykady? Tu zadanie pisarza było najtrudniejsze. *Popiół i diament* jest dziełem zbyt poważnych zamierzeń, by napisać, że zadanie to zostało spełnione. Ale — jeżeli w ogóle wolno krytykowi tak formułować swe poglądy — zadanie to nie mogło być spełnione. Oczywiście nie dlatego, że Andrzejewski miał do czynienia z wydarzeniami i ludźmi najbliższej współczesności. Sprawa jest bardziej zasadnicza; idzie o zupełnie nowy, pierwszorzędnej wagi problem artystyczny: o stworzenie żywej postaci pozytywnego bohatera naszych czasów, mówiąc stylem Taine'a — „osobistości panującej" nowego okresu historycznego. Prowadzi do tego droga długich prób i pierwsze jej etapy nigdy nie przynoszą pełnych sukcesów. Dowodami służy choćby literatura sowiecka, która długo nie mogła przezwyciężyć papierowości i sztampy w ujęciu postaci „bolszewika w skórzanej kurtce".

Coś podobnego widzimy w omawianej powieści. Jeden Szczuka, prostolinijny i kanciasty, ma niektóre wzruszające ludzką prawdą momenty. Ale nie jako działacz polityczny, tylko po prostu jako cierpiący człowiek. Poza tym i on, i zwłaszcza Podgórski albo wygłaszają przemówienia, albo wyręczają pisarza w komentarzu ideologicznym, zresztą nie w całości przez niego autoryzowanym. Robotnicy są tylko bezimienną, jednolicie szarą masą, tak właśnie jak czytamy w powieści:

„Ich prostacze, szare mimo opalenizny, utrudzone twarze wydawały się w masie tak do siebie podobne, jak gdyby samo życie, niosące wspólność pracy i wspólność trudów, żłobiło je w ciągu lat tymi samymi rysami

siły i uporu. Stojąc jeden przy drugim, ciasno stłoczeni ramię przy ramieniu, skupieni i milczący, nie różnili się od siebie wiekiem, wzrostem, ubraniem. Byli jedną, zwartą masą".

Robotnicy milczą i — giną, i to też tylko przez omyłkę. Są dalej jedynie przedmiotem historii. Tę historię tworzy, jak w powieści Żeromskiego, inteligent, tylko że dla odmiany z legitymacją partyjną w kieszeni.

Zapewne można odpowiedzieć, że Andrzejewski nie zamierzał dać obrazu całego społeczeństwa, że nie pisał także powieści o robotnikach, że dla celów konstrukcji powieściowej przydatniejszy był działacz partyjny — inteligent, że jest przecież wielu takich, itd. Ale elementy powieści tego typu co *Popiół i diament* mają w percepcji czytelników wymowę nie faktów jednostkowych, lecz przebiegów o pewnej typowości społecznej. I pod tym kątem można mieć wobec książki słuszne zastrzeżenia.

5.

Poprzez wszystkie te problemy i motywy przeziera zasadnicze zagadnienie powieści: wybór kryteriów dla moralnej oceny człowieka. Z pozoru jest on zupełnie jednoznaczny: czyn jednostki określa ją, daje o niej najistotniejszą prawdę.

„Spotkałem — mówi Podgórski — zbyt wielu ludzi, którzy się załamali i nie wytrzymali tych czy innych prób, abym mógł przywiązywać większą wagę do tego, co człowiek o sobie sam myśli. (...) I cóż ostatecznie pozostaje? To tylko, co człowiek czyni, nic więcej. Reszta może być prawdą, lecz może być także zwykłym kłamstwem, złudzeniem. Dopóki człowiek nie musi siebie sprawdzać w czynie, może się oszukiwać bez żadnych ograniczeń. I robi to".

Jeszcze wyraźniej stawia sprawę Szczuka w przemówieniu nad grobem robotników: „Gdy padają tak wielkie słowa, jak bohaterstwo, solidarność i braterstwo, to my, którzy przeszliśmy przez lata najstraszliwszych zbrodni, pytamy natychmiast: w imię czego jesteś bohaterem? W imię czego jesteś solidarny i jaki sens nadajesz braterstwu? Gdybyśmy takich pytań nie zadawali, musielibyśmy wówczas znak równania postawić pomiędzy bohaterstwem żołnierzy faszystowskich i bohaterstwem ludzi walczących o wolność".

Jest to zarazem ocena „tragicznego pokolenia", które uważało heroizm za wartość absolutną, samowystarczalną. Tymczasem bohaterstwo, to — jeśli tak można powiedzieć — wielkość kierunkowa. Miarą człowieka jest społeczna funkcja jego postępowania.

Ale podobne zdania już gdzieś czytaliśmy. Oczywiście! Podgórski mówi tak, jak gdyby był osobą z *Rozmowy* Jana Kotta: „W myślach i marzeniach można być świętym, łajdakiem i bohaterem jednocześnie. Czyn jest jednoznaczny. W lesie, w partyzantce jest się tchórzem albo bohaterem, nie ma, choćbyś stawał na głowie, innego wyjścia..." *(Po prostu*, s. 132). Szczuka parafrazuje artykuł Kotta *Nieco prawa i ocena czynu:* „Jeżeli śmierć milionów Niemców pozostawia mnie obojętnym, jeżeli gardzę zarówno bohaterstwem jak i cierpieniami żołnierzy faszystowskich, to nie dlatego, abym sądził, że inaczej walczą i inaczej umierają od naszych żołnierzy. Gardzę ich życiem duchowym, ich bohaterstwem i ich śmiercią, ponieważ bronili systemu, który zamienił Niemcy w jeden obóz koncentracyjny. Nie są sobie równe śmierć obrońcy faszyzmu i obrońcy wolności" (tamże, str. 71).

Ta zbieżność jest zastanawiająca, skłania bowiem do ostrożności. Czy wolno przepisywać całkowicie na rachunek autora zacytowane wyżej wypowiedzi postaci powieściowych? Jakże wtedy wytłumaczyć, że podobnymi n a p o z ó r argumentami broni się cynicznie Kossecki: i on powiada przecież, że liczy się ten człowiek, który „w danej chwili, w danych warunkach jest społecznie użyteczny".

Na wysunięte tutaj wątpliwości interpretacyjne rzuca światło przebieg sprawy Maćka Chełmickiego. Początkowo zamach na Szczukę jest dla niego tylko zadaniem technicznym, niemal wyczynem sportowym. Sytuacja zmienia się po „transfiguracji" Chełmickiego, gdy ten, nagle przemieniony przez miłość, chce zerwać z konspiracją, zaczyna odczuwać cały ciężar moralny swego zadania, odkrywa w nim zbrodnię. Zamachu na Szczukę ostatecznie dokonuje z poczucia honoru i obowiązku wierności do ostatka, ale z przeświadczeniem, że nie są to racje ostateczne.

„Czuł, że ponad wszystkimi tymi prawami i więzami spoczywa w człowieku prawda jeszcze czulsza i trwalszą miarą sprawiedliwości obdarzona". Chełmicki nie potrafi rozplątać tych zawiłych sprzeczności, nie przełamie kręgu imperatywów moralnych „tragicznego pokolenia". Ale ta wewnętrzna rozterka wprowadza zasadniczą zmianę w ocenę czynu Chełmickiego (tak przynajmniej chce autor, jeżeli dobrze interpretuję powieść). Kiedy Chełmicki po zamachu sam również ginie z powodu niepotrzebnej próby ucieczki, nie przyjmujemy bynajmniej jego

śmierci jako interwencji przypadku wymierzającego sprawiedliwość. Poddając się sugestii autora, odkładamy ostatecznie książkę ze współczuciem podzielonym między Szczukę i jego zabójcę. Cóż to znaczy?

Najlepszy komentarz daje sam Andrzejewski w *Propozycjach teraźniejszości:* „Na razie nie wydaje się, aby w kształcie obecnym posiadał materializm dziejowy wszechstronne racje do pełnego przyjęcia go za podstawę wartościowania. Natomiast można w nim znaleźć normy i pojęcia, które pozwalają osądzać sferę zjawisk obiektywnie sprawdzalnych. Społeczny osąd, a zatem i społeczna moralność mogą się na nim wesprzeć (...) Artysta natomiast wykracza poza te konieczne dla porządku życia zbiorowego granice. Pragnąc ujrzeć ludzi w ich czynach, dąży również do statycznego utrwalenia poszczególnych momentów zmiennego nieustannie życia. Tym samym wewnętrzne życie człowieka, wyrażane w myślach i intencjach, staje się dla artysty na równi z ludzkimi czynami podmiotem (? raczej przedmiotem, przyp. mój, H. M.) poznania i wartościującego osądu (...) (Pisarz) nie może się też w imię społecznej litery pozbawić prawa do litości i wielkoduszności. Jeśli bowiem dobro społeczne ma mu być celem, a piękno środkiem odbudowy porządku, powinien mieć otwarte oczy i serce na nędzę człowieka, pogardę i nienawiść zachowując dla zła, a właśnie litość i jeśli zdoła — nawet miłość dla tego, który zło popełnia" *(Odrodzenie,* nr 45, 1945).

Że tezy powyższe towarzyszyły Andrzejewskiemu przy pisaniu powieści, o tym świadczy omówiony już wątek Chełmickiego. Potwierdzają je również niejasne słowa Szczuki, który — inaczej niż Podgórski — chciałby wyjść poza pogardę i nienawiść do faszystów. Wreszcie jako dowód nie wprost może posłużyć sprawa sędziego Kosseckiego. Miarą jego upadku jest nie to, że bił Polaków i wysługiwał się Niemcom w obozie, lecz to, że po uwolnieniu odczuwa jedynie egoistyczny strach o siebie. Potępienie Kosseckiego dokonywa się nie przez ocenę jego postępowania, lecz przez ocenę jego wewnętrznej postawy. A gdyby tak Kossecki wszedł na drogę szczerej ekspiacji, gdyby szedł do Szczuki z prośbą o przebaczenie, gdyby prosił go nie o dyskrecję, lecz o wyciągnięcie ręki, wówczas — ale takiego człowieka znamy. To przecież bohater *Ocalenia Jakuba* Zawieyskiego.

Tak więc w powieści przecinają się i nakładają dwa systemy wartościowania człowieka: powszechne normy społeczne, które opierają się na ludzkich czynach, ale tylko do nich się odnoszą, i — wyższa w hierarchii (na terenie sztuki) — subiektywna ocena pełnej osobowości człowieka na podstawie jego intencji i walk wewnętrznych, ocena dopuszczająca do głosu litość i współczucie.

Dodajmy od siebie: ocena niesprawdzalna, bo odwołuje się tylko do rezultatów samotnego poznania.

6.

Takie założenia filozoficzne — wszczynać raz jeszcze dyskusję na temat ich merytorycznej słuszności byłoby chyba niecelowe — takie założenia powodują pewne konsekwencje techniczno-literackie. Na stopniu pierwszym osąd opiera się na ludzkich czynach; odbywa się więc w powieści dalszy odwrót od psychologizmu, zyskuje na znaczeniu akcja, dialogi o napięciu dramatycznym, opisy działania i zachowania się bohaterów od zewnątrz.

Ten swoisty behaviouryzm występuje zwłaszcza tam, gdzie zamiar i działanie leżą na jednej linii, przestaje jednak wystarczać, gdy między obiektywnym wyglądem czynu a jego intencją istnieje rozdźwięk. Wówczas przywołuje Andrzejewski na pomoc monolog wewnętrzny, albo raczej relację o monologu wewnętrznym. I to jest w pewnej mierze także odejście od psychologizmu: „Wewnętrznych przeżyć człowieka nie można wiernie odtworzyć. Te próby to właśnie psychologizm, psychologizowanie, lecz można o myślach opowiadać" — pisał kiedyś Andrzejewski *(O obronę człowieka, Odrodzenie,* nr 38, 1945). Jeszcze chętniej wprowadza dialog, i to dosłownie rozmowę dwóch osób, która uprawdopodobnia ryzykowną szczerość jego postaci. W innej jeszcze funkcji występuje dialog w partiach powieści traktujących o tym, co nazwaliśmy „tłem społecznym"; tutaj znów służy on celnej charakterystyce osób i autentyzmowi kolorytu obyczajowego.

Bardzo umiejętnie — podobnie jak w *Nocy* — posługuje się Andrzejewski pejzażem, a raczej przedstawianiem pór dnia i zjawisk atmosferycznych. Krótkie, parozdaniowe opisy stanowią bądź nastrojowy akompaniament, bądź kontrast dla rozgrywających się na ich tle konfliktów międzyludzkich. Pisał o tym dokładnie Wilhelm Mach w recenzji z *Nocy (Odrodzenie,* nr 62, 1946); jego obserwacje można by tylko uzupełnić nowymi przykładami.

W ogóle nowa powieść Andrzejewskiego kontynuuje w swoim kształcie stylowym prozę *Nocy,* zwłaszcza zaś tendencje uwi-

docznione w *Wielkim Tygodniu*. Mamy więc z jednej strony staranie o niezauważalność stylu w partiach odautorskich, z drugiej — skłonność do naturalistycznego naśladowania mowy potocznej w dialogach. Odrębny charakter noszą relacje o procesach psychologicznych. Tu „zbitki moralno-pojęciowe" (termin K. Wyki) sąsiadują ze sformułowaniami, w których charakter ujęcia i wzruszeniowa ostrość wyrazu przypomina Żeromskiego. (Np.: „Jakimiś nieskładnymi poplątanymi myślami żarliwie się poczęła modlić, całą sobą, całym swoim obolałym ciałem i wszystką rozpaczą i cierpieniem". Albo: „Stał pochyliwszy głowę i z tak śmiertelną w sobie pustką, jak gdyby nagle oślepł, ogłuchł i wniknął w najciemniejszą samotność").

7.

„Nad czym wznosił się tryumf gorzkiego zwycięstwa? Nad ruinami i nad grobami, nad pohańbieniem ludzkiej godności, nad rojowiskiem małych, znikczemniałych, okaleczonych gnomów, zatrutych strachem i jadowitym pożądaniem życia... W i e d z i a ł, ż e n i e j e s t t o j e d y n a i w y ł ą c z n a p r a w d a o ś w i e c i e. Spomiędzy doświadczeń ostatnich lat iluż ludzi wyniosło wiarę w człowieka, poświadczając ją czynami? Ocalonych było wielu. Ocaleni są — myślał ociężale. I wiedzą o sobie. Nie są samotni. Są siłą. Siłą ciągle walczącą, ponieważ ludzkość jeszcze nie powiedziała swego ostatniego słowa. Walka tóczy się dalej. C z u ł j e d n a k, ż e w t e j c h w i l i n i e p o t r a f i a n i t e j w i a r y, a n i w a l k i p o t w i e r d z i ć c a ł y m s o b ą". (Podkreślenia moje, H. M.).

Ten wyjątek z rozmyślań Podgórskiego stanowi równocześnie najlepszą charakterystykę atmosfery książki i jej prawdy o naszej już nie teraźniejszości, lecz — najbliższej przeszłości. Nie jest to — jak widzieliśmy — prawda całkowita. *Popiół i diament*, będąc powieścią o kresie n o c y, o cieniach, które pozostawiła, nie stał się powieścią o — „zwycięstwa z a r a n i u".

Nie jest to także rachunek skończony: na pytanie, które stawia jej motto, nie otrzymujemy odpowiedzi. Ale rzetelne zdobycie części tej prawdy, podjęcie tego trudnego rozrachunku — stawia *Popiół i diament* wysoko we współczesnej twórczości literackiej. Bo jest to książka, która od spraw najbardziej ważkich nie ucieka na nęcące marginesy rzeczywistości.

Henryk Markiewicz.

W WYMIARZE GROTESKI

KLUB LITERACKI ODRODZENIA. I. STANISŁAW DYGAT: *Pożegnania*. Powieść. Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik". Warszawa, 1948; str. 197 i 3 nl.

1

„Książka następna określi wyraźniej pisarski profil Dygata. Ufamy, że określi również wyraźniej i pełniej tę pozytywną stronę życia, którą książka pierwsza naszkicowała w trzech na pewno zbyt oszczędnych słowach: „wiele, wiele rzeczy". Taką prognozą zamykał W. Mach recenzję *Jeziora Bodeńskiego (Twórczość*, nr 5, 1946).

Otrzymaliśmy do ręki drugą z kolei książkę Dygata i z pewnością nie omylimy się, jeśli stwierdzimy, że *Pożegnania* nie leżą na linii przewidywań krytyka, gdyż ani nie ustalają wyraźniej cech stylowych pisarza, ani w miejsce wartości zburzonych nie wprowadzają systemu pozytywnego.

Co do pierwszego, to powiemy z góry, że w postawie i stylu pisarskim Dygata nastąpiło znamienne przesunięcie od kategorii drwiny i groteski przewrotnej do rodzaju groteski satyrycznej o podłożu realistycznym.

Inne elementy stylu oparły się przemianie: liryzm, mniej teraz przytłumiony, dowcip i komizm, zawsze dobrej jakości, infantylna przekora, rzadziej teraz dochodząca do głosu — oto dowody, że autor *Pożegnań* tylko częściowo oddalił się od tradycji stylowych *Jeziora Bodeńskiego*. Profil pisarski jest zatem jeszcze niewykończony, nadal w stanie krzepnięcia...

Co do sprawy drugiej, to ulokować można *Pożegnania* obok *Jeziora Bodeńskiego*, obok *Drewnianego konia* Brandysa, zatem pośród tej rosnącej obficie w powojennym czasie literatury samooskarżenia, rozrachunku i potępienia. Dla wymienionych wyżej pozycji rzeczą znamienną jest właśnie postawienie końcowej kropki w miejscu, od którego począwszy wymagałoby się od pisarza wprowadzenia w grę „wartości pozytywnych".

Tak odczytane *Pożegnania* stanowią je-

szcze jedno wydanie procesu tak często wytaczanego dziś niedawnej przeszłości. Procesu, w którym chytrzy sędziowie wydają potępiające wyroki, nie objawiwszy swego kodeksu. Symboliczny gest przywitania, zamykający nową powieść Dygata, pozwala jednak ufać, że następnym razem sędzia już się nam nie wymiga.

2

Wydarzenia powieści rozgrywają się w dwóch etapach: w roku przedwojennym, aż do ostatnich dni sierpnia, i w paru miesiącach po powstaniu warszawskim. W tym łuku ma się zawrzeć charakterystyka żegnanego środowiska, trochę romantycznych przygód gwoli oczarowania czytelnika i dużo, dużo humoru gwoli rozśmieszenia go. Przypatrzmy się kolejno każdemu z tych trzech nurtów.

Powieść powstała zatem „z pasji rozrachunku ze środowiskiem, w którym się żyło i z którym się definitywnie zerwało". (I. Bajkowska, *Rozmowa z autorem Pożegnań, Odrodzenie* nr 6, 1948).

Rozrachunek rzadko obejdzie się bez satyry: bardziej wszechstronna lub mniej, bardziej zjadliwa lub mniej, wciska się do wszelkich takich sumowań. U Dygata jest żywiołem panującym, tylko niekiedy ustępuje miejsca liryzmowi. I jeszcze jedna ważna cecha: w tym rozrachunku jest tylko jedna strona — *debet*. Pozycja — winien.

Przedmiotem tej wszechogarniającej satyry są klasy posiadające: arystokracja paru stopni i mieszczaństwo, ukazane w dwóch okresach — przedwojennym i wojennym. Twardy rylec wojny nie zdołał ich dotknąć. Dopiero pogrom warszawskiego powstania i groza nadchodzącego wraz z sowieckimi wojskami przewrotu społecznego sprowadza upadek ich społecznego znaczenia. Samotni, śmieszni, zdziecinniali, na odgłos bitwy umknęli do piwnic, unosząc ze sobą strach przed nadciągającą przemianą. Tylko dwoje ludzi wita wchodzące do Podkowy Leśnej wojska: Narrator, odszczepieniec swej klasy, i Lidka, „dziewczyna z ludu". Owego Narratora, a zarazem głównego bohatera powieści piszemy gwoli szacunku z dużej litery; Dygat zataił jego imię.

Potomkom szlacheckich i rycerskich przodków dostał się ciężki zarzut w takiej *en masse* ocenie:

„Obecnie nic ich już nie łączyło z portretami, ryngrafami, ani okrzykami: „Bij, kto w Boga wierzy". Byli to zbiedzeni, znękani chorobami takich czy owakich „dróg" kuracjusze zdrojowiska; jak tamci między sobą ustawicznie o swoich chorobach i dolegliwościach, oni opowiadali sobie dużo i chętnie o stratach, jakie ponieśli, i zdawało się, że zapomnieli zupełnie o stratach, jakie poniosła ojczyzna, dla której to właśnie miłości mieli uchwyciwszy mocno w dłoń karabelę pędzić na karkach znienawidzonego wroga".

Wstrząsy wojenne dokonały tylko ostatnich, końcowych pociągnięć w strukturze moralnej tych ludzi. Cały ten rozkład gotowy był właściwie już przed wojną: chaos, zagubienie w świecie, żądza ucieczki, brak jakiejkolwiek etyki — oto jedna, wielka choroba, dusząca tę ginącą inteligencką nację: generałów, doktorów, redaktorów, secesyjnych poetów z *Café Clubu*, histeryczne Dody i Cachardów, przeciągających zbyt długo swe pożegnalne uczty. Podciągnąłem Cacharda pod jeden strychulec ...przepraszam.

Cachard — to całkiem inna sprawa. Nie tylko w tym sensie, że stanie się on pierwszą polską odbitką znakomitej osoby Peeperkorna w *Czarodziejskiej górze* Manna. On jeden odczuwa grozę całego układu świata i on jeden... cierpi. Polskich Cachardów cechuje natomiast pogląd, który nazwijmy „filozofią zadowolonego z siebie pesymizmu", określającą się w słowach: „Świata i tak nie zmienisz, ludzi też nie, bo już tak jest. Po co sobie niepotrzebnie nerwy szarpać".

Ta kompromitująca filozofia pogrąża swych wyznawców w pustce, w bezideowości, w wyłączności biologicznego trawienia, w zaniku wszelkiej myśli społecznej, naprawczej, światoburczej. Ta klasa pogrzebała już swoją żywotność, doszła starości — i czeka tylko na śmierć. Wojna przyniosła ją. Ale młodzi buntują się, chcą żyć:

„To, co odbywało się wokoło nas, to nie było życie. Mirek miał rację. Niemcy nie odgrywali już w tym wszystkim roli. To nie o nich chodziło. Ale wokoło nas odbywał się jakiś pogrzeb, żałosne śpiewy i lamenty, uderzanie grudek ziemi o trumnę, w trumnie trup naruszony już przez robaki, tony żałobnego marsza, organy grające z cmentarnej kaplicy, a nad grobem krewni, rozpoczynający spory i intrygi o spadek po zmarłym, który był bankrutem. Ale za murami cmentarza było przecież życie. Gdzie jest droga do wyjściowej bramy cmentarnej? (podkr. moje).

Narrator wychodzi naprzeciw wkraczającym wojskom, Mirek wędruje na zachód, jest to „ucieczka przed własnym cieniem".

3

Zapuściłem się w odtwarzanie charakterystyki żegnanego środowiska i miałem zamiar zapuścić się jeszcze dalej, gdy nagle opadło mnie zwątpienie, czy to wszystko rzeczywiście jest w książce Dygata, czy swojego opisu nie uzupełniałem wiedzą własną, nie zaczerpniętą z tej książki.

A jeżeli jest — czy budzi w czytelniku wiarę?

Źródłem wiedzy społecznej *Pożegnań* jest Narrator, dudek, zblazowany mieszczański młodzieniec, wygłaszający patetyczne przemowy (w części pierwszej) i strojący małpie miny (w części drugiej). Jego niechęć do mieszczańsko-arystokratycznego świata poczęła się ze znudzenia, z przesytu (w którymś pokoleniu dobrobytu zawsze się to powtarza), a wreszcie i z infantylnej przekory. W absolutnym odcięciu od jakiegokolwiek ideologicznego podłoża rośnie ten mieszczański idealista, nudzi się, popada w neurastenię i tęskni za zdrowiem, krzepą, ideą, uwielbia prostotę, choćby grubą i brutalną, nie znosi mdłych i obłudnych mieszczańskich form współżycia, zakłamanej i podwójnej moralności. Jego protest przeciw światu — to przekorny grymas i pokazanie języka. Jego wiedza o świecie, na którą przez cały czas jesteśmy skazani — to powierzchowna groteska.

Bohater *Jeziora Bodeńskiego* mówił prawdę o sobie, a przez to i o swoim pokoleniu. Bohater *Pożegnań* nie mówi prawdy o sobie, bo jej nie zna, chce zaś powiedzieć prawdę o swoim środowisku, od którego się oddzielił. Więc mówi — po swojemu.

W części pierwszej utworu jest on jeszcze bardzo niewypierzony. Chciałby zmienić świat, ale go nie zna, zaledwie przeczuwa działające tu siły, a razem z nim zaledwie przeczuwamy i my. Potworny nonsens francuskiego życia w przede dniu wojny ukazuje mu się jako tło romantycznej przygody. Narrator jeszcze nie sądzi, nie szydzi, nie obnaża — daje się unieść liryzmowi młodości. Prokuratorem i sędzią staje się dopiero w części drugiej.

Ale tu — wątpliwość zasadnicza. Staje się prokuratorem i sędzią — kto? Ów trochę neurasteniczny, trochę dziecinny typ, wyżywający się ciągle obok „zasadniczych", niejako ideowych zaczepek, także i w „pobocznych" zaczepkach: wyciąganie języka do bliźnich. Czytelnik jest w kłopocie, czy świadectwo wystawiane środowisku jest zgodne z prawdą, czy też odbite w przekornej wyobraźni naszego swawolnego Dyzia? Dygat pozostawia to pytanie do rozstrzygnięcia czytelnikowi, sam zaś chce go przede wszystkim bawić.

Powieść przerośnięta jest partiami humorystycznymi i groteskowymi, więcej nawet, one tworzą właściwą jej tkankę. O rodzaju tej groteski wspominałem już: u podłoża jej był zamiar realistyczno-satyryczny, który w ustawiczny żart przerodził się z nadmiaru dyspozycji humorystycznych autora. Cała plejada ośmieszanych zawzięcie typów nosi piętno groteskowości: ojciec Narratora, Lola, babcia z „Quo vadis", hrabina N., staruszek wygłaszający poglądy o komunizmie, Asia i Kocia, Feliks, itd. itd.

Nawet postaci epizodyczne ukazane są w świetle nicującego je komizmu: poeta, który bez żadnego ostrzeżenia wyjmuje wiersze i czyta; profesor Kubalski nie znajdujący nabywców na ciastka; naczelnik stacji goniący za czubatką; właściciele kiosków — drzemiący lub jedzący zupę. Są wśród tych groteskowych postaci typy udane, np. para: hrabina N. — ciotka Walerka, ale są i poronione, np. profesorowie. Ich rozmowy, zwłaszcza ostatnia z Narratorem, wprowadzają ton nieprzyjemny. Tymczasem Narrator usiłuje nadać im reputację tęgich kpiarzy!

Szczególnie zaciekle tropi Narrator i wyszydza cechę, którą zwykło się uważać za narodową, a która okazuje się tylko klasową: cierpiętnictwo, traktowanie wojny jako „pysznej zabawy", po której odbyciu można się domagać palmy męczeństwa.

W udzielonym wywiadzie *(loc. cit.)* Dygat oświadczył, że starał się pogodzić charakter społeczny postaci z komentarzem socjologicznym. Jest to ogólnie zwana w dzisiejszej krytyce socjologiczna konstrukcja losu. Ale satyryczno-groteskowy sposób ujęcia przesądził, że postacie żyją ledwie paru mocno naszkicowanymi rysami. Żyją — ale w sposób niepełny. Poruszają się jak marionetki pociągane za jeden zawsze sznurek. Zapewne — na groteskę to dość. Na socjologiczną konstrukcję losu za mało.

4.

Tę jedną, lub co najmniej parę „cech zasadniczych" postaci rysuje autor przez stosowanie prostego zabiegu technicznego —

powtórzenia sytuacji i powtórzeń werbalnych w dialogu. W tym jest Dygat niezrównany: każda z postaci ma swój własny język i w nim się najlepiej charakteryzuje. Przy sposobności powtórzeń jest też usmażona i druga pieczeń: efekt komiczny.

Spojrzenie Narratora nicuje nie tylko ludzi, czyniąc z nich rozśmieszające figurki, ale i cały świat rzeczy i stworzeń. Można tu mówić o jakimś pankomizmie przyrody, zwierząt, ruchu. Przykłady:

„...na zachodzie kłębiły się dymiaste chmury, chlapało błoto, prosiak wyleciał z kwikiem przez dziurę w płocie i z triumfem zanurzył się w kałuży..." — to znowu — „Kościelny zegar w Pruszkowie uderzył dwa razy z przesadną godnością w nazbyt wygórowanym mniemaniu o swym znaczeniu...", a organy w kościele „szalały upojone marszem, jak żarłok, który się dorwał do suto zastawionego stołu".

Cechuje niekiedy styl Dygata pozór niedbałości, rzekomego pisania od niechcenia, aby zbyć. Taki styl szuka jednak usprawiedliwienia w efektach ubocznych: komicznych, jak np. w streszczonej rozmowie Narratora z dawnym kolegą szkolnym (w cz. II), której „naiwna" składnia rzuca na kolegę odblask śmieszności; lirycznych, kiedy Narrator powie np. o Lidce, że siedząc nad rzeką „rozgrzebywała patykiem jakieś wodne sprawy". Trzeba jednak zaznaczyć, że poza usprawiedliwionymi, jak powyżej, wypadkami nie spotykamy niedbałości. Przeciwnie, ewolucja stylu Dygata poszła w kierunku wygładzenia i umuzycznienia frazy.

Liryzm, tak często dochodzący do głosu w części pierwszej, ma swoje charakterystyczne chwyty. Pierwszym jest umieszczenie w jednej frazie zdaniowej treści psychicznych i obrazów świata zewnętrznego. Powstają stąd obszerne okresy tego typu jak np.: „Zapragnąłem życia i użycia, świat się i tak nie zmieni, ale ja sobie pohulam tymczasem, dymy z kolei Gare— —Montparnasse snuły się nad domami na d'Odessa, mieniły się w różowym blasku zachodzącego słońca..." itd.

Jest to pewna odmiana używanego i nadużywanego przez modernistycznych pisarzy lirycznego chwytu obdarzania krajobrazu ładunkiem psychicznym. Różnica cała leży w tym, że tu umieszcza się oba człony: psychiczny i krajobrazowy, w jednej frazie, ale w niezależnych zdaniach. Niech sobie czytelnik sam zestawi. Na tej swobodzie zasadza się wyższość odmiany nad chwytem pierwotnym. (Nie jest ona zresztą wynalazkiem Dygata, u Iwaszkiewicza np. spotykamy ją często).

Innym chwytem lirycznym jest wprowadzanie realiów świata zewnętrznego — już bez rzutowania ich na sprawy psychiki, ale jakby na dowód autentyczności opowiadania. Np. gdy po opisie pożegnania z Dodo Narrator powie nagle: „Jechał ulicą głośno dudniąc wózek z mlekiem". Liryzm ten, to wzruszenie nad wspomnieniem: wózek z mlekiem jako dokument chwili. Zresztą w stosowaniu tych zabiegów jest Dygat bardzo powściągliwy. Ton liryczny brzmi *unisono*. Nigdzie opisy wrażeń, duchowych przeżyć, nigdzie krajobraz nie zajmują wiele miejsca. 190 stron powieści wypełnia akcja, dzianie się, a trzeba to podkreślić jako wyjątkowe i osobliwe zjawisko prozy nadmiernie zaniedbującej wagę akcji powieściowej.

5

Która warstwa powieści jest najbardziej wartościowa — spytano w wywiadzie autora, a ten odesłał pytka po odpowiedź do krytyków.

Najcenniejszą warstwą *Pożegnań* stanowi na pewno nurt humoru wciskający się w każdą scenę, błyszczący w każdym spojrzeniu, podmywający każdy sąd. Zniewala on do śmiechu i rozbawienia, do którego temat sam bynajmniej by nie zachęcał. Jakże się śmiać nad trumną?

Humor „jako taki" jest cenny. Ale groteska, będąca nie ogólną przemianą proporcji świata, ale zbyt jaskrawym przeciągnięciem tylko pewnych linii — niewielkie spełnia zadania. Nie przekonuje — tylko rozśmiesza. Jest dobrym dowcipem, ale w służbie analizy i komentarza socjologicznego może zawieść.

Z drugiej strony cechy, które już sygnalizowaliśmy: fabularność, powściągliwość w analizach duchowych, w opisywactwie, socjologiczna interpretacja psychologii — wskazują, że *Pożegnania* są jedną z jaskółek przygotowującej się w literaturze przemiany.

Czy są dobrą książką dla czytelników klubu *Odrodzenia*? Moje skromne przypuszczenie mówi, że tak, gdyż *Pożegnania* są dobrą rozrywką i dobrą lekturą.

Andrzej Wasilewski

CZŁOWIEK I DEMIURGOWIE

KAZIMIERZ TRUCHANOWSKI: *Zmowa Demiurgów*, powieść. Przedmowa Kazimierza Czachowskiego, rysunki i winiety Bronisława Linkego. Wydawnictwo E. Kuthana, Warszawa—Kraków 1947; str. 233 i 3 nl.

Krytyków i czytelników *Zmowy Demiurgów* wprowadza często w błąd postać pana Adolfa, karykaturalny portret literacki Hitlera. Sama obecność tej postaci w utworze i sposób potraktowania jej przez autora wzbudzają w wielu przekonanie, że nowa powieść Truchanowskiego jest ujętym w formę fantastyczno-groteskową pamfletem na hitleryzm. Nie jest to jednak słuszne postawienie sprawy. Nie jest słuszne również traktowanie *Zmowy Demiurgów* jako satyry na wszelki totalizm, którego symbolem jest pan Adolf.

Takie rozumienie zubaża powieść, zwęża jej ideologię, na plan pierwszy wysuwa to, co w niezwyczajnym tym utworze jest tylko protestem i negacją. Elementy satyrycznej groteski nie tworzą jednak zasadniczej struktury dzieła ani w jego wyglądzie formalnym, ani też ideologicznym.

Zwróćmy uwagę na sam styl powieści. Nie jest to bynajmniej rzeczowy styl pamfletu, który utrafia szyderczo w sedno, pokazując rzeczywistość w całej jej surowej nagości, odartą z wszelkich przebrań i masek. Styl Truchanowskiego jest naładowany poezją — i to poezją rozmarzonej fantastyki, tkającej swoje obrazy z własnych zasobów i własnych pragnień na kanwie najbardziej typowych i w możliwie najbardziej uschematyzowanym i zdawkowym wyglądzie pokazanych realiów. Przeczytajmy uważnie taki choćby fragment:

„Bursztynowe popołudnie promieniami zjesienniałego słońca pieściło miasto i okolice. Po chodnikach i skwerach spacerowali mieszkańcy naszego miasta, zalani złotym światłem, które w niezwykle łagodny sposób odbijało się od wypolerowanych ze starości murów kościoła Łaski Ducha Świętego. Przed portykiem, tworząc malowniczą grupę, stali żebracy, prosząc przechodniów o parę groszy jałmużny, kłócąc się w międzyczasie i plotkując. Opodal banda uliczników z krzykiem i gwizdaniem gnała w stronę Jaskrzanki, migocącej w perspektywie ulicy perłowym pasmem wody. Miejski park kusił urokiem swych późnych barw i zapachem spalonego kadzidła. Świerkowa aleja, na której dnie leżał kobaltowy cień, zachęcała do odbycia wędrówki w perspektywiczne dale, w błogą okolicę zamiejskich terenów, błękitnych i niebieskich, a w najdalszych odległościach przesłoniętych welonem zwiewnych mgieł" (str. 53, 54).

Zwróćmy uwagę na podkreślenia: wyjaśniają nam one dostatecznie, jak zdecydowanie przeważają w tym opisie tendencje do organizowania nastroju czytelnika nad tendencjami formowania wyraźnie i konkretnie zarysowanego obrazu. Można tu wprawdzie zrobić uwagę, że mamy w tym wypadku do czynienia z opisem natury, a tego rodzaju opisy stanowią zazwyczaj serwitut poetyczności nawet w powieściach najniewątpliwiej realistycznych. Tak, ale w opisie Truchanowskiego chodzi nie tylko o efekt poetyczności, ale także — a nawet może przede wszystkim — o wizyjność. Kiedy czytamy przytoczony powyżej fragment na tle całego rozdziału, z którego został wyjęty, orientujemy się z łatwością, że wizyjna, niematerialna uroda owego jesiennego krajobrazu nie tyle jest jego cechą rzeczywistą, ile raczej projekcją nań stanu duchowego bohatera powieści, pragnącego uciec z gwaru miasta w spokój i piękno natury.

Nie inaczej przedstawia się sprawa w opisie miasta: „Jad miasta działa na mnie jak narkotyk, czuję to wyraźnie. Jad ten gromadzi się w izbach Ratusza jak ciężki, duszący opar, który spływa na miasto, dławiąc i zatruwając życie biednych jego mieszkańców, niewolników kamienic i bruków. Tylko ludzie od szeregu pokoleń będący mieszkańcami miasta, jak ptaki zrodzone w klatkach, nie odczuwają braku powietrza, nie są wrażliwi na zgniliznę i nie reagują na jej czad, — rozwijają się i wegetują tak, jak plankton w zgniłej i cuchnącej wodzie. Nic dziwnego, że tu jak szczury lęgną się burmistrzowie, ponurzy, zakopceni Demiurgowie, których wyłączną domeną jest Ratusz, jego sprawy, jego intrygi, akta, ustawy i kodeksy, lepkie od brudu, zatęchłe i pokryte warstwami kurzu. Jestem przekonany, że pan Adolf z swoją ponurą duszą pełną sprzeczności i żądzy wyhodował się i wzrósł na ro-

jącym się od różnego rodzaju bakterii, zakwaszonym i rosnącym jak niedobre ciasto humusie miejskim.

Takie same cechy nosi i budownictwo miejskie — owe wieże Babel. One piętnują mieszczan piętnem tak charakterystycznym i trwałym, że usunąć je jest rzeczą prawie niemożliwą. Budownictwo miejskie ma ambicje do pięcia się wzwyż, do anemicznej wybujałości, które cechują rośliny zbudzone do życia w ciemnych piwnicach, lub schodzi w dół, do podziemi, jak szczury i robaki..." (str. 71, 72).

Autor (a właściwie bohater) nie od realnych obrazów przechodzi do jakichś wniosków, uogólnień, ale przeciwnie: wychodzi od zreferowania własnego stanu duchowego i z tej prywatnie psychologicznej perspektywy poczyna dopiero charakteryzować dookolną rzeczywistość, przybierającą dzięki temu jakieś niepokojąco apokaliptyczne kształty i jakiś ponuro niesamowity sens. A trzeba tu podkreślić, że ten obraz miasta nie może już być stanowczo traktowany jako luźny epizod powieści: stanowi on ważne ogniwo jej konstrukcji fabularnej i ważny element jej struktury ideologicznej.

Idźmy jednak dalej: w jednym z rozdziałów *Zmowy Demiurgów* opisuje autor wizytę Adama u pana Adolfa, przygotowującego do publicznego wykonania swoją *Rapsodię bohaterską*. Adam przez pewien czas obserwuje pana Adolfa niedostrzeżony przez niego i widzi, jak ten mozoli się nad swoim muzycznym dziwolągiem.

„Pan Adolf początkowo wolno i z dobrotliwą uwagą ciągnął smyczkiem po grubych strunach i cały wysiłek kładł na wydobycie z basu tonów wysokich. Rozczapierzając szeroko palce, brał oktawy, mozolił się i próbował; pot wystąpił mu na czoło rzadkimi, lecz wielkimi kroplami. Lecz gdy mu się nie udawało wydobytych z trudem wysokich, ale przykrych tonów połączyć w znaną sobie i jakby wirującą nad nim melodię, ogarniała go pasja i smyczek w dłoni jego zmieniał się w narzędzie tortur; bił nim po strunach z taką pasją, że bas zamiast tonów łagodnych, wydawał dźwięki jeszcze bardziej chrapliwe, jeszcze bardziej przykre i bolesne zarazem. Pan Adolf opamiętywał się na moment i znowu ciągnął smyczkiem z dobrotliwą uwagą. Lecz gdy tylko struny jęknęły fałszywą nutą, która w niwecz obracała całą konstrukcję drgającej w powietrzu melodii, pan Adolf ulegał nowemu paroksyzmowi pasji" (str. 91).

Pan Adolf ze *Zmowy Demiurgów* jest niewydarzonym muzykiem, tak jak Adolf Hitler był niewydarzonym malarzem. Wystarczy jednak wczytać się uważnie w zacytowany fragment, by zorientować się, że autorowi nie chodzi jedynie o złośliwą aluzję do artystycznych ambicji zarówno fikcyjnej postaci literackiej, jak i jej rzeczywistego pierwowzoru. Rapsodia ma wyrazić w formach muzycznych samo *principium* ideologii pana Adolfa, podstawowe założenia światopoglądu, który pragnie on narzucić całej ludzkości. Rzecz jasna, że nawet dla muzyki programowej podjęcie się takiego zadania (tłumaczenia pojęć, ba! całego systemu filozoficznego na język dźwięków) jest czymś absolutnie nie do pomyślenia. Nie chodzi tu jednak o żaden możliwy do pomyślenia utwór muzyczny.

Rapsodia — to tylko symbol wewnętrznego chaosu pana Adolfa. I dlatego autor w cytowanym powyżej fragmencie nie dąży bynajmniej do ośmieszenia nieudolnego muzyka, ale buduje obraz nasycony koszmarnością, obraz bezsilnej męki zbrodniczego obłąkańca, usiłującego ze swego obłąkania uczynić podstawowe prawo dziejów świata. Nie, tu nie ma prostego wyszydzenia; Truchanowski demaskuje w tej scenie nie maniaka-pseudoartystę, ale maniaka-twórcę historii, a przy tym nie usiłuje go pomniejszyć i zbagatelizować: pan Adolf cierpi rzeczywiście, lecz jest to cierpienie, które ani jemu, ani nikomu nie pomoże, na nic się nie zda. „Twoje rozpacze i westchnienia", — jak mówi Krasiński w *Nieboskiej* (także pod adresem nieudanego artysty), — opadają na dół i szatan je zbiera, dodaje w radości do swoich kłamstw i złudzeń".

Odkrywa się tu nam nowa warstwa powieści Truchanowskiego: jej symbolizm. Symbolizm ten już zupełnie wyraźnie wypowie się np. w próbie stworzenia słownej transkrypcji innego utworu muzycznego: *Etiudy rewolucyjnej* (str. 60), za pomocą której chce Adam wyrazić swoją „prawdę" — przeciwstawną „prawdzie" pana Adolfa. „Sprawy ostateczne" w powieści Truchanowskiego przemawiają wyłącznie mową symbolów, tylko poprzez symbole odsłania się ideologiczne „dno" powieści.

Liryzm, ku fantastyce obrazu dążący metaforyzm wypowiedzi i symbolizm — oto charakterystyczne cechy stylu Truchanowskiego. Że nie ku pamfletowi zmierzać

musi powieść tak właśnie pisana — to jasne. Jakiż więc jest punkt dojścia autora?

Trzeba tu zacząć od stwierdzenia, że głównym bohaterem *Zmowy Demiurgów* jest nie kto inny, lecz właśnie Adam, i że jego dzieje stanowią zasadniczą osnowę powieści. Adam jest z pozoru typem życiowego niedołęgi; nieuważny czytelnik może nawet dojść do wniosku, że rola tej postaci sprowadza się do spełnienia funkcji narratora.

Ale zważmy: Adam jest praktycznie niczym, „obywatelem honorowym", którego wyśmiewają nawet ulicznicy miejscy, ale jednocześnie jest przedmiotem ogólnego zainteresowania i uwagi. Burmistrz np. aranżuje wspólnie z dziewczętami zasadzkę, by nie dopuścić do wyjazdu (wyjazdu nb. w zaświaty) Adama z miasta i stara się za wszelką cenę wciągnąć go do pracy na Ratuszu, gdzie zresztą nie przydziela mu żadnej określonej funkcji. Jeszcze osobliwsze wydaje się to, że aczkolwiek Adam jest osobistym wrogiem pana Adolfa, ten po dojściu do władzy nie „likwiduje" go, ani nawet nie podejmuje żadnych prób w tym kierunku. Od tej strony sprawa zdaje się wyglądać dosyć zagadkowo.

W *Zmowie Demiurgów* raz po raz znajdujemy sceny nawiązujące do znanych powszechnie wypadków historycznych (spalenie *Etiudy rewolucyjnej* — palenie książek pisarzy antyhitlerowskich, pożar hotelu Royal — pożar Reichstagu, itp.). Kiedy jednak próbujemy ułożyć z tych scen jakiś jednolity wątek powieściowy, jakąś akcję historyczną czy „polityczną" utworu, okazuje się to niemożliwe. Pomiędzy poszczególnymi scenami tego typu nie ma bezpośrednich powiązań pragmatycznych, zjawiają się one w powieści jako epizody, kompozycyjnie ważne jedynie dla wątku, który nazwać by można „akcją Adama", i to tylko jako zewnętrzne inspiracje duchowych przeobrażeń bohatera.

Wbrew pozorom zarówno postacie tak niby niewątpliwie portretowane z natury jak pan Adolf, czy towarzyszący mu kulawy karzeł, w którym z łatwością rozpoznajemy karykaturę Goebbelsa, są z punktu widzenia ich roli w powieści traktowane na równi z postaciami fantastyczno-symbolicznymi, jak np. Burmistrz czy dziewczęta. Okazuje się więc ostatecznie, że wszystkie postacie powieści i wszystkie jej wątki są funkcjonalnie podporządkowane postaci i dziejom Adama, dzieje te zaś — to historia wewnętrznych przemian bohatera, rozpoczętych nieudaną ucieczką z miasta, a zakończonych wędrówką po gruzach tegoż miasta w towarzystwie tajemniczego nieznajomego, jak możemy się domyślać — konspiratora antyfaszystowskiego, czynnego wroga totalistycznej dyktatury.

Kimże więc jest Adam? Musimy znaleźć odpowiedź na to pytanie, zanim rozważymy sens historii Adama, opowiedzianej w *Zmowie Demiurgów*. Zwróciliśmy już poprzednio uwagę na dziwną rolę Adama w życiu miasta i Ratusza oraz na jego nietykalność, dzięki której unika on w dziwny sposób zemsty ze strony pana Adolfa i jego sympatyków, choć raz po raz zadziera z nimi. A samo imię Adam? Zważmy, że z innych bohaterów powieści znamy po imieniu tylko pana Adolfa. Pozostałe jej postacie występują bezimiennie (Burmistrz, dziewczęta, „jowialny pan" (Churchill), Radni itp.) [1]). Adam i Adolf wyodrębnieni są z ogółu bohaterów jako dwaj antagoniści, z których pierwszy ma reprezentować dobroć i pozytywną moralność, drugi — wszelkie zło i przewrotność natury ludzkiej. Ale powiedzieć o Adamie, że jest on personifikacją pojęcia „człowiek dobry", to znaczyłoby zbyć tę postać niewiele mówiącym ogólnikiem. Charakterystykę jego musimy naszkicować nieco obszerniej.

Przede wszystkim: Adam jest człowiekiem „bez przydziału", nie wiemy właściwie, jaki jest jego zawód, jaka sytuacja społeczna. Ale wiemy równocześnie, że zależy na nim Burmistrzowi i panu Adolfowi, bo znajdujemy w powieści wyraźne poszlaki, iż podjęta przez starszego kelnera z kawiarni „pod Trytonami" próba pogodzenia obu tych antagonistów byłaby przyjęta z zadowoleniem przez umuzykalnionego naśladowcę Napoleona i Cezara. Ta niezwykła sytuacja towarzyska i socjalna Adama mówi sama za siebie: jest on „człowiekiem zwykłym", owym bezimiennym „każdym" ze średniowiecznego moralitetu, jest on przedstawicielem zbiorowej świadomości i zbiorowego sumienia, i dlatego właśnie jest kimś, z kim trzeba się liczyć, chociaż równocześnie próbuje się go wodzić za nos możliwie jak najdłużej (jak to właśnie w powieści praktykuje Burmistrz z pomocą dziewcząt, symbolizujących zło-

[1]) Wymienia się w powieści co prawda także imię Matyldy, ale jedynie dlatego, że — podobnie jak postać Ojca — wiąże ona cyklicznie *Zmowę Demiurgów* z poprzednimi powieściami Truchanowskiego; w akcji jednak Matylda żadnego udziału nie bierze.

dne uroki życia pogodzonego z istniejącym stanem rzeczy, skłaniającego się ku wygodnemu sybarytyzmowi i schlebianiu gustom chwili).

Równocześnie reprezentuje Adam stały i bezwzględny protest przeciw przewadze systemu, kodeksu, organizacji nad żywym człowiekiem. Stąd wynika jego konflikt z Burmistrzem i Radnymi, stąd jego charakterystyczna rozmowa z owym ratuszowym Demiurgiem, w której Adam opowiada historię opuszczonego pieska, ażeby za jej pomocą dotrzeć do ludzkiej wrażliwości Burmistrza, ażeby w polityku, mężu stanu odszukać żywego człowieka, posiadającego serce i sumienie (str. 86—89).

Nie należy upatrywać w tej niechęci Adama do polityki i istniejących form życia państwowo-politycznego skłonności do jakiegoś moralistyczno-estetycznego anarchizmu, czerpiącego swoje natchnienie zarówno z Tołstoja jak i z Ruskina, gdyż później — po upadku Burmistrza — Adam zmieni gruntownie swój stosunek do niego, będzie jedynym człowiekiem w mieście okazującym żywą i serdeczną sympatię dla strąconego Demiurga, oraz on to właśnie, dawny buntownik przeciw istniejącemu porządkowi rzeczy, zostanie dobrowolnym strażnikiem opuszczonego Ratusza.

Ta decyzja Adama nie wynika bynajmniej z moralnego minimalizmu, który doradza wybierać mniejsze zło, skoro nie istnieje możliwość wybrania czegoś, co byłoby bezsprzecznie dobre. Nie, Adam nie wyzbywa się swego sceptycyzmu w stosunku do Ratusza i jego Demiurgów, ale staje na stanowisku ciągłości tradycji kulturalnej, zagrożonej nihilistyczną rewolucją pana Adolfa. W Adamie żyje poczucie historii rozumianej jako stałe sumowanie się dorobku ludzkiej myśli i ludzkiej pracy, poczucie przeciwstawne katastroficznej koncepcji pana Adolfa, który chce wszystko zastane zburzyć do gruntu, by zacząć budować najzupełniej od nowa. W imię tego poglądu Adam będzie trwał w Ratuszu jako strażnik zgromadzonego dotychczas dorobku ludzkości, będzie trwał, aż wreszcie nawiąże się na nowo zerwana przez pana Adolfa ciągłość historii miasta, aż dobrowolnego więźnia wyprowadzi na świat, ku nowemu życiu, bezimienny bohater walki z faszystowską tyranią, człowiek, który swoim czynem przeciwstawił się anarchii rozpętanych żywiołów obłędu i zniszczenia i w walce z nimi odniósł zwycięstwo.

Adam nie jest więc bohaterem, który ma przetwarzać świat, jest on natomiast tym, który ma w momentach najcięższych nawet prób ratować wiarę w sens świata i historii. To jest jego najważniejsze zadanie, o którym on sam mówi w słowach następujących: „Będę szedł swoją ścieżyną obok waszej drogi, niedaleko od was — może w pewnych chwilach przyda się wam moja obecność, zwłaszcza w momentach, gdy zawiodą was Burmistrzowie, którzy stoją na czele pochodu. Ja z boku będę czuwał nad wami i gdy krzykniecie z bólu, rozpaczy lub przestrachu, jak małe dziecko w nocy rozpalone gorączką, znajdę się obok was, podam wam rękę, abyście się nie bali ciemności i samotności. Gdy ktoś rękami będzie zasłaniał swe serce przed ciosem lub kulą, będąc w takich wypadkach bezradny, nie odparuję ciosu, nie powstrzymam kuli, lecz krzyknę mu: „Bracie, odwagi! Wiem, że to jest straszne, lecz nie trwa długo". Jeśli zostanę przy życiu, ucałuję jego oczy, ręce i serce, broczące krwią, i zamknę mu powieki. Ja zawsze będę tuż obok was". (Str. 137).

Tak zarysowana jest postać Adama, pojęta przez autora zarazem jako symbol i jako postulat, jako wzór przeciwstawny temu, który reprezentuje pan Adolf. Warto teraz spojrzeć na tę postać wmontowaną w fabułę powieści, ukazaną nie statycznie, ale w dynamice działania.

Zapoznajemy się z Adamem w momencie, gdy chce on uciec z miasta, uciec bodaj w śmierć od życia, które nuży go i męczy. Ucieczkę tę udaremni Burmistrz przy pomocy dziewcząt i wciągnie Adama do pracy na Ratuszu. Teraz widzimy, jak Adam podejmuje bezskutecznie próby reformy życia na Ratuszu, reformy życia polityczno-państwowego, i jak nie udają się wszystkie jego usiłowania w tym kierunku. Ostatnia i najważniejsza z tych prób: przybranie krzywymi zwierciadłami sali, w której ma odbyć się nocna narada Burmistrzów mająca na celu wyzwolenie ich człowieczeństwa spod maski pozorów i urzędowej godności, chybia zupełnie celu i przyśpiesza ostateczny kryzys: upadek Burmistrza i zwycięstwo pana Adolfa.

Adam więc, tocząc walkę na dwa fronty: ze zrutynizowaną i bezduszną machiną ratuszowej biurokracji oraz z zagrażającym miastu brutalnym chamstwem pana Adolfa, ponosi zupełną klęskę. W czasie tej podwójnej kampanii Adam szuka pomocy i ratunku w przeszłości: u „jowialnego pana" (stylizowany portret Churchilla), który toczy walkę z panem Adolfem według najlepszych zasad dawnej strategii ratuszowych Demiur-

gów, i w książkach France'a, które uczą odnosić się z chłodnym sceptycyzmem i litościwą pogardą do głupstw i szaleństw rodzaju ludzkiego. Za dewizę przyjmuje Adam ulubione powiedzenie owego jowialnego pana o twarzy Churchilla: „Młyny boże pracują powoli", postanawia trwać i przetrwać zamknięty w opuszczonym, zaniedbanym Ratuszu. Ale szaleństwo pana Adolfa utrudnia mu wytrwanie w stoickim spokoju: wobec potworności zbrodni, jakich ofiarą pada ludność miasta, kruszy się sceptyczna filozofia Adama, coraz silniej ulega zwątpieniu i rozpaczy.

Wtedy dopiero znajduje źródło pociechy i nadziei w widoku postaci nieznanego nocnego wędrowca: „Aleją Burmistrzów w stronę ul. Wszystkich Świętych kroczył samotny człowiek i miał pochylone ramiona, jakby dźwigał na nich wielki ciężar. Szedł powoli pokonując z uporem siłę wiatru. Ujrzałem go w mdłym świetle gazowej latarni. To jest bohater! — pomyślałem..." Ten właśnie bezimienny bohater nieustępliwej i bezwzględnej walki z dyktaturą pana Adolfa samym swym widokiem ocali Adama od załamania się, i on właśnie przyjdzie, aby wyprowadzić go z Ratusza rankiem po strasznej burzy, która obróciła w perzynę miasto, ale zarazem zmiotła z powierzchni ziemi Burmistrza-tyrana wraz z całą hordą jego żołdaków i wielbicieli.

Droga Adama wiedzie więc od utopistycznych prób poprawiania istniejącego porządku rzeczy, prób, co do których skuteczności on sam miewa poważne zastrzeżenia (np. jego refleksje po rozmowie z Burmistrzem w sprawie spalenia *Etiudy rewolucyjnej* przez pana Adolfa), do czynnego zdeklarowania się po stronie tych, którzy podjęli bezwzględną walkę z rozpanoszonym zbrodniczym wariatem. Przedstawiona w powieści droga Adama, to droga od uświadomienia sobie pewnych problemów życia społecznego w sposób oderwany do podjęcia ich realizacji w konkrecie przeżywanej aktualnej rzeczywistości. Adam wychodzący na ruiny zburzonego miasta w towarzystwie bezimiennego zwycięzcy adolfowej tyranii jest już wyzwolony zarówno spod sugestii lęku przed operetkowym demonem z wąsikiem *à la* Hitler, jak i spod sugestii czysto statycznej ideologii „trwania i przetrwania". Ostatnie słowa, z jakimi zwraca się do nas Adam z kart *Zmowy Demiurgów*, mówią o matce karmiącej dziecko na gruzach i o wschodzącym ponad gruzami słońcu.

Trafnie wymienia Kazimierz Czachowski w słowie wstępnym do *Zmowy Demiurgów* wśród poprzedników autora tej książki Tadeusza Micińskiego. Liryczno-symboliczna powieść Truchanowskiego wywodzi się niewątpliwie z dziedzictwa duchowego tamtej epoki. I to nie tylko formalnie. Pod grą symbolów, zamykającą w sobie problematykę świadomie przez autora zamierzoną, pulsuje inna jeszcze problematyka: problematyka przezwyciężania inteligenckiej samotności, problematyka budowania mostów pomiędzy własnym „ja" a światem zewnętrznym, tak charakterystyczna dla twórczości Micińskiego, Żeromskiego, Wyspiańskiego, Brzozowskiego.

Nie może tu jednak być mowy o epigoństwie, gdyż u Truchanowskiego problem postawiony jest inaczej. Samotność inteligencka w okresie Młodej Polski była faktem zastanym, który niepokoił, prowokował do szukania łączności z szerszym kręgiem społecznym obejmującym jednostkę. U Truchanowskiego u podstaw poczucia samotności leży kryzys ostatniej wojny światowej, który wstrząsnął zaufaniem człowieka do człowieka, ujawnił w całej potworności prawdę starej maksymy: *homo homini lupus est*. Sytuacja w abstrakcyjnym swoim schemacie analogiczna, ale bez porównania bardziej nasycona tragizmem. *Zmowa Demiurgów* jest próbą autoterapii, próbą wyzwolenia się z koszmaru lat okupacji, i dlatego właśnie nie jest artystycznie i ideologicznie „bezinteresowna", oczyszczona z elementów kryptoautobiografii.

Trzeba jednak stwierdzić, że jeżeli chodzi o przezwyciężenie owego „czadu" wojny, na którego temat drukował kiedyś Truchanowski kapitalny szkic w *Życiu Literackim*, *Zmowa Demiurgów* spełnia swoje zadanie. Dzieje się to głównie dlatego, że autor największy nacisk położył na formułowanie poprzez postać i dzieje Adama postawy życiowej i ideologicznej przeciwstawnej postawie pana Adolfa, która w tej konfrontacji nabiera cech monstrualnie groteskowych, traci wszelkie pozory tragicznego demonizmu, a obnaża do dna swoją nędzę i pokraczność.

Zmowa Demiurgów, przewyższająca zdecydowanie poprzednio wydane powieści Truchanowskiego, świadczy o stałym rozroście i krzepnięciu jego talentu. Jest to pisarz, który nie przestaje być młody, aczkolwiek do literatury wchodził już nie jako młodzieniec.

Stefan Lichański

„OCZEKIWANIE" BROSZKIEWICZA

JERZY BROSZKIEWICZ: *Oczekiwanie.* Spółdzielnia Wydawnicza „Wiedza", Warszawa, 1948; str. 295 i 3 nl.

I

Tytuł powieści Jerzego Broszkiewicza przylega (myślę, że można zaryzykować taką hipotezę) do jednej z idei artystycznych utworu. Ostatecznie można sobie wyobrazić dzieło literackie bez tytułu. Są wiersze, nad którymi autor stawia trzy gwiazdki nie dlatego, by mu zabrakło pomysłu — lecz że brak tytułu może być w tym wypadku tytułem najwłaściwszym. Innym znów razem tytuł jest jakby „zasłoną dymną". Pojęcie, obraz, idea zawarte w tytule skierowują czytelnika na c e l o w o fałszywy trop; niespodzianka, którą autor nam gotuje, jest wtedy ważnym czynnikiem artystycznego przeżycia. Np. w *Kaprysach Marianny* Musseta bohaterka bynajmniej nie jest kapryśna; to los obchodzi się z nią kapryśnie i okrutnie. W ogóle tytuły romantyczne bywają zwodnicze. Czy *Pan Tadeusz* naprawdę opowiada nam dzieje Tadeusza Soplicy? Czy w Lilli Wenedzie nie chodzi o coś więcej jak o Lillę? Albo w *Pierścieniu wielkiej damy,* albo w *Lorenzaccio?* Kto chciałby pisać recenzje z owych arcydzieł biorąc tytuł za wskazówkę, prędko zawisłby w próżni.

Wróćmy jednak do sprawy Broszkiewicza. Dygresja była nam potrzebna, by wyjaśnić nasuwające się spostrzeżenia. Oczekiwanie... W normalnych, pokojowych, uporządkowanych warunkach życie nasze rzadko bywa oczekiwaniem. Jesteśmy podobni do neurastenika, który nie śmie spoglądać na zegarek — ponieważ przeczuwa spóźnienie. Życie nasze jest ustawicznym wyścigiem: godziny, dni, lata, ambicje, obowiązki, wszystko przegania nas w oszałamiającym biegu. Kisielewski w swym *Sprzysiężeniu* dał znakomitą analizę psychologiczną tego zmagania — i wynikającego zeń niepokoju.

Otóż w czasie ostatniej wojny dla milionów ludzi zjawisko to obróciło się nagle — o 180°! Czas przestał być wrogiem — stał się jakimś paradoksalnym sprzymierzeńcem. Skazani na bezsilność i bezczynność mieszkańcy okupowanych krajów i synowie prześladowanych ludów wypełniali sobie życie — oczekiwaniem. Każdy dzień przeżyty i każda noc przespana zdawały się krokiem na drodze ku wyzwoleniu.

Broszkiewicz spojrzał z tej właśnie perspektywy na przeżycia jednego z owych prześladowanych ludów: na los Żydów. Powieść jego przepływa jak wstęga czasu. Ramami chronologicznymi *Oczekiwania* jest jeden rok: rok 1942, w „przeznaczonej na ghetto" dzielnicy we Lwowie. Dla podkreślenia owego rytmu czasowego, który wypełnia utwór i pozostaje nam głęboko w pamięci, autor dzieli powieść na 12 rozdziałów, z których każdy jest ujęty chronologicznie i zatytułowany nazwą jednego z miesięcy. To nie jest tylko trick literacki, ani środek pisarskiej techniki! Każdy miesiąc — to nowy etap, praca przyrody splata się z losem człowieka, ocieplenie łączy się z rozkwitaniem nadziei i wszystkimi składnikami wielkiego psychologicznego procesu — oczekiwania. A znów powrotny napływ zimna jest zamknięciem cyklu i dopełnieniem ostatecznej tragedii.

I tutaj otwierają się nowe perspektywy. Wspominaliśmy o czekaniu jako czynniku nadziei i ratunku. Ale dla innych, jasno patrzących w przyszłość bohaterów powieści oczekiwanie jest nie tylko przeczuciem, ale i świadomością nieubłaganej zagłady. Zagłady indywidualnej, a zarazem zagłady zbiorowej, likwidacji całego środowiska. Dla ludzi myślących w ten sposób oczekiwanie w owym roku 1942 było czymś podobnym do niezapomnianej strofy z *Króla Ducha:*

...ani tę chwilę pojmiesz, odbieżony
Teraz przez świat, chwilę rozpaczy,
Gdy serce jak już zegar zatrzymany,
A ból godzinę zawsze jedną znaczy...

I oto powieść zaczyna się przeobrażać w ogromną dyskusję. Dyskusję nadziei i rozpaczy, optymizmu i pesymizmu, marzeń i rozsądku. Broszkiewicz ukazuje na tle tego zasadniczego sporu odmienność różnych psychik ludzkich, różnych organizacyj duchowych. Ludzie pochodzący z tego samego środowiska i znajdujący się w identycznej sytuacji — reagują najrozmaiciej. Różnica reakcji pozwala nam stwierdzić ich odrębność, ich nieskończoną wielokształtność. Jedni, wierząc głęboko w zasadniczą prawidłowość świata, okazują w gruncie rzeczy obojętność na swój los indywidualny — bo wierzą, że chwilowe zakłócenia nie mogą zapobiec ostatecznemu powrotowi harmonii. Taka jest — mniej więcej — postawa racjonalisty dr Grossmeiera. Inni, jak

przystojny i gruboskórny dr Stein, biorą rzeczy po prostu, praktycznie, bez komplikacji; łudzą się i są siebie pewni, a w ostatecznej godzinie myślą tylko o sobie z czysto biologicznym egoizmem. Inni nawet i w tej sytuacji nie tracą wiary w Boga i Jego wszechmoc. Inni wreszcie, jak główny bohater, Stefan, kompensują sobie wszystkie męczarnie i cały swój strach swoiście skonstruowanym aparatem wyobraźni, który pozwala w każdej chwili odsunąć na bok bolesną rzeczywistość. Ta właśnie postać Stefana jest jedną z najbardziej interesujących w powieści Broszkiewicza i świadczy niewątpliwie o twórczych zdolnościach młodego pisarza.

Konsekwencje psychologiczne postawy Stefana, zależności jego psychiki od praw fantazji są tutaj przemyślane do końca. Wyobraźnia jest początkowo kołem ratunkowym Stefana; ale ona właśnie staje się przyczyną jego ostatecznej zguby. Oczekiwanie wymaga cierpliwości, a cierpliwość nie może być sojusznikiem tak niespokojnej, błyskotliwej i lotnej wyobraźni. Niemal u samego brzegu ocalenia Stefan załamuje się nie mogąc znieść myśli, że ukrywający go Polacy z niepokojem liczą dni jego u•nich kryjówki. Jego wyobraźnia staje się przesadnie drażliwa. Jego poczucie honoru, jego ambicja — stają się wprost chorobliwe. Wyolbrzymia grożące mu niebezpieczeństwo. Ginie w końcu pod kulami niemieckiego patrolu na ulicy, samobójczo.

2

Broszkiewicz patrząc na tragedię Żydów z zewnątrz, wzrokiem jasnym, bystrym, przenikliwym, ale i głęboko litosnym — dostrzega różnorodność reakcyj indywidualnych organizmów duchowych. Ale dostrzega też pewne wspólne cechy tej reakcji i sprowadza je do wspólnego mianownika. Jest nim identyczna sytuacja psychologiczna, odrębność (zasadnicza, nie tylko odrębność stopnia) w stosunku do położenia innych narodów prześladowanych. I tu nasuwają się wątpliwości, o których powiemy za chwilę.

Różnicę między sytuacją Żydów a Polaków formułuje bohater książki Stefan w rozmowie z dwoma przyjaciółmi, Wilczkiem i Janowskim, którzy przyszli go odwiedzić dla okazania solidarności i sympatii:

„Wy — mówi Stefan — prowadzicie walkę i idziecie na śmierć z tym, że możecie sobie jeszcze pozwolić na wiersze, na patetyczną poezję i patetyczne doktrynerstwa. Wy już macie taką poezję od 150 lat... Wy macie husarzy, ułanów, czwartaków, sztandary i napoleońskie tradycje. 1000 lat wolności, a potem niewolę pełną bitew i poezji. Waszą ojczyznę opuszczali żołnierze i poeci. A my? (i tu się uśmiechnął, by ukryć gorycz i zwiątpienie). My straciliśmy ojczyznę i wypędzono nas wszystkich z niej 1000 lat temu. Aż się zgubiła. A teraz?... Jest zasada wspólnoty, są argumenty ogólnoludzkie i są doktryny, o których się mówi. Lecz nas wyłączono już poza nie, dokładnie wyłączono opaskami, ghettami i śmiercią. Wy giniecie w walce i jesteście wrogami, nas się zabija".

Efektowne jest to sformułowanie. Ale czy słuszne? W pewnych momentach wojny i w pewnych okolicach różnica sytuacji psychologicznej Żydów i innych narodów prześladowanych mogła się istotnie wydawać różnicą zasadniczą, a nie tylko różnicą stopnia, czasu i kolejności. Ale szerokie rzesze ludności jasno zdawały sobie sprawę, że likwidacja Żydów jest tylko prologiem do planowej zagłady reszty ludności, a w szczególności Polaków. To poczucie formułowało się wyraźnie w powiedzeniu „Dziś oni — a jutro my!" Obławy uliczne, Oświęcim, piece krematoryjne, Warszawa, ziemie przyłączone do Rzeszy, niszczenie milionów ludzi bez względu na stosunek do III Rzeszy, a jedynie z powodu przynależności do narodu polskiego — to były przecież dowody dostatecznie jasne dla najmniej przenikliwego umysłu. Specjalnie poniżanie Żydów, przeciwstawianie im reszty ludności było niewątpliwie przemyślaną taktyką niemiecką, zbyt łatwo przecież dostrzegalną. Że nie była to specyfikacja zasadnicza, świadczyły aż nadto wyraźnie pewne oświadczenia Himmlera, Greisera i samego Hitlera o konieczności nie asymilowania, ale likwidowania Polaków. Sami Niemcy pojmowali w ten sposób sytuację polskiego społeczeństwa, jak również jego postawę: świadczy o tym wymownie fakt, że do likwidowania ghett sprowadzali Łotyszów, Litwinów i Ukraińców, nie dowierzając nawet starannie przecież selekcjonowanej (i używanej czasem nawet w akcjach gospodarczych przeciw Polakom) policji granatowej.

Ale, jak przypuszczam, Broszkiewiczowi chodziło o coś innego. Nie o absolutną rację historyczną, tylko o wyjaśnienie stanu psychologicznego, w jakim żyli skazani najpierw na upokorzenia i męki, a potem na

zagładę „w pierwszej kolejności" — Żydzi. To samopoczucie tłumaczy wiele i autor *Oczekiwania* musiał je uwzględnić jako artysta.

3

Język i styl powieści Broszkiewicza są na ogół precyzyjnymi narzędziami jego myśli. Jedynie dialogi zdradzają niepewność, są sztuczne i rażą manierą niedokończonych, zbyt szybko urywających się zdań. Co prawda dialog nie odgrywa zbyt wielkiej roli w tym utworze i kto wie, czy nie można by zaryzykować uwagi, że dialog coraz bardziej zanika w nowoczesnej powieści. Od czasu Prousta (a właściwie i dawniej: od Stendhala) dyskusja powieściowa wyraża się raczej monologami bohaterów, linią ich myśli i doznań, aktów i zachowań, niż słowami, wykrzyknikami i pytajnikami. Mamy w najnowszej naszej powieści utwór zupełnie pozbawiony dialogu (*Sprzysiężenie* Kisielewskiego). W innych utworach krótkie dialogi, to zaledwie wysepki na oceanie opisowych (czasem pozornie opisowych) roztrząsań (Breza, Zawieyski, Rudnicki i inni).[1])

Broszkiewicz najświetniej się wypowiada krajobrazami, których funkcja jest podwójna: są samodzielnymi wizjami, a równocześnie ilustracjami stanu psychicznego bohaterów. Początkowy ustęp pierwszego rozdziału dostarczy nam najlepszego przykładu:

„W nocy woda zamarzała we wszystkich naczyniach, choć wieczorem, przed snem, Stefan rozpalał po raz drugi ogień w żelaznym piecyku. Matka i brat już spali, gdy piecyk rozżarzał się do czerwoności: kąt, w którym stał, nasycał głęboką, pełną barwą, więc braki i nędza izby nikły w tym blasku, przetwarzały się w nowy, bardzo spokojny krajobraz. Stefan leżąc nie widział źródła światła — zakrywał je kontur jednego ze sprzętów, więc mógł lekceważyć fakty — zardzewiały piecyk, wilgotne ściany, kalectwo skrzypiących mebli. Zimna wilgoć izby szybko ustępowała suchej fali powietrza, z rozpalającym się coraz silniej węglem czerwień zmieniała się w złoto i od tej chwili należało przymknąć oczy; ten punkt szczytowy mijał łatwo, piecyk cichł, kąt izby przygasał nagłymi skokami. Stefan obracał się do ściany, by usnąć".

Chciałbym w tym miejscu zakończyć moją recenzję, by zostawić czytelnikowi smak tej prozy, która mimo swej młodzieńczej świeżości jest już dojrzała, mimo przenikliwego intelektualizmu wzruszająca, mimo precyzyjności śmiała i mimo ujmującej skromności — odkrywcza.

Wojciech Natanson

[1]) Inaczej przepowiada Bratny, patrz niżej.

ZRANIONY PTAK

JALU KUREK: *Zraniony ptak.* Wiersze wybrane. Wydawnictwo „Przełom", Kraków, 1947; str. 109 i 3 nl.

Szósta książka poetycka Jalu Kurka. Zbiorowe wydanie najcelniejszych utworów, wybranych z poprzednich książek, oraz dwa nowe cykle z okresu wojennego i czasów ostatnich. Stustronicowy sumariusz twórczości poetyckiej autora od roku 1925. Książka, która stanowi o pozycji, utrwala lub zmienia opinie, pozwala na nowo spojrzeć na autora.

Jalu Kurek związany jest ściśle z awangardą krakowską. Nowa jego książka dalszy ten związek potwierdza. Podobnie jak Peiper, Przyboś i Brzękowski — jest poeta-teoretykiem, szkicuje doktrynę, tworzy manifesty, organizuje odcinek „życia" poetyckiego awangardy (po upadku *Zwrotnicy* w postaci czasopisma *Linia* 1931—1933), odznacza się pionierską ruchliwością i wykazuje cenne zalety rozmachu bojowego. Tym jednak różni się od towarzyszy, że nie poddaje się rygorom uznawanej doktryny. Praktyk ostrożny i nieufny nawet w stosunku do własnych koncepcji teoretycznych. Niezależnie od tej swobody pozostaje ciągle wierny poprzednim ujęciom.

Nie bez znaczenia dla charakterystyki poety pozostaje stwierdzenie, że deklaracja sprzed lat piętnastu nadal jest dla niego ważna: „Poezja jest jak most. Przerzucona nad przepaścią, prosto z brzegu na brzeg. Rozpięta od przedmiotu do jego nazwania, nieraz bez przęseł czyli przerzutów pośrednich. Wszędzie ważna. Wszędzie napięta. Pamiętajcie. Skrót i szybkość. Wiele powiedzieć mówiąc niewiele". Jest to postulat poezji. „linii prostej".

Zasada „prostej linii" nie przeszkadza poecie w stosowaniu dwuto:wości w prak-

tyce, jak sam autor wyraźnie w przedmowie zaznacza: „Moja twórczość poetycka rozłamuje się od swego początku na dwie gałęzie: jedna, właściwa i główna — to liryka czysta o charakterze nowatorskim, druga zaś — poezja raczej przystępna i prosta, jeżeli idzie o jej wymowę artystyczną. Ten drugi typ nie stanowi pełnego wyrazu poetyckich przekonań autora, spełnia jednak, w jego rozumieniu, ważne i pożyteczne zadanie".

Jest może jeszcze za wcześnie na twierdzenie, ale horoskop już można postawić: prawdopodobnie poezja drugiego toru, ta właśnie „przystępna i prosta", okaże się trwalsza i artystycznie wyrazistsza niż kondensacje nowatorskie tzw. czystej liryki. Większość utworów z *Upałów*, poemat *Usta na pomoc*, znaczna część zbioru *Mohigangas* mimo wyższego sposobu stylizacji, mimo poważniejszej materii poetyckiej i żywszego fantazjotwórstwa nie wytrzymują jednak konkurencji ze *Śpiewami o Rzeczypospolitej*, które od razu zostały uznane, jako wybitna poezja retoryczna.

Utwory te bardziej niż inne spełniają postulat programowy poety, który chce widzieć w poezji funkcję społeczną, udział w tworzących się dziejach. Wiersz powinien być czynem społecznym, za który poeta musi ponosić odpowiedzialność. Stąd wezwanie: „Śpiewajcie o pracy ludzkiej, o roli, o fabrykach, o miastach, o młynach, o wielkich ludziach i o znakomitych czynach".

Na osobną wzmiankę zasługuje cykl *Drzewo koleści*, wydany przed wojną jako druk prywatny. Są to treny — „płacz po zmarłych rodzicach". Ujmujące epitafium. „Dziewczyna z gór i mężczyzna z nizin założyli rodzinę w Krakowie, wychowali czworo dzieci, dali im wyższe wykształcenie". Syn-poeta, godny następca Janiciusa, poematem uczcił śmierć prostych rodziców.

Bardzo interesują najnowsze, ostatnie cykle: *Pieśni o końcu świata* i *Ballady i hymny*. Poezja zdecydowanych zdań, potwierdzająca dawną koncepcję „linii prostej". Zdanie proste — odpowiednikiem prostego kroku. Stąd może i rytmika, jak chód stanowczego człowieka. I stąd może dynamika tych utworów: wiersze w ruchu, w marszu, w biegnącym pociągu.

Notatka, skrót, realizm, a pod tym twardym pancerzem nurt romantyki i źródełko tłumionego sentymentalizmu.

W poezjach wojennych zastanawia motyw modlitewny. Należy odróżnić modlitwę jako taką od stylizacji modlitewnej, która najczęściej nie oznacza żadnego związku z religijnością. W pierwszym wypadku — raczej Liebert. W drugim — poeta przybierający postawę modlitewną w celu wykorzystania jej dla poezji. U Kurka raczej przeważa stylizowana modlitwa. Forma zastępcza? Czego? Może metafizyki.

Spotykamy dwa rodzaje wierszy okolicznościowych w zbiorze Kurka. W jednych spostrzegamy refleksję nad wydarzeniami przeżytymi bezpośrednio, w drugich wysuwają się zagadnienia społeczno-polityczne, dotykające wyobraźni tylko pośrednio. Trudniejszą materię poetycką typu drugiego Kurek podpiera w zastępstwie liryzmu rodzajem maksym lub aforyzmów: „Łatwiej bieg historii, niźli bieg pocisku zmienić". „Oto jest twarda mowa męstwa: światło w żarówce".

Niektóre wiersze wojenne Kurka powstały z ambitnej dążności do szybkiej syntezy: *Oświęcim*, *Brzask*, *Warszawa*. Jeżeli poeta podejmujący odpowiedzialne zagadnienia zdoła uniknąć banału, już tym samym odnosi niejakie zwycięstwo. Celne wyrażenia podtrzymują wiersz o Oświęcimiu: „człowiek unosił się do nieba dymem", „nawet zraniono powietrze". Znakomita notatka liryczna o przełomie styczniowym jest doskonałym zestawieniem kontrastów: rzeczy decydujących o przełomie i zjawisk wiecznie tych samych w swej powtarzalności. Przebiegły rozbestwione gromady, kawaleria śmigieł, w błocie leżą rozbite wozy.

Skończyło się wszystko, moja miła,
Dnieje.
Parują pola,
Pęka styczeń
I nic się więcej nie dzieje.

Wiersz o Warszawie jest dowodem, jak Kurek doskonale unika niebezpieczeństw tematu: gruzy, na czwartym piętrze balkon oderwany od domu, śpiew ptaka. Wszystko to w wyobraźni dziewczyny czeszącej włosy. Sentencja poetycka: poprzez śpiew ptaka „gruz opłakuje człowieka".

Pozostaje wrażenie, że wiersze o tematyce wojennej znacznie wzmocniły ten odłam poezji Kurka, do którego autor większe przywiązuje znaczenie.

Powojenne *Ballady i hymny*, oznaczone datą 1948, przynoszą znów, jak *Śpiewy o Rzeczypospolitej*, retorykę bohaterską, płynącą z nurtu przekonań, posiadającą rzadkie w poezji estradowej zespolenie tematyki z artyzmem. *Wisła* silna, prosta i prze-

konywająca. Podobnie *Pieśń bałtycka*. Poezja niewątpliwie popularna, dostępna, zrozumiała, lecz przecież nie szkodzi to jej artyzmowi.

Nie mogę, niestety, powiedzieć tego o piosence estradowej *Bebi*. Ballada o miłości polskiej dziewczyny i włoskiego poety. Irytujący kawiarniano-jazzbandowy „zaszloch" kończy każdą z kilkunastu zwrotek: „Piccola Bebi, och!". Sentymentalny kabaret.

Pamięć o czasach *Zwrotnicy* i Peiperowskim postulacie: miasto, masa, maszyna — podtrzymuje *Sen o tramwajach*. Jeszcze jedno dzisiaj anachroniczne powtórzenie wizji techniczno-urbanistycznej, zakończone uproszczonym ujęciem aforystycznym:

Oto jest księga raju
bez wniosków i przesłanek.
Życie: dzwonki tramwaju,
śmierć: przystanek.

Utworem ogniskującym niejako wszystkie charakterystyczności poezji Jalu Kurka jest *Pavana na śmierć infantki*. Wielostrunny instrument tego poematu wygląda jak gra kaprysu: romantyczna pieczęć („sercem i skrzydłem") jak na staroświeckim dokumencie, apostrofa rozpięta między egzotyką a sentymentalizmem („nieodgadłe piskłę mojego marzenia"), jak zawsze retoryka, zaśpiewy liryczne, tak rozsentymentalnione jak estradowa piosenka o miłości, to znów tenor bohaterski, jak czerwienią łopocący sztandar, symbolika zranionego ptaka, antyfona przypominająca żarliwość litanij, wzniosłe „cześć i dynamit", audycja radiowa i akt strzelisty: „Módlmy się o wolność dla Hiszpanii". Przyszłość okaże, czy *Pavana na śmierć infantki* zostanie uznana za najlepszy utwór poetycki Jalu Kurka.

Twórczość poetycka Jalu Kurka jeszcze się nie zamknęła. Niemniej pozostaje wrażenie, że na rewelacje w przyszłości liczyć już nie można. *Zraniony ptak* jest tomem raczej rekapitulacyjnym, który na tle dwudziestolecia ustala stanowisko poety w innych wymiarach, aniżeli Kurek przewidywał: nie nowatora, lecz intymnego liryka i poety retorycznego — na zmianę.

Stanisław Czernik

POEZJE RYMKIEWICZA

ALEKSANDER RYMKIEWICZ. *Z narodem*. Poezje. Wydawnictwo „Panteon". Warszawa, 1947; str. 128 i 4 nl.

Poezje Rymkiewicza, począwszy od żagarystycznego poematu *Tropiciel* (1936), poprzez *Potoki* (1938), aż do obecnie wydanego tomu, stanowią rodzaj jednolitej panoramy, jakby poeta poddawał się tezie pisania jednego tylko poematu. Pojmowanie dzieła poety jako rozległego fresku w danym wypadku tym bardziej jest usprawiedliwione, że każdy poszczególny wycinek poetycki z utworów Rymkiewicza, nawet gdy stanowi samoistny obraz, ogólnym kolorytem, kompozycją szczegółów i atmosferą materii poetyckiej wiąże się organicznie z całością. Nie sprzeciwia się tej koncepcji młodzieńczy *Tropiciel*, pozornie odmienny: z późniejszą „romantyką" Rymkiewicza, powstałą z przeżyć wojennych, łączy się romantyczną tęsknotą do egzotyzmu.

Ostatnia uwaga prowadzi do pierwszej próby określenia poezji Rymkiewicza. Chcąc ją umiejscowić wśród innych zjawisk poetyckich, trzeba ją zapewne najpierw zestawić z poezją romantyczną. Wprowadzając to określenie od razu zastrzegam się, że przez zaznaczenie tej niewątpliwej zbieżności nie chcę wysuwać jakiegoś domniemania wtórności w utworach Rymkiewicza, gdyż jej, według mego zdania, tam nie ma. Przeciwnie, pragnę od razu zaznaczyć, że istotna lub pozorna „romantyka" Rymkiewicza nie posiada żadnych cech anachronizmu. I tu zjawia się intrygujące zagadnienie: skąd ten „romantyzm" naszych czasów?

Chociaż użyłem terminu romantyzm, aby ułatwić sobie i czytelnikom najogólniejsze uchwycenie atmosfery książki Rymkiewicza, niemniej zdaję sobie sprawę z niebezpieczeństwa podkładania zjawisk dzisiejszych pod wykładniki właściwe jedynie dla czasów przeszłych. Obecnie tym bardziej jest to niebezpieczne, że próbując odnaleźć jakiś „izm", właściwy naszej epoce, rozładowaliśmy wszystkie terminy do tego stopnia, że każdy wymaga wyjaśniającego przymiotnika, jeżeli chcemy stosować go do współczesności. Stąd nawet popularny obecnie problem realizmu nie da postawić się rzeczowo bez określenia. A więc mamy realizm socjalistyczny, humanistyczny, egzystencjalisty-

czny, mógłby być nawet romantyczny — co wskazuje, że termin ogólnikowy stracił swoją wartość.

Z tymi zastrzeżeniami można mówić o zaznaczonych podobieństwach omawianej książki.

Postawa Mickiewiczowska, powiedzmy — postawa Tadeusza Soplicy (tego z *Umizgów),* który nabrał cech dzisiejszego intelektualizmu i uspołecznienia, postawa rewizjonistyczna przejawia się wielokrotnie. Piękno lasów i nieba, widzianego z zaścianka lub poprzez nostalgiczne wspomnienia, rozszerza się na skutek refleksji społecznej przez wprowadzenie do krajobrazu człowieka.

Jest w tym postawa kajania się, nie w znaczeniu osobistym. Romantyzm odczuwania niesprawiedliwości w imieniu innych: protoplastów, stanu, klasy, narodu, warstwy rządzącej. „Ile w tym kraju zimnego piękna, śniegów olbrzymich, szerokich borów, i rąk wychudłych, i sinych warg". Do poezji o dalekim kraju (lat dziecinnych) włącza się refren o człowieku, „który tytoń w bibułę zawija i sznury kręci i głodny przemija", i staje się niemal naczelną tezą wspomnień, tezą niepokoju wyniesionego z zapomnianych powiatów, gdzie wśród „stada jezior" tokują cietrzewie pod lasem.

Ponieważ jest to poezja pierwotnego kraju, w którym człowiek nie jest jeszcze czynnikiem nadrzędnym, lecz ciągle tylko drobną cząstką krajobrazu, motyw zoologiczno-botaniczny staje się zjawiskiem pospolitym, jako wyraz uczestnictwa w życiu. Motyw ten nigdy jednak nie dochodzi do znaczenia więzi tematycznej. Na pierwszym planie — zawsze człowiek, nie aktor sielanki, lecz bohater dramatu wsi granicznej, która „pod śniegiem lekko się tląca usypia głodna i niepiśmienna". Tak się przedstawia wyraz rozrachunków „rolno-społecznych", które przede wszystkim różnią poezję Rymkiewicza od każdej „godziny myśli" zeszłowiecznych romantyków, a także od współczesnych poetów nostalgii skierowanej ku okolicom białoruskim lub naddźwińskim (Podhorski-Okołów, Iłłakowiczówna, Baliński).

Książka Rymkiewicza powstała w czasie wojny i pod jej wpływem. Strofy historii, „złowieszcze ptaki nad wioskami", przeszły do poezji. Historia nie jest tu banalnym słowem, ani odwoływaniem się do widm, mimo przypadkowego truizmu, który też dobrze oddaje nastawienie poety: „Poprzez historii wydeptane pola wciąż wieje jeden wiatr od tysiącleci". Poeta przeżywa historię daną mu na odcinku jego doznań jako pewnego rodzaju determinację, sumę doświadczeń od tysiącleci, powiększoną o wszystkie nieprawdopodobieństwa ostatniej wojny. Tragizm przeklętych czasów, pojmowany jako brzemię historii, spod którego dźwiga się postawa ostateczna: „Jeśli kto szablę złoży przed wrogiem, o Boże, zabij — na głowy wnuków klątwa i piekło".

Z tej postawy wyrasta zagadnienie posłannictwa poezji, trochę w sensie Mickiewiczowskiej „arki przymierza". Właśnie w *Rozmowie z Mickiewiczem* spotykamy ujęcie, tłumaczące również tytuł książki: „by spełniło się przymierze poety z narodem". Z „przymierza" powstaje obowiązek, w ten sposób ujęty:

Ale ty pomnij, że uniosłeś głowę
cało z tych śmiercią strzaskanych ustroni
po to, by mądrość stamtąd wziąć do dłoni
i takim piórem pisać nasze dzieje.
I przyjdzie syn, spod ronda kapelusza
wzrokiem i czasy i dzieła odmierzy
i twardą dłonią jedne w pył rozwieje,
a inne poniesie cisnąc do piersi,
jak wianek z róż wśród huku dział i łun
i śmierci.

Z podobnego poczucia obowiązku *(Mądre pióro)* powstaje poezja rozrachunku i podjęcie odpowiedzialności nawet za przeszłość: „Kiedy o wojnie wspomnę, to ręka wskazująca / o nędzę dymnych chat i małych okien trąca". Z motywów socjalnych powstało więc ostateczne credo poety:

Niech zejdzie sprawiedliwość i mądre ludzkie
słowo,
bo sprawiedliwość chleb im da, a słowo —
siłę.

Przez poezję Rymkiewicza przepływa strumień pesymizmu, który jest raczej uczuciem goryczy niż beznadziejności. Usprawiedliwiona to gorycz, i trudno, by jej nie było w poezji wojennej naszych czasów. Gorycz losu ludzkiego, który jak los sosen lub ptaków mierzy się pospolitym rachunkiem biologicznym: „poległo dziesięciu, / więc ciała w ziemię, a baby do wzięcia".

Lojalnie stwierdzony dokument życia i śmierci, wewnętrznie przecież nieuznawany, wywołuje sprzeciw i odwoływanie się — do przyszłości. Z „wiary i czucia" (znów romantyzm) wyrasta zaufanie do człowieka

czasów przyszłych. W tym właśnie leży ostateczny optymizm poety, prawdziwszy i bardziej wartościowy niż poprawna deklaracja, która wynikałaby tylko z pobudek doktrynalnych. Doktryną mógłby być dla Rymkiewicza katolicyzm, wielokrotnie, ale bez wyznaniowej przesady akcentowany w utworach.

Nie na doktrynie też, ale na głęboko odczuwanej prawdzie człowieczeństwa opierają się pacyfistyczne tęsknoty Rymkiewicza. Jego śpiewy liryczne przeciw nieludzkim metodom unicestwiania człowieka, ujęte w formę kołysanek, poprzez kontrastowość zestawień sprawiają przejmujące wrażenie. Surowej wiedzy o człowieku nie chciałby poeta dopuścić do kołyski („Nieprawda to, nieprawda, że ludzi zabijano") i obronę ludzi powierza gardziołkom ptaków:

Że ludzie dobrzy karmili go w zimie,
że ludzie tacy nie mogą zabijać,
a jeśli sypią i sypią mogiły,
to dla tych kwiatów, co jesień przeżyły.

Tragedia psychiki ludzkiej w jej złożoności, w splocie sentymentalizmu i brutalności wywołuje strofy przypominające Słowackiego (znowu romantyzm):

I uwierzyłem, że jest taka chwila,
kiedy się człowiek ku ziemi pochyla,
a ziemia szepcze: jesteście, jak liście,
bez gniewu, bez wojen i bez nienawiści.

Warto przy sposobności zwrócić uwagę na mało podkreślany w antologiach i opracowaniach motyw pacyfizmu polskiego, zaznaczający się w poezji polskiej już od łacińskich elegij Klemensa Janiciusa. Książka Rymkiewicza przynosi w tym zakresie nowy i ważki materiał.

Na zakończenie wracam do tezy wstępnej: „romantyzm" Rymkiewicza nie jest anachronizmem. Może przyszły dziejopis, układając w muzeum historii pozostałości naszych czasów, szukając dla nich nazwy i krewniactwa w przeszłości, stwierdzi, że żyliśmy pod znakiem „szału", że zwyrodniałe formy „czucia i wiary" aż do głębin barbarzyństwa były jakimś odwróconym romantyzmem, który na stulecia powinien wzbudzić niewiarę do uczuć ludzkich. I chociaż postawa romantyczna w każdej formie może dziś wzbudzać usprawiedliwione zastrzeżenia, niemniej musimy dokładnie rozróżniać przeciwstawne jej odcienie: czarny i jasny. Poezja Rymkiewicza reprezentuje jasną barwę.

Stanisław Czernik

LOPE DE VEGA

Lope Felix de Vega Carpio był genialną jednostką, która wycisnęła swoje piętno nie tylko na całej literaturze hiszpańskiej, ale także na rozwoju twórczości dramatycznej całego świata. Rozmach jego twórczości nie mieści się w granicach, które natura zwykła zakreślać dla działalności jednego człowieka.

Lope Felix de Vega Carpio urodził się w Madrycie 23 października 1562 roku. Był młodszym rówieśnikiem Cervantesa, urodzonego w roku 1547, a poprzednikiem Calderona, urodzonego w roku 1600.

Pochodził ze starej rodziny de Vega, która miała swoje gniazdo rodzinne w uroczej dolinie Carrildo. Był cudownym dzieckiem; w szóstym roku życia, jak nas zapewnia jego przyjaciel Montalvan, pisał już po hiszpańsku i — po łacinie. Jego ojciec, który był również poetą, umarł, gdy Lope był małym chłopcem. Wychowaniem dziecka zajął się brat matki, inkwizytor Don Miguel de Carpio. Wysłał go do szkół w Madrycie, a następnie do uniwersytetu w Alcoli. Tam zakochał się pierwszy raz w życiu, a dzieje tej miłości udramatyzował w poemacie *Dorotea z Alcoli*. Powrócił do Madrytu i został sekretarzem księcia Alby, wnuka sławnego Duka Alby, ministra Filipa II. Z jego namowy napisał romans prozą pt. *Arcadia*, — krytycy wyrażają się o tym utworze bez zachwytu.

W tym czasie ożenił się z Donną Izabellą Urbino. Jego szczęście domowe zostało zakłócone wydarzeniem fatalnym w skutkach. Lope w poemacie satyrycznym zaatakował jednego z szlachciców, który go wyzwał na pojedynek. Poeta zranił ciężko w tym pojedynku swego przeciwnika i został wtrącony do więzienia, a wyszedłszy z niego musiał emigrować z Madrytu i ukrywać się na prowincji.

Tułaczka trwała kilka lat. W następnym roku po jego powrocie do Madrytu umarła jego żona. A był to czas, gdy Filip II przygotowywał swoją niezwyciężoną armadę, którą miał zamiar zmiażdżyć potęgę Anglii.

Lope zaciągnął się do wojska. Po rozbiciu wielkiej armady (r. 1588) wrócił do Madrytu, gdzie ożenił się po raz drugi, z Donną Juanną de Guardia. Miał z nią syna Carlosa, który umarł w dzieciństwie, co taką rozpaczą napełniło jego matkę, że, jak piszą kronikarze, umarła ze zmartwienia.

Po śmierci żony miał jeszcze dwoje dzieci z nieprawego łoża: córkę Marcellę, która wstąpiła do klasztoru, i syna, który był marynarzem i zginął wraz z okrętem w czasie burzy morskiej. Przejęty tym pisarz zaczął myśleć o stanie duchownym. W roku 1609 przyjął święcenia kapłańskie, a w rok później wstąpił do kongregacji zakonnej jałmużników w Madrycie. Tak więc ostatnie 26 lat swego życia Lope de Vega był księdzem katolickim.

Twórczości literackiej mimo to nie zaniedbuje i dopiero w tej epoce swego życia tworzy większość swoich dramatów historycznych. Bo ten polityk, żołnierz, marynarz, kochający małżonek, ojciec kilku nieślubnych dzieci, kochanek wielu kobiet, ksiądz i zakonnik był przede wszystkim poetą i dramaturgiem i to uważał za główny cel swego barwnego żywota. Suknia duchowna w tych czasach nie przeszkadzała brać czynnego udziału w życiu świeckim.

Godność poety narodowego, olbrzymią sławę i popularność zyskał Lope de Vega napisaniem liczącego dziesięć tysięcy wierszy poematu *San Isidor el Labrador* (r. 1599). Jest to powieść o świętym Izydorze, patronie rolników i patronie Madrytu.

Znana i nam dobrze legenda mówi, że aniołowie zstąpili z niebios, by pomagać temu oraczowi w uprawianiu pola. W Hiszpanii był on czczony od roku 1598, w którym to roku jego relikwie pono uratowały życie Filipowi III. W rok później ukazał się poemat Lope de Vegi. Napisał go w hiszpańskich strofach pięciowierszowych, tak zwanych *quintillas*.

Oto próbka takiej strofy:

Seis (angeles), vienen à Isidro à ver,
Oh gran Dios, que pieede ser,
Donde los ho de albergar?
Mas vienen á consolar,
Que non vienen á comer.

„Sześciu ich (aniołów) przyszło do Izydora. Wielki Boże, co to ma znaczyć, jak będzie mógł ich ugościć? Oni przyszli, by go pocieszyć. Nie przyszli żeby jeść".

Jak widać, poezja ta jest na nasze pojęcia szczytem naiwności i prymitywu, ale właśnie dlatego w Hiszpanii ówczesnej była czytana przez wszystkich, a recytowana przez wędrownych deklamatorów po wsiach i miasteczkach i uczyniła jej autora osobistością najbardziej popularną w całym narodzie. Zwrócono więc uwagę na jego utwory sceniczne i zaczęto je na szeroką skalę popularyzować i realizować na scenie.

Była ich nieprawdopodobnie wielka ilość. W roku 1603 Lope de Vega podaje nam tytuły trzystu czterdziestu jednej komedii, które skomponował. W roku 1609 ich liczba wzrosła do czterystu osiemdziesięciu trzech, w roku 1619 sam mówi, że ma... dziewięćset. Po jego śmierci wykonawca jego testamentu Montalvan ogłosił, że posiada osiemset komedyj i pięćset dramatów Lope de Vegi. Z tej ogromnej liczby utworów dramatycznych ogłoszono drukiem w 28 tomach, które częściowo zaginęły — pięćset utworów. Czy wszystkie jemu przypisywane wyszły spod jego pióra — rzecz to raczej wątpliwa.

W *Owczym źródle* Lope de Vega skarży się, że od czasu wynalazku druku nikt nie może obronić autora przed używaniem jego nazwiska przez poetów miernego talentu, którzy chcą w ten sposób swoje utwory popularyzować. W każdym razie ta cyfra utworów niewątpliwie przez niego napisanych jest imponująca. Trzeba wierzyć temu, co nam Lope de Vega powiada w prologu do jednej komedii, że napisał ją w przeciągu pięciu dni, i także temu, co mówi jego przyjaciel Montalvan, że w dwa tygodnie, bawiąc w Toledo, napisał pięć dramatów historycznych, i cały akt skomponował i podyktował w ciągu jednego ranka.

Jeśli sobie uświadomić, że te utwory dramatyczne pisane są wierszem rymowanym (czasem rymy zastępują asononse), należy uznać ich autora za fenomen natury. Historycy literatury hiszpańskiej, jak Ticknor, Magnabal, stwierdzają, że w tej ogromnej ilości komedyj i dramatów jest bardzo mała ilość zupełnie słabych utworów, że każdy z nich w mniejszym lub większym stopniu nosi na sobie piętno geniuszu. Musimy im wierzyć na słowo, bo nikt, kto ma jeszcze w życiu inne zajęcia niż studiowanie literatury hiszpańskiej, nie jest w stanie wszystkich przeczytać i krytycznie ocenić.

Dowcip, różnorodność charakterów, poczucie sceny, znajomość psychologii, realizm w malowaniu środowiska, wyczucie historii i stylu różnych epok, oto cechy, które charakteryzują twórczość Lope de Vegi. Gdzie szukać wyjaśnienia tej płodności przy tym stopniu doskonałości utworów stworzonych? Znajdujemy je w talencie improwizatorskim, jakim był obdarzony Lope de Vega. Na południu Europy, a w szczególności w Hiszpanii, zdolność improwizacji była cechą wielu poetów i leżała w tradycji geniuszu narodowego. Temu talentowi zawdzięczamy *seguidillas, boleros* i inne formy poezji ludowej, tworzonej przy dźwiękach muzyki.

Jak zapewniają przyjaciele poety, Lope de Vega tworzył w transie i dyktował poezje tak szybko, że jego sekretarze nie mogli nadążyć zapisywaniu. Tylko dzięki temu jeden człowiek dostarczał repertuaru dla wszystkich scen we współczesnej sobie Hiszpanii.

Sceny te dzięki jego energii mnożyły się z zadziwiającą szybkością. W chwili, gdy Lope de Vega zaczął pisać swoje komedie, były dwie trupy aktorów w Madrycie, w roku jego śmierci było ich czterdzieści w całej Hiszpanii, a liczba aktorów zawodowych urosła do tysiąca. Poza granicami rodzinnego kraju, w Rzymie, Neapolu, w Mediolanie, we Francji, nawet w Konstantynopolu grano jego sztuki. Gdyby sława dawała szczęście, można by go uważać za najszczęśliwszego człowieka. Kiedy przechodził ulicą, ludzie odrywali się od swych zajęć i cisnęli się do okien i balkonów, by go zobaczyć i przywitać okrzykiem uwielbienia.

Utwory dramatyczne Lope de Vegi dzielimy na dwa rodzaje. Pierwszy — to ko-

medie, które nazywają mianem *comedias de capa y espada* — komedie „płaszcza i szpady". Główne osoby tych utworów należą do tak zwanych wyższych sfer społecznych. Ich stylem jest galanteria, tak jak ją pojmowano wtedy. Tematem intryga dość skomplikowana, parodia i satyra ich treścią. Znajdujemy w nich pierwowzory Molierowskiego *Skąpca* i *Lekarza mimo woli*. Za najlepsze utwory uważa się: *La hermosa fea, La esclova de su gulan* i *El acero de Madrid*.

Drugi rodzaj — to *comedias heroicas* i *comedias historiales*. Mają one za temat wydarzenia historyczne. Osobami dramatu są królowie, wielcy politycy i wodzowie. Można powiedzieć, że nie ma wydarzenia w historii świata, którego by Lope de Vega nie uczynił tematem swoich niezliczonych utworów, poczynając od prahistorii, legend biblijnych o stworzeniu świata, przez wspomnienie Grecji i Rzymu, aż do kronik opisujących dzieje Hiszpanii, Włoch i Francji. W zestawianiu wydarzeń był Lope de Vega wierny historii, ale charaktery malował oryginalnie i po hiszpańsku.

I tak np. w bardzo pięknym dramacie *Roma abrasada (Rzym płonący)* Neron zakochany w Rzymiance nazwanej Eta śpiewa pod jej oknami rzewne sonety, a w kilka scen później morduje własną matkę — zgodnie zresztą z historią. Pisząc dramaty z historii Hiszpanii starał się Lope podnieść przymioty swego narodu, jak rycerskość, szlachetność, zdolność do ofiar i poświęcenia dla wielkiej idei. — Calderon brał z niego wzory. Jego *Książę niezłomny* jest echem Lope de Vegi *El principe perfecto (Księcia doskonałego)*.

Osobny dział tworzą misteria religijne Lope de Vegi. Na ich czele postawić trzeba misterium zatytułowane: *El Nacimiento del Christo (Narodziny Chrystusa)*. Dramat ten zaczyna się w Raju, a kończy w Betleem.

Lope de Vega powiedział sam o sobie, że zerwał w swojej twórczości z wszelkimi konwenansami starego teatru, jak jedność akcji i miejsca starożytnych. „Wygnałem z mojego studia także Plauta i Terencjusza, żeby mi nie przeszkadzali swoimi regułami. Jedne tylko mną kierują względy. Umieć się podobać publiczności, umieć ją bawić, smucić, wzruszać! Ona płaci i jej trzeba służyć!"

Instrumentem, którym władał Lope de Vega znakomicie, jest język, bogaty w porównania i plastyczny. Miał on wielkie poczucie kolorów, był malarzem w słowie. Jego wiersz to przeważnie ośmiozgłoskowiec, czasem nie rytmiczny, ale najczęściej dźwięczny i harmonijny, energiczny i płynny. Rymy przeplatane asonansami, niekiedy łatwe, gramatyczne, a częściej wyszukane i niespodziewane.

Tłumaczyć tego poetę nie jest rzeczą łatwą, ale przekładać prozą, jak to robią Francuzi, to znaczy zubożać go i rozmijać się z istotą jego twórczości.

Owcze Źródło należy do rodzaju *comedias heroicas*. Jest komedią mimo dramatycznej akcji i tragicznego wypadku zamordowania tyrana przez ludność uciemiężoną. Nie komedią „płaszcza i szpady", ale miłości, zemsty, krwi i wina. W uśmiechu rodzi się męstwo i zdolność do ofiary maluczkich, przeciwstawiających się pysze, zbrodniczej swawoli i źle pojętemu honorowi możnych tego świata.

W tym to utworze rozbłysły wszystkie przymioty wielkiego talentu tego Hiszpana: realizm i poezja; znajomość psychologii ludzi i psychologii tłumu; zwięzłość akcji i teatralność.

Ludwik Hieronim Morstin

NA MARGINESIE TEMATU „MICKIEWICZ W ROSJI"

„Mickiewicz w Rosji" — oznaczać może dwie rzeczy. Albo dzieje pobytu naszego największego poety w pobratymczym kraju w latach 1824, albo też echa jego twórczości w tymże kraju. Tak dwojako pojmują temat ów różni autorzy. Na łamach *Twórczości* Cz. Zgorzelski (1947, nr 11, str. 94—103) tytułem takim nazwał uwagi określone wyżej na drugim miejscu, inni zaś autorzy piszą o jednym i drugim równocześnie. Uwagi poniższe dotyczyć będą również i jednego i drugiego, ale w porządku, który wydaje się bardziej logiczny: najpierw pobyt poety w danym kraju, potem zaś fakty związane z tamtejszymi echami jego twórczości. (Nie znaczy to oczywiście, by wieści o tej twórczości nie miały naszego poety wyprzedzić w Rosji — tak właśnie było, jak to widzimy m. in. w artykule rosyjskim M. Żywowa, który

stał się podstawą dla wspomnianego studium Cz. Zgorzelskiego).

Na łamach *Kuźnicy* L. Gomolicki zamieścił niedawno studium pt. *Droga do Rosji* (nry 116—118), ciekawe, sumienne, imponujące ilością szczegółów i oczytaniem autora. Niemal równocześnie S. Fiszman dał w *Odrodzeniu* parę szczegółów o *Wyjeździe Mickiewicza z Rosji w świetle dokumentów* (nr 160—1).

Zawodowy historyk stosunków międzysłowiańskich może temu tylko przyklasnąć. Wiele rzeczy właśnie uchodzących uwagi zawodowca ujawnią miłośnicy przedmiotu w swych przyczynkach, a przede wszystkim zbliżą oni temat do szerokich kół społeczeństwa, do których rzadziej dociera praca naukowa w ścisłym tego słowa znaczeniu.

Sądzę jednak, iż autorzy prac tego rodzaju, ogłaszanych po czasopismach, mają większe ambicje: pomnażania również literatury naukowej przedmiotu. Ambicja to słuszna i często spotyka się ona z należnym jej rezultatem: takie przyczynki figurują w bibliografiach i odsyłaczach dzieł nawet najpoważniejszych.

Z tego wszakże względu jeden apel trzeba wysunąć pod adresem wszystkich autorów tego rodzaju artykułów i przyczynków. Jeżeli robota ich naprawdę stoi najczęściej na poziomie wysokim, to prosić ich trzeba o podciągnięcie się jeszcze o jeden stopień wyżej, a jeśli to dla jakichś przyczyn byłoby niemożliwe, o naradzenie się przed ogłoszeniem z fachowcem, który radą swą przyczyni się do tego, by rzecz wypadła jeszcze lepiej. Szkoda bowiem, by artykuł ważny, ciekawy itd. zawierał zarazem szczegóły i dane bardzo nawet nieścisłe, podrywające — najczęściej niesłusznie — zaufanie do całości. Oczywiście autor każdego z takich studiów odpowie: nie miałem ambicji naukowych! Niemniej właśnie życzymy sobie, by takie ambicje były, a przynajmniej ambicja do — ścisłości.

Zdawałoby się, że tu wiele hałasu o nic. Okaże się, że te nieścisłości stanowią np. tylko 5% całości, która jest poza tym bez zarzutu. To wynik doskonały, gdyż wiele jest prac naukowych o odsetku usterek znacznie większym. Ale — jeśli się ich da uniknąć, dlaczegóż się o to nie starać?

Teraz konkretne przykłady. W artykule L. Gomolickiego w cz. I. (*Kuźnica* nr 116) wiele mówi się o Gribojedowie, o jego kontaktach z dekabrystami A. I. Odojewskim i A. Biestużewem-Marlinskim. I tu wkradły się pewne nieścisłości właśnie zaraz na samym początku. Oto czytamy: „Rylejew mieszkał w tym samym domu, co Bestużew, który był współlokatorem poety Aleksandra Odojewskiego...“; „W sierpniu 1824 r. do mieszkania Aleksandra Odojewskiego przeprowadził się bawiący chwilowo w stolicy trzeci Aleksander: Gribojedow...“; „Aleksandra Odojewskiego wiązała z Gribojedowem również bliska przyjaźń obydwu poetów z W. Kuechelbeckerem...“

Otóż wystarczy wziąć choćby najnowszą (1947) monografię znanej dziejopisarki ruchu dekabrystów M. W. Nieczkinej *A. S. Gribojedow i diekabristy*, by znaleźć tam fakty przeczące powyższym twierdzeniom. Dowiadujemy się tam, że Odojewskij i Gribojedow byli związani nie tylko przyjaźnią, lecz i najbliższym pokrewieństwem, byli bowiem ciotecznymi braćmi *(dwojurodnyje bratja)*. Dowiemy się, że Al. Biestużew mieszkał w okresie przed przybyciem Gribojedowa do stolicy i sprowadzeniem się z hotelu Demuta do Odojewskiego nie u tego ostatniego, lecz u Rylejewa, w tym samym zresztą domu. Gribojedow w lecie 1824 u Odojewskiego nie zabawił długo, lecz wyjechał na wieś, a po powrocie zajął inne mieszkanie, gdzie go zastała listopadowa powódź i omal życia nie pozbawiła; uratował go z fal Odojewskij i wtedy dopiero nastąpiło poznanie się Gribojedowa z Biestużewem, nie zaś już w lecie tegoż roku, na wspólnej rzekomo kwaterze u Odojewskiego. Biestużew przeprowadził się do Odojewskiego dopiero w r. 1825, gdy do Petersburga przyjechała żona Rylejewa i wspólne mieszkanie Biestużewa i Rylejewa nie było wtedy możliwe. A wtedy właśnie u Odojewskiego żył ponownie Gribojedow, który wskutek powodzi utracił własne mieszkanie. Odwrotnie więc było, niż to opowiada L. Gomolicki: nie Gribojedow sprowadził się do mieszkania, w którym już żył Biestużew, lecz ten ostatni przybył tam dopiero po powodzi, w której „stojąc po kolana w wodzie“ ratował meble przyjaciela (Rylejewa). (Por. Nieczkina, cyt. dz., str. 374—6; K. Pigariow, *Żyzń Rylejewa*, Moskwa 1947, str. 136).

Zapewne, to wszystko mało ważne, a dla naszego głównego tematu „Mickiewicz w Rosji“ całkiem nieważne! Ale gdy się już o tym opowiada, zawsze nie wadziłoby dodać tę drobną dozę dokładności.

Albo znów we wspomnianym artykule S. Fiszmana autor ten chyba tylko przez

przeoczenie podaje, że pismo rekomendacyjne gubernatora moskiewskiego Golicyna dla Mickiewicza jest z „lutego 1829", skoro nawet w fascimile dodanym do artykułu widać, że to był kwiecień *(9 apriela)*. Gdy się tłumaczy, przekładać trzeba ściśle: w tytule Golicyna termin *uprawlajuszczij i graždanskoju czastju* nie znaczy, jak S. Fiszman przekłada, „zarządca wydziału cywilnego", lecz „zarządzający również resortem cywilnym" (Golicyn był wojennym generalnym gubernatorem, a w carskiej Rosji oprócz wojennego bywał i *graždanskij gubiernator);* jeśli go nie było, oba resorty złączone były w jednym ręku i stąd Golicyn był równocześnie wojennym i cywilnym gubernatorem moskiewskim). To także drobiazg, bagatela — ale do lepszej znajomości spraw i rzeczy rosyjskich, u nas stale jeszcze niedostatecznej, warto i ten szczegółik dodać. Oczywiście zaś warto także powołać się na to, że ktoś już kiedyś raz o tym pisał: ten to list rekomendacyjny Golicyna ogłosił równo przed 50 laty. T. Wierzbowski w *Sborniku* ówczesnej petersburskiej Akademii Nauk, 1898 *(K biografii Adama Mickiewicza w 1828—1829 godach,* dokum. nr 85).

Dalszy postulat — to ujednolicenie pisowni nazwisk. Jeżeli piszemy Bestużew, to i Katenin, jeżeli Szewyriow, to i Koszelow, nie zaś Bestużew i Katienin, Szewyriow i Koszelew, jak to mamy w artykule L. Gomolickiego. Konsekwentnie jest po polsku: Biestużew, Katienin, Szewyriow, Koszelow.

I jeszcze jedno, bardzo ważne: daty. Można pisać o rzeczach rosyjskich z datami według kalendarza juliańskiego dla wypadków sprzed r. 1917, skoro Rosjanie to nadal czynią, ale nie o wypadkach, w których np. bierze udział Mickiewicz. W takich razach trzeba chociaż podawać daty według obu kalendarzy. Wtedy bowiem unikamy możliwych łatwo nieporozumień. W artykule L. Gomolickiego mamy podaną domniemaną datę przyjazdu poety do Petersburga: 9 listopada 1824,[1]) podane to jest według nowego stylu, a zaraz potem wszelkie inne daty, odnoszące się do rosyjskich przyjaciół Mickiewicza i jego z nimi kontaktów — według starego; np. poznanie się Mickiewicza z Biestużewem według notatki z dziennika tego ostatniego „31 grudnia 1824", co odpowiada oczywiście 12 stycznia 1825 n. st. Nawet dzień pamiętnej rewolucji na Placu Senackim podaje nasz autor według starego stylu „14 grudnia", było to zaś oczywiście 26-go, według naszego kalendarza. Nieuwzględnianie tej różnicy mogłoby w jakimś wypadku nagle spowodować dużą sprzeczność w datach.

Przejdźmy z kolei do artykułu Cz. Zgorzelskiego, który sumiennie i uważnie referuje studium Żywowa, wzbogacając je niejednym własnym spostrzeżeniem. I tu również zakradły się drobne pomyłki — np. początek przekładu *Lilij* przez Rylejewa nie brzmi *Żena griech sotworiła,* lecz *Żena griech tiażkij sowierszyła* (por.: K. F. Rylejew, *Izbrannoje,* Moskwa 1946, str. 72). A na pracę Sirotinina z r. 1898 w tym wypadku raczej nie należy się powoływać, skoro są nowsze i pełniejsze, nie mówiąc o Masłowie z r. 1912, przede wszystkim Cejtlina z r. 1934 i Pigariowa (zob. wyżej). Niemniej skaza ta w artykule Zgorzelskiego, będącym raczej tylko referatem, rolę odgrywa minimalną.

Pozostawałoby jeszcze wspomnieć o jednej rzeczy — o książce Szypera, która, jak sam autor w przedmowie zaznacza, ambicyj naukowych nie posiada. Kryteria ścisłości może więc będą w tym wypadku zbędne. Wyrazić można więc tylko życzenie, by przy ewentualnym II wydaniu tej interesującej książki usunięto różne drobne usterki, np. że to „Związek Północy", tj. organizacja rewolucyjna petersburska *(Siewiernoje obszczestwo)* utrzymywał stosunki ze spiskowcami polskimi. Wiadomo, że było inaczej — stosunki te utrzymywali członkowie „Towarzystwa Południowego" (por. m. in. w mojej książce „Mickiewicz a Słowianie do r. 1840", 1936, str. 130 i nast.). Stanowczo zaś nie należało tak krótko zbyć sprawy czasopisma *Irys,* które Mickiewicz projektował w r. 1827, a którego program posiada znaczenie bardzo wielkie jako dokument niezwykle trafnego pojmowania przez naszego poetę metod i potrzeb zbliżenia między narodami słowiańskimi (por. *Życie Słowiańskie,* 1946, str. 153).

Oczywiście zdarzały się lapsusy i nieścisłości nie tylko po naszej stronie. Są one i po stronie rosyjskiej. Na ogół rosyjscy badacze tych spraw nie cytują polskiej literatury przedmiotu, podczas gdy polscy

[1]) Żywow w cyt. artykule podaje (str. 13), że Mickiewicz przybył do stolicy Rosji 24 października r. 1824. Wszystkie daty są tam według kalendarza juliańskiego, odpowiada to więc naszej dacie 5 listopada i to zgadzałoby się z przypuszczeniami tych, którzy dzień przyjazdu przesuwają przed 9 listopada.

czynią to w odnośnych wypadkach na ogół sumiennie, uwzględniając znaczne ilości dzieł rosyjskich.

Przykładem niech będzie zużytkowana wyżej monografia Nieczkinej o Gribojedowie, która „wysuwa kwestię", tj. domniemanie o zapoznaniu się Mickiewicza z Gribojedowem w okresie 1824—5 r. (str. 571, ods. 537: *„...dajut wsie osnowanija postawit' wopros o znakomstwie Gribojedowa s Mickiewiczem"*). Tymczasem nasz najlepszy przed wojną znawca literatury rosyjskiej XIX w., W. Lednicki, kwestię tę konkretnie i pozytywnie rozwiązał jeszcze przed kilkunastu laty, w artykule „Gribojedow a Polska" (Księgą ku czci M. Zdziechowskiego, Kraków 1933—4, str. 338 i nast.), twierdząc jednakowoż, że znajomość obu poetów została zawarta dopiero w r. 1828. Tymczasem wszelkie dane pozwalają przypuszczać, iż mogło to nastąpić już zimą 1824/5 r., przed wyjazdem naszego poety do Odesy, gdyż Gribojedow żył wtedy blisko z Rylejewem i Biestużewem, z którymi Mickiewicz stykał się stale w czasie swego pierwszego pobytu w stolicy Rosji.

Lapsusem jest też np. twierdzenie w najnowszej monografii K. Pigariowa o Rylejewie (zob. wyżej), iż Mickiewicz i jego przyjaciele przybyli do Petersburga „z Warszawy" (cyt. dz., str. 137). Drobiazg to, ale niepotrzebnie szkodzi całości, gdyż dotyczy rzeczy dosyć ważnej.

Zabawny łapsus zdarzył się również Żywowowi, który pisze we wstępie swego studium (str. 12), że w r. 1823 ukazał się w Moskwie przekład „Sonetów Krymskich" — niedopatrzenie godne ubolewania w tym tak poza tym starannym wydawnictwie.

I tak dalej — wiele jeszcze można by przykładów takich przytoczyć. „To nadmierna pedanteria", powie się na to. Zapewne, że pedanteria. Ale jest ona może mniej szkodliwa, niż nieścisłości.

Henryk Batowski

W POSZUKIWANIU NOWEGO STYLU

NA KSZTAŁT WSTĘPU

Wielka dyskusja o realizmie, której świadkami byliśmy w roku ubiegłym, sprowadziła się ostatecznie do bezwyjściowego gadulstwa. Brak było sformułowań już nie tylko programowych, ale wręcz stawiających problem w sposób dostatecznie krytyczny. Nie wypracowano zespołu pojęć, który stanowić mógłby nowe kryteria oceny dzieła literackiego. Odwołano się do klasycznych wzorów, stwierdzono, że Balzak nie jest pisarzem złym i zawieszono dyskusję na kołku.

Choć w trakcie polemik padały zdania o potrzebie „literatury odpowiedzialnej społecznie", o konieczności „stworzenia obrazu epoki", to przecież wypowiedziano w istocie bardzo niewiele opinii na temat środków czy metod realizowania takich postulatów.

Z tego zapewne wynikły rzeczowe niedostatki dyskusji, jej akademicka nieodpowiedzialność. Trzeba przyznać zresztą, że na ten końcowy efekt, a raczej brak efektu wpłynął decydująco niedostatek empirycznego materiału. Półtora roku temu niesposób było zdać sobie sprawę z tego, co napisano w Polsce w latach wojennych. Pod tym względem sytuacja jest dziś inna. Inne też formy przybrałaby zapewne dziś dyskusja o drogach prozy.

Wypadłoby na wstępie przyznać, że książki „społecznie odpowiedzialne", a więc przede wszystkim te, które — powtarzam za Stefanem Żółkiewskim — „chciałoby się nazwać rachunkami sumienia polskiej inteligencji", okazały się w swoich sądach społecznych równie jednoznaczne, jak różne były w artystycznych sposobach wypowiadania tych sądów.

Mamy tu *Drewnianego konia*, czy *Jezioro Bodeńskie* kontynuujące gombrowiczowską linię „drwiny odpowiedzialnej", obok aktualizujących kadenowski „ekspresjonizm" *Murów Jerycha*, naprzeciw wspaniałych realistycznych autentyków, jakie pokazał w swej bliskiej pozornie reportażu, a tak oryginalnej i pięknej prozie Rudnicki.

Zdawałoby się, że ta rozbieżność tendencji artystycznych ujawniona przy okazji wypowiadania zupełnie jednoznacznych opinii o świecie dowodzi, iż przeżywamy okres zupełnego chaosu formalnego. W istocie dowodziła ona jedynie, że — aby sprostać w sposób bardziej doskonały potrzebie „podźwignięcia piórem spraw większych niż sam pisarz, spraw, których jest on cząstką" — potrzebna była jakaś synteza środ-

ków artystycznych. Gdy przypomnimy sobie zdanie Brandysa: „trudniej opisać społeczeństwo, niż własną duszę", będziemy bliżsi zrozumienia trudności, jakie piętrzy przed pisarzem jego nowoczesna ambicja twórcza. Opisać społeczeństwo...

Jesteśmy oto na tropie właściwej odpowiedzi na pytanie, czemu to powieść powojenna przechodzi okres upadku, czemu nie jest w stanie dać obrazu swoich czasów. Otóż powieściopisarz posługuje się środkami i przyzwyczajeniami pisarskimi wytworzonymi w epoce już minionej — a tak zupełnie różnej w swych problemach od okresu, jaki przeżywamy. Sposoby bowiem i środki literackie, które powieść udoskonaliła i eksploatowała na przestrzeni stu lat, kształciły pisarza w ocenie, interpretacji i wymownym opisie osobistych jednostkowych spraw, gdy tymczasem sens przeżytej niedawno wojny i czasów, w których tkwimy, jest przecież inny. Poszczególni ludzie interesują nas wtedy, gdy są wplątani w działania związane z czymś więcej niż oni sami: gdy „dokonują zorganizowanego sabotażu, gdy są uczestnikami frontowych zmagań, lub gdy są figurami reprezentatywnymi, gdy wyrażają typowo los właściwy setkom tysięcy ludzi. To samo odnosi się do najświeższej, dopiero tworzącej się historii".

Słusznie pisze Julian Przyboś: „Od romansopisarza wymaga się niesłychanie wiele, nie zajmują nas dzisiaj dzieje kochanków, ani osobiste perypetie powieściowych ludzi, nie nasyci naszego głodu skrzętne gromadzenie realiów. Żądamy więcej. Demonstracji na określonym materiale tez określonej filozofii kultury; nie wystarcza zgodne z doświadczeniem a kompozycyjnie wymowne zgrupowanie zdarzeń, chodzi o ukazanie ich sensu obiektywnego..."

Pisarz współczesny musi pokazać nam całą grupę społeczną — musi więc albo znaleźć bohatera zbiorowego, albo też ukazać bohatera jednostkowego lecz typowego, w sytuacji dla danego momentu dziejowego i jego następstw symptomatycznej. Ideałem byłoby, gdyby pisarz mógł o swoim dziele powiedzieć: „mowa tu jest o osobach tylko o tyle, o ile stanowią one u o s o b i e n i e kategorii gospodarczych, o ile są przedstawicielami określonych stosunków i interesów klasowych" (K. Marx — Przedmowa do *Kapitału*) — z rozszerzeniem oczywiście kręgu na wszelkie kategorie powszechnie obchodzące i ważne.

Problem oczywiście nie nowy, ale z nową imperatywną siłą postawiony przed oczy pisarza. Już Gorki mówił: „wartość jednostki jest tym większa, im bardziej jest zdolna wchłonąć i wytłumaczyć przy pomocy obrazu i idei energię twórczą mas". Czyż — z chwilą gdy problem sprowadzimy do zagadnień techniki pisarskiej — nie o tym samym mówi krytyk oskarżany zresztą o „formalizm", pisząc: „Chodzi o to, by pisarz umiał z taką dobitnością chwytać objawy rzeczy, że stają się one przez to symboliczne, znamienne i powtarzalne".

Gdy zastanowimy się, jak te postulaty realizować w języku formy artystycznej, dostrzeżemy, że stoimy oto na progu zagadnienia literackiej nowoczesnej symboliki, „która nie ma nic wspólnego z symbolizmem jako kierunkiem literackim. Wręcz przeciwnie, łatwo stwierdzić, że symbolizm, posługujący się zatarciem granic pomiędzy jawą i marzeniem, rzadko osiąga cel zamierzony. Całkowita konkretność, określenie w miejscu i czasie opisywanych wydarzeń, wydaje mi się pierwszym warunkiem ich zasobności w dodatkowe znaczenia, które wydobywa krytyk. Postacie urastają do rzędu bohaterów epoki. Sytuacje stają się skrótem i wyolbrzymieniem wszystkich możliwych sytuacji w danych warunkach" (Cz. Miłosz). Swego czasu i *Pokolenie* wystąpiło z pokrewnymi postulatami, pisząc o tym, że „konflikt tradycyjnego realizmu z zamierzchłymi formami symbolizmu byłby zabawną omyłką w sytuacji, gdy oba te sposoby artystycznego organizowania rzeczywistości okazały się niewystarczające."

O ile dotychczasowa metoda realizmu, technika „przeprowadzania" rzeczywistości w dzieło literackie wykazała ostatecznie swą sprawność wobec zawartości wnętrza jednego faceta (choć i tu, w krańcowych przejawach psychologizmu proustowskiego, spotykaliśmy ciągnące się przez cały tom opisy przeżyć związanych z jedną kolacją), to zasób trudności, jaki niesie w sobie zbiorowość jako przedmiot opisu, jest zbyt duży, by metoda zabierania się do rzeczywistości *en face* z dagerotypiarskim opisywactwem miała szanse zdania egzaminu. Zespół środków przekazanych nam przez takie tradycje formalne jest zbyt szczupły.

Perspektywy obchodzących nas zagadnień zostały dostrzeżone znacznie wcześniej, nim wojna narzuciła nam je z taką oczywistością. Ignacy Fik nie tylko głosił, że najistotniejszą rzeczywistością ludzką jest zawartość ideowo-społeczna danej epoki, lecz również walczył o miejsce dla fantastyki, uznawał symbolikę.

Przyjęcie postulatów żądających od pisarza, by docierał do zjawisk i sytuacji symp-

tomatycznych, reprezentatywnych, by ukazywał tego rodzaju sytuacje skrótowe, które by w sposób artystycznie doskonały wyrażały opisywaną rzeczywistość — przyjęcie tych postulatów będzie równoznaczne z okresem panowania „symbolu realistycznego". Z okresem, w którym rzeczą pisarza będzie takie organizowanie tworzywa rzeczowego, by — nie tracąc nic ze swej obiektywnej indywidualnej prawdy — wyrażało sobą coś więcej jeszcze, by było dodatkowo symbolem. Sztuka, która nie będzie znać wypadków sporadycznych, która rejestrować będzie tylko sytuacje typowe, jako jedyne posiadające wagę społeczną, będzie musiała często jakimś deformującym chwytem podkreślać całą niedosłowność, przenośność opisanego zjawiska — podkreślając tym bardziej jego zasadniczą wagę. Chodzić będzie o nowe proporcje rzeczywistości potocznej i znaczeń dodatkowych, które dokoła niej rozsnuwa pisarz. Rola deformacji artystycznej zyskuje dodatkowo na wadze w obliczu faktu, iż pisarz operując sytuacjami i postaciami typowymi, stanowiącymi doświadczenie powszechne, musi wprowadzać czynnik deformacji, by w ramach typowości móc jednak stworzyć wielkie napięcia artystyczne przyciągające uwagę. Bez tego elementu mógł się doskonale obejść, powiedzmy, psychologizm obierając jako przedmiot opisu jakąkolwiek sprawę niepospolitą. Czytanie o perypetiach pederasty mieć będzie dla normalnego człowieka posmak ciągłej niespodzianki. To samo w innych wymiarach odnosi się do powieści awanturniczej, fantastycznej, czy obyczajowej z czasów i środowisk egzotycznych.

Hasło „realistycznego symbolizmu" nie jest siadaniem na dwóch stołkach formalnych, lecz jedynie dialektyczną syntezą realistycznej tezy i symbolistycznej antytezy — obydwu opóźnionych wobec rzeczywistości.

Literatura często dostarcza niespodzianek, gdy niespostrzeżone, stopniowe narastanie zmian ilościowych powoduje skok ku nowej jakości. Wydaje mi się, że krytyka, by nie dać się zaskoczyć, by nie być wiecznie stawianą wobec „faktów dokonanych", powinna poświęcać uwagę nie tylko publikacjom książkowym, lecz równie czujnie śledzić wzrastanie pewnych tendencji w bieżącej produkcji piśmienniczej, demonstrowanej przez pisma literackie. W ciągu roku ukazało się kilka pozycji, które zdają się wskazywać na to, iż te uwagi znajdują rzeczowe potwierdzenie.

PROUST BEZ MANICURE

Zaczniemy ten przegląd od najwcześniej stosunkowo opublikowanej noweli Pawła Hertza *Sedan*. Utwór, na który zwracamy uwagę, stanowi pewne przezwyciężenie opóźnień naszej prozy. W opowiadaniu Hertza doszła do głosu tendencja syntetyzowania zdobyczy formalnych, wypracowanych przez rozmaite kierunki dwudziestolecia. Widzimy tu zarówno przeplatanie treści opowiadania komentarzem socjologicznym, jak i celowo zastosowaną z lekka groteskową deformację przy opisie stanów chorego mieszczanina. Mamy i ciekawy chwyt kompozycyjny: forma pamiętnika, ale od początku zdemaskowana przez autora jako właśnie formalny chwyt — i zdobyte tą „przewrotną" drogą tym większe wrażenie autentyzmu treści. Odwrotnie niż u Rudnickiego — gdzie treści doznań osobistych składają się na artystycznie wymowną a społecznie symptomatyczną całość — u Hertza właśnie treści doznań klasowych stanowią o atrakcyjności „pamiętnika" jednostki. Nie zawsze jednak przenikanie się osobniczego i zbiorowego doznania znajdzie dla siebie skrót tak szczęśliwy, jak w tym miejscu, gdzie autor mówiąc o Warszawie jako mieście swego dzieciństwa odwołuje się równocześnie do jej dzisiejszego wyglądu dla zilustrowania dziecięcego a ugruntowanego w „katastrofizmie klasowym" wyobrażenia Sedanu. Ciągłe konfrontowanie przeżyć osobistych z ich treścią klasową okazuje się artystycznie niebywale trudne. Tam, gdzie warstwa komentarza socjologicznego nie wrasta w prozę organicznie, staje się po prostu publicystycznym wtrętem.

Hertz pisze: „Gdy naszych ojców i dziadków pytano w dzieciństwie: „kim chcesz zostać?" — odpowiadali: inżynierem, lekarzem, kupcem, albo adwokatem. Jeśliby zapytano o to któregokolwiek z nas, odparłby: „chcę być cudzoziemcem" — i zaraz potem autor dodaje: „znaczyło to tyle co: nie chcę ponosić za nic odpowiedzialności, chcę mieszkać w zonie eksterytorialnej, w cudzoziemskiej koncesji, którą zdobyli dla mnie inni".

Razi tu zbyteczny komentarz, zbytnia „kawęnaławowość" stanowi o słabości świetnego opowiadania. Trzeba jednak w tym miejscu stwierdzić, że powtarzanie takiego komentarza, niejednokrotnie świetnie wmontowanego w sytuację, wykazuje pewną gorączkowość, pasję w demaskowaniu klasowego tła najbardziej nawet „osobistej" sytuacji.

Przy tym wszystkim proza Hertza jest

formalnie wyraźnie niesamodzielna. To proza z drugiej ręki, to... Proust.

I tutaj chwytamy byka za rogi. Jeśli o prozie przesyconej wpływami mistrza psychologizmu, jeśli o społecznym wyrazie prozy mającej taki rodowód można było napisać to, co pisaliśmy o „komentarzu socjologicznym" — to mamy chyba dowód, że spotykamy się tu z utworem artystycznym jedynie pozornie wtórnym. Tak. *Sedan* jest w naszej nowelistyce powojennej wydarzeniem poważnym. Trzech cesarzy prozy polskiej przegrało tę bitwę: nadmierny psychologizm, opisywacki wierny realizm szczegółów, jednostka jako zasadniczy ośrodek zainteresowania autora. Hertz pisze: „zespół zdarzeń jaki przedstawiam jest typowy dla niedawno umarłego czasu".

Łagodna rewolucja szczyci się tym, że ani na chwilę nie zerwała naszej łączności kulturalnej z tradycją, czy z aktualnie tworzoną sztuką „Zachodu". Do niedawna wolno się było wobec tych pretensji sceptycznie uśmiechać. Gdzież bowiem szukać należało tej bodaj łagodnej „rewolucji" w naszej, wciąż pod każdym względem epigońskiej literaturze. Ciężkie grzechy *Kuźnicy*, która z ułomności uczyniła cnotę, programowo nawołując do „klasycyzmu", upoważniały do bardzo zasadniczych wątpliwości. Byliśmy wciąż wasalem literatury francuskiej, mimo iż rządzący tym miniaturowym „księstwem warszawskim" (właściwie łódzkim: Piotrkowska 96) Stefan Żółkiewski nie zdradzał objawów zaniepokojenia.

Niebezpieczeństwo minęło. Paweł Hertz wygrał dla *Kuźnicy* bitwę pod Sedanem. Olbrzymi repertuar środków pisarskich Prousta spełnił grzecznie swą służebną rolę. U Hertza Proust zakasał rękawy i wziął się do solidnej pracy.

Nowela ta — właśnie przez taką jej wtórność w stosunku do literatury Zachodu — staje się pierwszym empirycznie sprawdzalnym dowodem słuszności tezy o nierozerwanych przez rewolucję naszych związkach kulturalnych. Oczywiście jeden przykład nie upoważniałby nas do tego rodzaju zasadniczych wniosków. Przykładów jest więcej, i one to pozwalają chyba na sformułowanie opinii, że nadchodzi nareszcie czas, gdy — właśnie dzięki „łagodnej rewolucji" — będziemy w stanie w sposób twórczy odbierać wpływy ze świata.

Nie jest też przypadkiem, że w noweli co krok napotykamy to, co nazywamy „symbolem realistycznym" — od tytułu począwszy.

HEMINGWAY SIEDZIAŁ NA PAWIAKU

W numerze 2 *Zeszytów wrocławskich* ukazało się krótkie opowiadanie Tadeusza Borowskiego *Chłopiec z biblią*. Pozornie trudno byłoby się dopatrzeć w tym obrazku z Pawiaka jakiejkolwiek rewelacji. A jednak...

Przyzwyczailiśmy się, że metoda krytyczna zwana popularnie „wpływologią" służy do wykazania autorowi niesamodzielności, wytyka jego wstydliwe zapożyczenia. Tak się dotychczas działo, że nasi pisarze — szczególnie średniego pokolenia — czerpali wzory sięgając z reguły na ten „Zachód", który oznaczał jedynie Francję. Analogie literackie były drażliwe, bliskie, napomknięcie o nich było już ich wypominaniem. Obowiązywało to w stosunku do wszystkich bez mała pisarzy. Pełni zdumienia odkrywaliśmy na własnym gruncie całe rodziny „Francuzów". Nagradzaliśmy książki napisane przez Bernanosa w Otwocku, czytywaliśmy o kompleksach homoerotycznych, rozgrywających się w tej czy innej „wsi spokojnej, wsi wesołej". Literatura ojczysta powstawała za — Renem.

Powtarzanie przez „łagodną rewolucję" sloganu o ciągłości naszych związków z kulturą Zachodu napawałoby więc raczej zasadniczą obawą. Tymczasem jednak zmieniło się wiele — wojna otwarła szerzej oczy pisarzowi. Wprzęgła jego formalne umiejętności — choćby zaczerpnięte ze szkoły, o której piszemy — w służbę nowych wyobrażeń o życiu, dokonała międzykontynentalnych sojuszów.

I oto czytając nowelę z Pawiaka spostrzegamy, że literatura nasza potrafi sobie przyswajać ciekawsze niż tradycyjne francuskie wzory. Pawiak rodzi Hemingwaya i Steinbecka.

Borowski swą krótką nowelę nasyca w niezwykłym stopniu dialogiem. Ten nie nowy przecież środek literackiej ekspresji odzyskuje świeżość nie tylko ze względu na ilościowe proporcje w stosunku do „normalnego" tekstu. Chodzi o to, że dialog, klasyczny środek służący dotychczas wyrażaniu treści osobistych, stanowiący ilustrację stanów psychicznych, staje się tu tekstem informującym — najzwięźlejszym, najnaturalniejszym komentarzem socjologicznym do rozgrywającej się akcji. Niewątpliwie ten chwyt formalny jest dziś odkryciem Ameryki. To nowelistyka Nowego Świata technikę dialogu wzbogaciła i urozmaiciła. Ale czy nie należało się t e g o spodziewać?

Borowski nawet w swej niesamodzielno-

ści okazał się odkrywczy. Okazało się, że Ameryka leży niedaleko, że rewelacje literackie osiąga się nie przez studia niechlujnego intelektualnie egzystencjalizmu, a przez takie oto odkrycia:

— „A tam, jak się nazywam — rzekł chłopiec z lekceważeniem. — Mój ojciec jest dyrektorem banku.

— To ty w takim razie jesteś synem dyrektora banku — powiedziałem, odwracając się do niego".

ZOLA JEST SPÓŁDZIELCĄ

Powiedziałem, że dialog jest u Borowskiego „najnaturalniejszym" komentarzem socjologicznym. Słowa tego użyłem umyślnie. Naturalizm bowiem, to pozornie najbliższy temu pisarzowi krąg tradycji literackich. Borowski zadebiutował opowiadaniami obozowymi,*) w których — w celu wyraźnej prowokacji moralnej — zaakcentował animalizm człowieka sprowadzonego przez obozową tresurę do stanu pierwotności. Byłoby naiwnością, zamykaniem oczu na podstawowe prawo socjologiczne, gdybyśmy nie wierzyli, że ludobójstwo wiązało się z zabijaniem człowieka również jako istoty m o r a l n e j. Borowskiemu zawdzięczamy wyrażoną literacko w świetny sposób opinię o relatywizmie pojęć moralnych. Zawdzięczamy studium o „moralności oświęcimskiej", studium, w którym autor — może z racji inspirującej go prowokacji moralnej — staje jednak dość blisko klasycznych przedstawicieli naturalizmu w literaturze.

Tym większą satysfakcję sprawić musiała lektura późniejszego utworu tego pisarza, *Bitwy pod Grunwaldem*. Opowiadanie to w sposób wyjątkowo pełny realizuje postulaty, które określam jako użycie „symbolu realistycznego". *Bitwa pod Grunwaldem* jest właśnie tego rodzaju utworem, gdzie wypadki, występujące w obiektywnie istniejącej przecież rzeczywistości, tworzą właśnie ów symbol społeczny, ową wielką metaforę. To, że i obecnie Borowski malując realną fakturę opowiadania każe swemu bohaterowi drapać się nieprzystojnie, czy „gorsze" jeszcze rzeczy wyprawiać — to wzbogaca jedynie ową rzeczowość wielkiego symbolu społecznego, jaki stanowi opowiadanie w całości. To nic, że bohater w łasku z dziewczynką... Nie mamy tu do czynienia z buhajem Zoli czy Maupassanta — bohater jest obywatelem swojego kraju, nie własnego rozporka.

Fabryka efektów naturalistycznych została uspołeczniona, produkując w ten sposób części wielkiego symbolu społecznego.

MAETERLINCK WYRABIA SZAFY

Do tych uwag o napotkanych utworach, interesujących z mego punktu widzenia, chciałbym dołączyć notę napisaną dosłownie „na marginesie" stron dramatu sowieckiego pisarza Leonowa *Najazd*, sztuki wyróżnionej nagrodą Stalinowską, stanowiącej przeto w układzie stosunków kulturalnych ZSRR fakt zapewne nie byle jaki.

Autor *Najazdu* operuje postaciami typowymi, ale typowość ich zamyka w sferze ich społecznych, nie psychologicznych jakości. Postaci tej sztuki stają się skrótami sytuacji społecznych. Oczywiście metoda ta, dziś jeszcze w swych doświadczeniach literackich uboga, niesie ze sobą cały szereg istotnych niebezpieczeństw. W moim przekonaniu stanowią one jednak jedynie nieuchronne trudności na słusznej drodze.

I w tym wypadku konieczne staje się sięgnięcie do tego rodzaju środków artystycznych, które określałem jako „symbol realistyczny". Najprostszy przykład znajdziemy w trzecim akcie sztuki Leonowa, kiedy były wielki kupiec Fajunin korzysta z okupacji niemieckiej rodzinnego miasteczka jako z odskoczni dla klasowego rewanżu. Zostaje burmistrzem („komisarycznym" — tak się to przynajmniej u nas nazywało), urządza sobie wykwintne mieszkanie sprowadzając własne ongiś meble, z których go ćwierć wieku temu wywłaszczono. Kredens zabiera ochronce, biurko szkole, itd., itd.

Oczywiście z punktu widzenia czystego realizmu jest to nonsens. W ciągu 25 lat kredens diabli wzięli, wyprodukowano zresztą w międzyczasie i lepsze meble. Po prostu autorowi chodzi o symboliczny skrót, wyrażający zgubny społecznie charakter owego rewanżu klasowego.

Gdybyśmy chcieli przyrównać taki chwyt nowoczesnego „symbolu realistycznego" do tradycji symbolizmu w sztuce europejskiej XIX wieku, nie znaleźlibyśmy żadnych analogii. Bo tych analogii nie dostarcza decydująca ostatecznie o przeznaczeniu form artystycznych sfera stosunków społecznych. Maeterlinck wyrabiający szafy i kredensy jest czymś absurdalnym.

Dlatego też absurdem jest określanie jako pogłosów symbolizmu tych nowych form realizacji artystycznej, do których trzeba nawiązywać dziś, gdy sztuka poszukuje przedmiotów i sytuacji symptomatycznych, streszczających sytuację epoki.

Roman Bratny

*) *Dzień na Harmenzach, Transport Sosnowiec—Będzin*, por. *Twórczość*, 1946, nr. 4.

WYKAZ TREŚCI

Str.

LUCJAN RUDNICKI: W Łodzi-mieście 5
WILHELM SZEWCZYK: Kolego, Rano, Moje mieszkanie 29
LOPE DE VEGA: Owcze Źródło (akt I) 32
TADEUSZ SEWERYN: W świątkarni 56
JULIUSZ KLEINER: Stanisław Łempicki 70

SPRAWY I TROSKI

ANIELA MIKUCKA: Czytelnictwo masowe 76

SPRAWOZDANIA

HENRYK MARKIEWICZ: Powieść o kresie nocy 95
ANDRZEJ WASILEWSKI: W wymiarze groteski 100
STEFAN LICHAŃSKI: Człowiek i Demiurgowie 104
WOJCIECH NATANSON: „Oczekiwanie" Broszkiewicza 109
STANISŁAW CZERNIK: „Zraniony ptak" 111
„ „ Poezje Rymkiewicza 113

NOTY

LUDWIK HIERONIM MORSTIN: Lope de Vega 116
HENRYK BATOWSKI: Na marginesie tematu „Mickiewicz w Rosji" 118
ROMAN BRATNY: W poszukiwaniu nowego stylu 121

SPIS TREŚCI

MIESIĘCZNIKA „TWÓRCZOŚĆ"
ZA I KWARTAŁ 1948

(STYCZEŃ — MARZEC 1948)

(cyfry rzymskie oznaczają zeszyt, cyfry arabskie stronicę)

PROZA

BRZOZA JAN: Ziemia (szkice powieściowe) . . . . . II, 14
MONELLI PAOLO: Rewolucja włoska . . . . . II, 27
RUDNICKI LUCJAN: W Łodzi-mieście . . . . . III, 5

DRAMAT

LOPE DE VEGA: Owcze Źródło (akt I) . . . . . III, 32

POEZJA

BRAUN ANDRZEJ: Do Jerzego . . . . . I, 5
BUCZKÓWNA MIECZYSŁAWA: Refleksja . . . . . I, 6
FICOWSKI JERZY: Chwila . . . . . I, 8
„ „ Credo . . . . . I, 8
„ „ Wyrywam oczom gwiazdę . . . . . I, 7
OCHOCKI MIROSŁAW: Blaskiem i cieniem . . . . . I, 9
„ „ Lament . . . . . I, 9
„ „ * * * (Zanurzyłem w tej nocy zaklętej...) . . . . . I, 10
OLEKSIK KLEMENS: XX . . . . . I, 11
„ „ Dzień . . . . . I, 12
„ „ Motyw żebraczy . . . . . I, 10
PETŐFI SANDOR: Chyli się chmura nad ziemią... . . . . II, 10
„ „ Cisa . . . . . II, 7
„ „ Jedna myśl mnie pożera... . . . . II, 12
„ „ Pieśń bojowa . . . . . II, 12
„ „ Pod koniec września . . . . . II, 11
„ „ Vajda-Hunyad . . . . . II, 8
„ „ W ojczyźnie mojej . . . . . II, 6
„ „ Wpadłem do kuchni na chwilkę... . . . . II, 10
RÓŻEWICZ TADEUSZ: Jak dobrze . . . . . I, 17
„ „ Kasztan . . . . . I, 14
„ „ Kobieta w czerni stąpa po różach . . . . . I, 13
„ „ Kopiec . . . . . I, 17
„ „ Powrót . . . . . I, 15
„ „ Ściana . . . . . I, 16
„ „ Zaraz skoczę szefie . . . . . I, 12
SZEWCZYK WILHELM: Kolego . . . . . III, 29
„ „ Moje mieszkanie . . . . . III, 30
„ „ Rano . . . . . III, 30

ROZPRAWY

DREWNOWSKI TADEUSZ i JANION MARIA: Zagadnienie fikcji literackiej . II, 70
KUBACKI WACŁAW: Mauriac . . . . . I, 43
MIKUCKA ANIELA: Czytelnictwo masowe . . . . . III, 76
NATANSON WOJCIECH: Zagadnienia teatru współczesnego . . . . . I, 65
OBRAZCOW SERGIUSZ: Notatki reżysera . . . . . I, 18
PRZYBOŚ JULIAN: „Widzę i opisuję“ . . . . . II, 48
SEWERYN TADEUSZ: W świątkarni . . . . . III, 56

SPRAWOZDANIA, ARTYKUŁY, NOTY

BATOWSKI HENRYK: Na marginesie tematu „Mickiewicz w Rosji“ . . . III, 118
BLUMÓWNA HELENA: Wystawa młodych plastyków (w Warszawie) . . . II, 117
BRATNY ROMAN: W poszukiwaniu nowego stylu . . . . . III, 121
BROSZKIEWICZ JERZY: Sprawa rocznic (na marginesie rocznic Szymanowskiego i Szopena) : . . . . . II, 115
CZERNIK STANISŁAW: Poezja etnograficzna („Janosik“ St. Nędzy-Kubińca) . I, 91
„ „ Poezja partyzancka („Wierni ziemi“ St. Skonecznego) . I, 90
„ „ Poezje Rymkiewicza („Z narodem“) . . . . . III, 113
„ „ „Zraniony ptak“ (J. Kurka) . . . . . III, 111
FURMANIK STANISŁAW: Sprawy wersyfikacji . . . . . I, 75
GOŁĘBIOWSKI STEFAN: W obronie rymu . . . . . I, 114
KLEINER JULIUSZ: Stanisław Łempicki . . . . . III, 70
KOŁODZIEJCZYK STANISŁAW JULIUSZ: Urocza książka („Porwanie w Tiutiurlistanie“ W. Żukrowskiego) . . . . . I, 98
KONWICKI TADEUSZ: Studium nieborowskie . . . . . II, 121
KULICZKOWSKA KRYSTYNA: Dwie książki Jalu Jurka („Grypa szaleje w Naprawie“, „Woda wyżej“) . . . . . II, 103
„ „ Poeta rozumnego kompromisu (o twórczości Staffa) . . . . . I, 83
LICHAŃSKI STEFAN: Chłopskość programowa („Wnuczek orze“ E. Marca) . I, 95
„ „ Człowiek i Demiurgowie („Zmowa Demiurgów“ K. Truchanowskiego) . . . . . III, 104
„ „ Drugie pokolenie awangardy („Niepokój“ T. Różewicza) I, 92
MARKIEWICZ HENRYK: „20 lat życia“ Uniłowskiego . . . . . II, 96
„ „ Powieść o kresie nocy („Popiół i diament“ J. Andrzejewskiego) . . . . . III, 95
MORSTIN LUDWIK HIERONIM: Lope de Vega . . . . . III, 116
NATANSON WOJCIECH: „Oczekiwanie“ Broszkiewicza . . . . . III, 109
PREGERÓWNA JANINA: Opowiadania Dąbrowskiej („Znaki życia“) . . . II, 93
ROTHERTOWA ZOFIA: Stanisław Ostoja-Chrostowski . . . . . I, 108
STROJOWSKI FRANCISZEK: Droga słowa drukowanego na wieś . . . . II, 109
„ „ Nowa forma upowszechnienia oświaty i kultury . I, 110
WASILEWSKI ANDRZEJ: Poemat historiozoficzny („Czerwone tarcze“ J. Iwaszkiewicza) . . . . . II, 100
„ „ W wymiarze groteski („Pożegnania“ Dygata) . . . III, 100
WIELOWIEYSKA HELENA: Szkoła realizmu („Krajobraz niewzruszony“ K. Filipowicza) . . . . . I, 105
WYKA KAZIMIERZ: Opowiadania przewrotne Żukrowskiego („Piórkiem flaminga“) . . . . . I, 100
ZAWODZIŃSKI K. W.: Odpowiedź Stanisławowi Furmanikowi . . . . . I, 80
„ „ „ „Polały się łzy...“ . . . . . I, 112

Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik“, Warszawa—Łódź—Kraków.
Redaktor naczelny: Kazimierz Wyka.
Adres redakcji: Kraków, Basztowa 15, m. 8. Administracji: Wielopole 1.

Cena zeszytu 115 zł + 5 zł (cegiełka na „Dom Słowa Polskiego“)
Prenumerata kwartalna 300 zł

Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca